



*Diana Palmer*



*PODWÓJNE  
ŚLEDZTWO*

*Tytuł oryginału: True Blue*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

–Mogłaś zatrzeć ślady – mruknął detektyw sierżant Rick Marquez z San Antonio, piorunując wzrokiem jednego z najmłodszych członków swojej brygady.

–Naprawdę mi przykro – odparła Gwendolyn Cassaway. – Potknęłam się, zwykły wypadek.

Zmrużył ciemne oczy i zacisnął usta.

To dlatego, że nie nosisz okularów! Jesteś przecież krótkowidzem.

Sądził, że robi to z próżności. Miała miłą twarz i wspaniałą cerę, choć nie była oszałamiająco piękna. Największym jej atutem były grube platynowe włosy, które upinała w kok na czubku głowy. Nie rozpuszczała ich nigdy.

– Są niewygodne, a poza tym nie potrafię nigdy doczyścić szkieł – odparła skruszonym tonem.

Ciężko westchnął i przysiadł na krawędzi biurka, eksponując mimochodem colta w charakterystycznej skórzanej kaburze i policyjną odznakę. Był wysoki. Lekko oliwkowa skóra i długie czarne włosy związane w kucyk nadawały mu atrakcyjny wygląd. A mimo to nie związał się na dłużej z żadną dziewczyną. Wolały one raczej wypłakiwać się na jego ramieniu z powodu jakiejś innej, prawdziwej miłości. Jedna zerwała z nim, kiedy odkryła, że nosi broń nawet po służbie. Próbował wytłumaczyć, że to konieczne, lecz to nic nie dało.

Uwielbiał operę i balet, ale przedstawienia najczęściej oglądał sam. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko robił samotnie. Niedawno skończył trzydzieści jeden lat i coraz mniej mu się to podobało.

Obecność Gwen jeszcze pogarszała sytuację. Teraz na dodatek dziewczyna narobiła bałaganu na miejscu zbrodni. Groziło to przerwaniem delikatnego łańcuszka dowodów, mogących doprowadzić do wyjaśnienia skomplikowanej sprawy o morderstwo.

Studentka pierwszego roku, ładna blondynka, została brutalnie pobita i zamordowana. Nie mieli listy osób podejrzanych, tylko ślady, i to bardzo niewyraźne, a Gwen niemal wdepnęła w plamę krwi.

Nie miał dobrego nastroju. Poczul w dodatku głód, a nie mógł wyjść na obiad, bo musiał zmyć jej głowę. Gdyby odpuścił, zastąpiłby go porucznik, a Cal Hollister nie należał do wyrozumiałych przełożonych.

– Możesz nawet stracić pracę – ostrzegł. – Jesteś tu nowa.

Skrzywiła się.

– Wiem. – Wzruszyła ramionami. – W ostateczności wrócę do Atlanty – dodała ponuro.

Patrzyły na niego jasnozielone, niemal przezrocyste oczy. Nigdy przedtem nie widział takiego koloru.

– Po prostu bardziej uważaj, Cassaway – upomniał ją.

– Tak jest. Postaram się.

Próbował omijać wzrokiem koszulkę, którą nosiła pod lekką dzinsową marynarką. Pomimo listopada słońce prażyło, marynarka jednak z pewnością przydawała się w chłodne poranki.

Z koszulki, zapewne ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami, spoglądał na niego mały zielony kosmita. Widziałeś mój pojazd? – pytał. Rick powstrzymał uśmiech.

Ściągnęła poły marynarki.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że obowiązują nas jakieś ograniczenia co do koszulek...

– Tylko niepisane... Porucznik na pewno ci o nich opowie – rzucił.  
Westchnęła.

– Spróbuję się dostosować. Wiesz, jestem z dość dziwnej rodziny. Mama pracowała w FBI. Ojciec jest... no... w wojsku. A brat służył w wywiadzie wojskowym.

Zmarszczył brwi.

– Służył? To znaczy, że nie żyje?

Skinęła tylko głową. Słowa uwięzły jej w gardle. Ból był jeszcze zbyt świeży.

– Bardzo mi przykro – wykrztusił.

Przestąpiła z nogi na nogę.

– Larry zginął w tajnej operacji na Bliskim Wschodzie. Nie mam więcej rodzeństwa. Trudno mi o tym mówić.

– Jasne, rozumiem. – Wstał i zerknął na wojskowy zegarek na nadgarstku. – Czas na obiad.

Drgnęła.

– Och, mam inne plany...

Spiorunował ją wzrokiem.

– To nie jest zaproszenie. Nie podrywam koleżanek z pracy – rzucił szorstko.

Oblała się rumieńcem i przełknęła ślinę.

– Przepraszam. Miałam na myśli... To znaczy...

Machnął ręką.

– Nieważne, porozmawiamy później. Na razie tylko zrób coś z tymi okularami. Nie możesz badać miejsca zbrodni po omacku!

Skinęła głową.

– Tak jest. Oczywiście!

Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Zauważył przy tym, że sięga mu tylko do ramienia i że pachnie jak wiosenne róże z ogrodu matki w Jacobsville. Słaby, ulotny zapach. To akurat pochwalał. Niektóre kobiety jakby kapały się w perfumach. Bolała go od tego głowa i nie mógł na niczym skupić myśli. A jego kolega dostał ostrego ataku astmy, rozmawiając z sekretarką, która chyba wylała na siebie cały flakon.

Gwendolyn przystanęła tak nagle, że na nią wpadł. Musiał chwycić ją za ramiona, by nie upadła.

– Och, przepraszam! – krzyknęła.

Poczuła miły dreszcz, gdy jego duże dłonie objęły jej ramiona zaskakująco delikatnie.

Natychmiast je cofnął.

– O co chodzi?

Z trudem zebrała myśli. Detektyw Marquez był bardzo seksowny. Robił na niej wrażenie od chwili, kiedy przed kilkoma tygodniami ujrzała go po raz pierwszy.

– Wpadło mi do głowy, że zapytam Alice Fowler z laboratorium o ten aparat cyfrowy, który znaleźliśmy w mieszkaniu ofiary. Może już coś z niego wyciągnęła.

– Dobry pomysł, zapytaj.

– Wpadnę do niej, wracając z obiadu – zapewniła rozpromieniona. Dopuścił ją do pracy przy tak ważnej sprawie i była mu za to bardzo wdzięczna. – Dziękuję.

Skinął głową, błędząc już myślami wokół wspaniałego strogonowa, który zamierzał zamówić w pobliskim barze. Czekał na to przez cały tydzień. Teraz, w piątek, mógł wreszcie zaszaleć.

Sobotę miał wolną. Zamierzał pomóc matce w robieniu przetworów.

Czekał na nich wielki kosz pomidorów z gospodarstwa ekologicznego. Matka, Barbara, prowadziła w Jacobsville restaurację Barbara's Café. Lubiała wykorzystywać w kuchni zioła i warzywa hodowane metodami naturalnymi. W sobotę uzupełnił zgromadzony już wcześniej zapas z letnich pomidorów.

Wiele jej zawdzięczał. Został sierotą jeszcze w wieku szkolnym i Barbara Ferguson wzięła go do siebie, gdy jej mąż zginął w wypadku. Biologiczna matka Ricka pracowała kiedyś w jej restauracji. Jego rodzice – a właściwie matka i ojczym – także ponieśli śmierć w wypadku, pozostawiając jedyne dziecko samo jak palec. Rick był trudnym nastolatkiem o zmiennym, wybuchowym nastroju i nieustannie wpadał w kłopoty. Po śmierci matki nie miał dokąd pójść – nie znał żadnych krewnych. Wtedy Barbara mu pomogła. Kochał ją nie mniej niż swoją prawdziwą matkę i bardzo się o nią troszczył. Co do ojczyma, cóż... Usiłował wymazać go z pamięci.

Barbara marzyła, żeby Rick wreszcie się ożenił i założył rodzinę. Nieustannie mu o tym przypominała. Przedstawiała go nawet przy każdej okazji znajomym niezamężnym kobietom. Nic z tego. Na małżeńskim rynku jego oferta wciąż nie mogła znaleźć nabywcy. Był jak towar, którego nikt nie chce. Zaśmiał się na tę myśl.

Gwen, wpatrzona w oddalające się plecy zwierzchnika, nie miała pojęcia, dlaczego Rick się śmieje. Pomyślała wcześniej, że zaprasza ją na obiad, i teraz czuła się głupio. Chyba nie miał żadnej dziewczyny, zresztą ich koledzy niekiedy sobie z tego żartowali. Gwen go jednak nie interesowała, nie w taki sposób. Cóż, trudno, pomyślała. Żadnemu mężczyźnie nigdy się tak naprawdę nie spodobała. Wszyscy traktowali ją jak powiernicę, dobrą koleżankę, która mogła doradzić, jak sprawić innej kobiecie przyjemność drobnymi podarunkami czy zaproszeniem do kina. Jej

samej nikt nie zapraszał.

Wiedziała, że nie jest ładna. Nie miała szans przy tych wszystkich pięknych, pewnych siebie kobietach. Kobietach, które nie uważały seksu przed ślubem za grzech. A każdy mężczyzna, po miłej kolacji oczekujący wspólnej nocy, zwijał się ze śmiechu, kiedy mu wyłuszczała przyczynę odmowy. Potem wpadał w złość. Zainwestował przecież czas i pieniądze, nie uzyskując niczego w zamian. Te doświadczenia sprawiały, że coraz bardziej gorzkniała.

– Don Kichot – mruknęła do siebie. – Jestem jak Don Kichot.

– Nie ta płeć – rzuciła detektyw sierżant Gail Rogers, przystając przy niej. Synowie Rogers byli bogatymi ranczerami w Comanche Wells, ona jednak nie zrezygnowała z pracy i własnych dochodów. Gwen wiedziała, że jest świetną policjantką, podziwiała ją. – A tak w ogóle, o co chodzi? – zapytała Gail z zaciekawieniem.

Gwen westchnęła i rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy są same.

– Nie oddaję się na randkach – szepnęła – więc mężczyźni uważają, że jestem nienormalna. – Wzruszyła ramionami. – Jestem Don Kichotem próbującym przywrócić moralność i staromodne obyczaje w tym dekadentckim świecie.

Rogers uśmiechnęła się serdecznie.

– Don Kichot to szlachetny idealista, który ma marzenie.

– I kompletnego świra – westchnęła Gwen.

– Tak, ale sprawiał, że wszyscy wokół czuli, że są wartościowi. Na przykład ta prostytutka, którą traktował jak wielką damę, ubiegając się o jej względy. Przypominał o marzeniach tym, którym brutalna rzeczywistość dawno je odebrała. Uwielbiali go.

Gwen się zaśmiała.



– Tak, w tym chyba był niezły.

– Ludzie powinni mieć ideały, nawet wbrew prześmiewcom – dodała Rogers. – Walcz o swoje przekonania. Historii nie tworzą ci, którzy uważają tylko, żeby się nie wychylić.

Twarz Gwen rozjaśnił uśmiech.

– To prawda. – Po chwili wahania dodała: – Dużo przeszłaś.

Podobno byłaś ranna.

– Aha. Ale się opłaciło. Tylko dzięki temu schwytaliśmy mordercę.

– Słyszałam, to słynna sprawa.

Rogers się uśmiechnęła.

– Rzeczywiście. Ricka Marqueza zaskoczyli ci sami dranie, którzy mnie postrzelili. Zostawili go, bo myśleli, że nie żyje. Ale oboje przeżyliśmy. – Zmarszczyła brwi. – A tak w ogóle, co się stało? Marquez daje ci szkołę?

– To moja wina – przyznała Gwen. – Nie mogę nosić szkieł kontaktowych, a nie cierpię okularów. Niewiele brakowało, a zniszczyłabym ważny dowód. – Skrzywiła się. – Też w sprawie o zabójstwo tej studentki, którą znaleźli wczoraj martwą w mieszkaniu. Kiedy wykryjemy sprawcę i stanie przed

sądem, obrona na pewno to wyciągnie. I to z mojej winy. Właśnie o tym się nasłuchałam. I słusznie – dodała szybko, nie chcąc, by Rogers uznała, że zarzuca Marquezowi niesprawiedliwość.

Starsza koleżanka uważnie się jej przyjrzała.

– Lubisz swojego sierżanta, prawda?

– Szanuję go – odparła Gwen, oblewając się rumieńcem.

Rogers posłała jej ciepły uśmiech.

– Jest miły – rzekła. – Trochę porywczy, ale przywykniesz do jego

nastrojów.

– Pracuję nad tym. – Zachichotała.

– Podobało ci się w Atlancie? – przerwała jej rozmyślania Rogers, kiedy ruszyły do drzwi.

– Słucham?

– W policji w Atlancie. Tam, gdzie pracowałam.

– Och! – Gwen zastanowiła się nad odpowiedzią. – Tak, było w porządku. Pragnęłam jednak jakiejś odmiany, a zawsze chciałam poznać Teksas.

– Rozumiem.

Wątpię, pomyślała Gwen. I dzięki Bogu. Pewne sprawy musiały pozostać tajemnicą. Kiedy zmierzały przez parking do swoich samochodów, zmieniła temat rozmowy.

Na obiad zamówiła sałatkę i kanapkę z serem na gorąco. Jako deser – cappuccino. Uwielbiała drogie kawy, a mogła sobie na nie pozwolić tylko raz w tygodniu, w piątki. Poprzestawała wtedy na tanich posiłkach, a za to fundowała sobie ulubiony napój.

Piła z uśmiechem, przymykając oczy. Zapach przywodził na myśl Wiochy, kawiarenkę w Rzymie, z widokiem na ruiny...

Gwałtownie uniosła powieki i rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś pozna jej myśli. Muszę uważać, upomniała się, żeby nie wyskoczyć z takim albo podobnym wspomnieniem w jakiejś rozmowie. Jestem młodym, początkującym detektywem, warto nieustannie o tym pamiętać. Nie mogę się z niczym zdradzić zwłaszcza teraz, w tym decydującym momencie, w którym wszystko się rozstrzyga.

Znowu pomyślała o detektywie Marquezie i szoku, jaki przeżyje, kiedy

wszystko mu opowie. Na razie miała go obserwować, nie rzucać się w oczy i próbować wykryć, jak dużo on i jego przybrana matka wiedzą o jego prawdziwym pochodzeniu. Na razie nie może jeszcze mu niczego wyjawić.

Dopiła kawę, zapłaciła i opuściła chłodne wnętrza. Zabawne, uznała, jak nietypowo dla Południa zmienia się pogoda. Po zaskakująco chłodnej wiosnie nastąpiło upalne lato. Palące słońce, susza, bydło padające całymi stadami. Jesień z kolei okazała się dziwnie ciepła, a mimo to zapowiadano rychłe nadejście śnieżyc.

Pogoda zwariowała. Latem całe południe kraju, od Arizony po Florydę, nękała straszliwa susza; w południowo-zachodnich stanach wybuchały groźne pożary lasów. Missisipi dla odmiany wystąpiła z brzegów, gdyż po także nietypowej zimie gruba pokrywa śnieżna na północy zbyt szybko stopniała.

Teraz, w listopadzie, Gwen się spociła, zanim jeszcze dotarła do samochodu, a przecież rankiem panował dotkliwy chłód. Zdjęła marynarkę i włączyła chłodzenie. Jak ludzie sobie radzili przed wynalezieniem klimatyzacji? – pomyślała. Życie z pewnością ich nie rozpieszczało, zwłaszcza że na początku XX wieku większość Teksaszczyków pracowała na polach i pastwiskach. Zaganianie i znakowanie bydła w takim upale, nie mówiąc już o orce, zasiewach i zniwach!

Gwen zatrzymała samochód przy laboratorium kryminalistycznym, żeby sprawdzić, czy Alice odczytała dane. Odczytała. Bardzo dużo zdjęć różnych ludzi, prawdopodobnie przyjaciół ofiary – Gwen zamierzała sprawdzić je programem do rozpoznawania twarzy. Zwróciła uwagę na fotografię mężczyzny o dość dziwnym wyglądzie. Stał w mieszkaniu ofiary, w pewnej odległości za jakąś parą uśmiechającą się do obiektywu. Uznała, że musi poznać jego tożsamość na początku. Kompletnie nie pasował do

reszty. W nie najtańszym mieszkaniu znalazł się lump, w dodatku o zbyt bacznym spojrzeniu. Podziękowała Alice i wyruszyła w drogę powrotną.

W drodze jej myśli znowu krążyły wokół Marqueza. Miała nadzieję, że jakoś poradzi sobie z prawdą, kiedy ją pozna.

Barbara posłała synowi gniewne spojrzenie.

– Nie mógłbyś po prostu obrać go ze skórki, skarbie, bez obcinania wszystkiego poza szypułką?

Chłopiec wykrzywił się i odparł:

– Przepraszam.

Ujął nóż do obierania warzyw i ostrożnie zabrał się do następnego pomidora z ogromnego stosu – dam właściciela ekologicznego gospodarstwa. Słoje gotowały się na wolnym ogniu w ogromnym pojemniku z wodą, w oczekiwaniu na przyjęcie aromatycznych plastrów. Rick obrzucił cały ów ciąg technologiczny niechętnym spojrzeniem.

– Nienawidzę tego – mruknął. – Nawet te najłatwiejsze nie dają się tak naprawdę obrać.

– Brednie – skomentowała dobitnie. – Daj mi to.

Chwyliła miskę pomidorów, wrzuciła je do wrzątku, a po minucie wyłowila durszlakiem. Umieściła pomidory w zlewie przed Rickiem.

– Proszę. Teraz skórki łatwo zejść. Ciągle ci powtarzam, że tak jest najprościej. Ale ty nie słuchasz, mój drogi.

– Lubię obieranie – odparł, posyłając jej uśmiech. – Rozładowuję w ten sposób frustrację.

– Aha? – Nie patrzyła na niego. Specjalnie. – Jakiego rodzaju frustrację?

– W pracy jest taka nowa kobieta – zaczął ponuro.

– Tak, Gwen.

Upuścił nóż, po czym go podniósł i posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Przecież nieustannie o niej opowiadasz – wyjaśniła.

– Naprawdę? – Nie zdawał sobie z tego sprawy.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Wiem, że wpada na coś, czego nie widzi, zaciera ślady, rozlewa kawę i nie może znaleźć telefonu... – Uniosła na niego wzrok. Stał nieruchomo, z nożem uniesionym nad pomidorem. – No, do roboty, same się nie obiorą – ponagliła.

Jęknął.

– Pomyśl, jak świetnie smakują w moim gulaszu wołowym – dodała na zachętę. – Dalej, obieraj.

– Dlaczego nie możemy ich po prostu zamrozić? – zapytał.

– A pomyślałeś o skutkach dłuższego wyłączenia prądu?

Zastanawiał się przez całą minutę.

– Kupiłbym dwadzieścia torebek lodu i kilka lodówek turystycznych.

Zaśmiała się szyderczo.

– Nie wiemy przecież, jak sobie poradzi sieć energetyczna w wypadku BEM, takiej jak zjawisko Carringtona w 1859 roku.

Zamrugął.

– Słucham?

– W 1859 roku na Słońcu nastąpił wybuch, zwany także rozbłyskiem Carringtona, wskutek którego w stronę Ziemi zostało wyemitowane promieniowanie. Kiedy dotarło do Ziemi, wywołało burze elektromagnetyczne i wyładowania pól elektrycznych – wyjaśniła. – Wszystko, co elektryczne, zwariowało. Linie telegraficzne się stopiły, a same telegrafy stanęły w płomieniach lub pracowały same przez kilkanaście

godzin. – Zerknęła na niego. – A przecież nie było wtedy jeszcze wielu urządzeń elektrycznych. Wyobraź sobie, że coś takiego dzieje się teraz, kiedy jesteśmy tak bardzo zależni od elektryczności. Wszystko jest w sieci: banki, telekomunikacja, apteki, rząd, wojsko... Nawet dostawami wody sterują komputery. Wyobraź sobie, że tracimy dostęp do komputerów.

Gwizdnął.

– Byłem kiedyś w sklepie i komputery wysiadły. Nie mogli przyjmować kart kredytowych. Większość ludzi musiała zrezygnować z zakupów. Mnie wystarczyło gotówki na chleb i mleko. A innym razem zepsuły się w aptece, kiedy miałem wykupić antybiotyk na to twoje zapalenie zatok zeszłej zimy. Musiałem wrócić do domu po książeczkę czekową. Człowiek bez karty kredytowej ma poważne problemy.

– Teraz rozumiesz? – Zajęła się na powrót pomidorami.

– Tak, paskudna sprawa. Jak sądzisz, to się zdarzy?

– Kiedyś z pewnością. Słońce ma jedenastoletnie cykle. Najbliższe maksimum czeka nas, według niektórych naukowców, w roku 2012. Jeśli na nas spadnie, teraz jest ostatni moment.

– Dwa tysiące dwunasty – jęknął, wywracając oczami. – Rzeczywiście, przyszedł do nas na posterunek jakiś facet i powiedział, że musimy wywiesić ostrzeżenie.

– Jakie ostrzeżenie?

– Że w dwa tysiące dwunastym roku nastąpi koniec świata i trzeba przygotować kapelusze z folii aluminiowej chroniące przed impulsami elektromagnetycznymi.

– Aha, impulsy – potwierdziła. – W gruncie rzeczy uważam, że pełną ochronę zapewni człowiekowi tylko zmodyfikowana i powiększona wersja butelki lejdejskiej. To samo dotyczy sprzętu komputerowego, który

chciałbyś ocalić. – Uniosła wzrok. – Opracowują takie urządzenia dla wojska – dodała. – Wiesz, jeden celny impuls elektromagnetyczny i wszystkie wojskowe komputery padają jak kręgle.

Odłożył nóż.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał niepewnie.

– Z Internetu. – Wydobyła z kieszeni i zademonstrowała tablet. – Zainstalowałam w domu sieć bezprzewodową. Łączę się ze wszystkimi ważnymi stronami. – Sprawdziła zakładki. – Mam tu pogodę kosmiczną, trzy namiary na ziemską i z dziesięć tajnych stron, na których piszą o tym, czego rząd ci nigdy nie ujawni.

– Mamo – jęknął. – Te teorie spiskowe...

– Nie usłyszysz tego w ogólnokrajowych wiadomościach – rzuciła ostro. – Mainstreamowe media są kontrolowane przez trzy duże korporacje. Decydują o tym, co wolno ci wiedzieć. Informują, który piosenkarz się upił, jaki program telewizyjny zwiększył oglądalność i który polityk zamierza się ubiegać o reelekcję. W moich czasach – dodała z rozmarzeniem – w telewizji nadawali prawdziwe wiadomości. Na przykład lokalne, które zdobywali prawdziwi reporterzy. Teraz standardy trzyma już tylko nasza gazeta z Jacobsville – zakończyła.

– Wiem coś o tym – przyznał z westchnieniem. – Słyszeliśmy, że komendant policji Cash Grier poświęca większość czasu na chronienie życia jej właścicielki. Ona zna wszystkie punkty dystrybucji narkotyków, nazwiska baronów narkotykowych i je drukuje. – Pokręcił głową. – Pewnego dnia stanie się kolejną liczbą w smutnych statystykach. Zabili już wielu wydawców i reporterów z naszej strony granicy. I to za mniej. W sadza kij w mrowisko.

– Ktoś musi – mruknęła Barbara, wrzucając kolejną skórkę do

zielonej torby z odpadami przeznaczonymi na kompost. Nigdy ich nie marnowała. – Ludzie umierają, wśród młodzieży jest coraz więcej uzależnionych.

– Trudno zaprzeczyć – odparł. – Problem polega na tym, że działania policji nie mogą być skuteczne w sensie ograniczenia handlu narkotykami. Jest rynek, jest podaż. Tak to wygląda.

– Podobno Hayes Carson rozmawiał o tym z Minette Raynor.

Ciekawe, uznał Rick. Minette była właścicielką „Jacobsville Times”. Miała dwójkę przyrodniego rodzeństwa, dwunastoletniego Shane’a i sześciolletnią Julie. Macocha, którą bardzo kochała, i ojciec zmarli w odstępie zaledwie kilku tygodni, pozostawiając zrozpaczoną Minette z dwójką małych dzieci do wychowania, gazetą do prowadzenia i ranczem, którym też przecież ktoś się musiał zająć. Ranczo powierzyła zarządcy i sprowadziła cioteczną babkę, by zapewnić opiekę nad dziećmi po szkole. Dzięki temu sama mogła pracować. Teraz miała dwadzieścia pięć lat i nadal pozostawała panną. Ona i Hayes Carson normalnie ze sobą nie rozmawiali. Hayes ją obwiniął, Bóg wie dlaczego, o śmierć swojego młodszego brata z przedawkowania, chociaż Rachel Conley pozostawiła list, w którym przyznała, że to ona dała Bobby’emu Carsonowi, bratu Hayesa, narkotyki, które go zabiły.

Rick zachichotał.

– Jeśli kiedykolwiek wybuchnie przygraniczna wojna, Minette stanie na ulicy i wskaże palcem Hayesa, tak by najeźdźcy dopadli jego pierwszego.

Barbara się zadumała.

– Wiesz, niekiedy wrogość jest efektem bardzo złożonych problemów. Znałam ludzi, którzy się nienawidzili, a skończyli jako



małżeństwo.

- Cash Grier i jego Tippy – odpowiedział Rick.
- Tak, a także Stuart Rock i Ivy Conley.
- Nie wspominając o innych. Jacobsville szybko się rozwija.
- Podobnie jak Comanche Wells, tam też mamy nowych ludzi.

Słyszałaś, że Grange kupił ranczo w Comanche Wells, koło posiadłości swojego szefa?

Rick wydał wargi.

- Którego szefa?

Zamrugła.

- Co to znaczy którego?

Zarządza ranczem Jasona Pendletona, a na boku pracuje dla Eba Scotta – wyjaśnił. – Pamiętaj, że nie usłyszałaś tego ode mnie, ale był zamieszany w sprawę Gracie Pendleton – dodał. – Sprowadził ją, kiedy została porwana przez południowoamerykańskiego dyktatora na wygnaniu, Emilia Machada.

- Aha, Machado – powtórzyła.

- Tak. – Powoli obierał pomidora. – Jest prawdziwą zagadką.

- Co masz na myśli?

– Ustaliliśmy, że jakieś dziesięć lat temu zaczynał jako robotnik rolny w Meksyku. Już jako nastolatek uczestniczył w protestach przeciwko zagranicznym wpływom na politykę jego kraju. Miał jednak dość harówki. Umiał grać na gitarze i śpiewać, pracował więc przez jakiś czas w barach, a potem dostał posadę muzyka na statku wycieczkowym. Tym też się znudził. Przystąpił do grupy najemników i stał się znany na skalę międzynarodową jako ktoś, kto walczy z uciskiem. Później wyjechał do Ameryki Południowej i związał się z inną grupą paramilitarną, walczącą o prawa tubylców w

Barrerze, to znaczy grupy etnicznej w Amazonii przy granicy z Peru. Bronił ich przed zagraniczną korporacją, która chciała odebrać im ziemię, bo sądzono, że pod nią znajdują się bogate złoża ropy. W ogóle skupił się na obronie prześladowanych. Przy tym stale awansował, aż został generałem.

– Uśmiechnął się. – Wygląda na to, że jest urodzonym przywódcą, ponieważ przed czterema laty, po śmierci prezydenta tego kraju, Machado został wybrany przez aklamację. – Uniósł wzrok. – Zdajesz sobie sprawę, jakie to wyjątkowe? Nawet w wypadku tak małego państwa?

– Skoro obywatele go kochali, dlaczego jest teraz w Meksyku i porywa ludzi, żeby zebrać fundusze na walkę o powrót do władzy?

– Nie wygnał go lud, tylko pewien nikczemny i krwiożerczy wojskowy. Wiedział, kiedy i jak uderzyć. Machado wyjechał do sąsiedniego państwa, by zawrzeć umowę handlową i pomóc w walce z przejęciami spółek przez zagraniczne korporacje.

– Nie wiedziałam.

– To nie są jawne informacje, nie wolno ci o nich nikomu mówić – zastrzegł. – W każdym razie ten wojskowy pozabijał ludzi Machada i wysłał tajną policję, żeby pozamykała redakcje gazet, stacje radiowe i telewizyjne. Z dnia na dzień wszyscy wpływowi ludzie wylądowali w więzieniu. Naukowcy, politycy, pisarze – każdy, kto mógł stanowić zagrożenie dla nowego reżimu. Popołniono setki morderstw, a teraz Pedro Mendez, bo tak się nazywa, zawarł przymierze z baronami narkotykowymi z sąsiedniego kraju. Wygląda na to, że przemysł kokainowy w Barrerze kwitnie, a ubogich rolników „zachęca się” do hodowania koki zamiast zboża. Mendez nacjonalizuje też wszystkie przedsiębiorstwa, żeby w pełni nad nimi panować.

– Nic dziwnego, że generał próbuje odbić swój kraj –

skomentowała. – Mam nadzieję, że zdoła.

– Ja także – odparł Rick. – Ale nie mogę tego powiedzieć oficjalnie – dodał. – U nas, w Stanach, jest poszukiwany za porwania. A porwanie to ciężka zbrodnia. Gdyby go ujęto, mógłby zostać skazany na karę śmierci.

Skrzywiła się.

– Nie pochwalam takiej metody zdobywania pieniędzy, ale on przynajmniej chce je przeznaczyć na szlachetny cel.

– Szlachetny. – Zachichotał.

– To nie jest śmieszne – zaprotestowała.

– Nie wyśmiewam tego słowa. Przypomniała mi się Gwen. Chodzi po posterunku, mrużąc, że jest Don Kichotem.

Roześmiała się.

– Co takiego?

Pokręcił głową.

– Wiem od Rogers. Wygląda na to, że nasza najnowsza detektyw nie szafuje swoimi wdziękami na randkach i uważa, że upodabnia ją to do Don Kichota, który próbował przywrócić honor i moralność w tym dekadentckim świecie.

– Proszę, proszę!

Wydeła wargi i tajemniczo się uśmiechnęła.

– Nie zamierzam się żenić z Gwen Cassaway – oświadczył natychmiast Rick. – Powiedziałem to, bo czytam ci w myślach i wcale mi się nie podobają.

– To miła dziewczyna.

– Jest kobietą.

– Jest miłą dziewczyną. Ma bardzo romantyczną naturę jak na kogoś, kto żyje w mieście. Wiem coś o tym. W mojej restauracji

kobiety często rozmawiają o sprawach osobistych. Głośno i bez skrępowania, nie przejmując się, że inni goście słyszą. – Ściągnęła wargi. – Wiesz, na przykład Grange jadł kiedyś obiad, a przy sąsiednim stoliku kilka pań omawiało kwestię mężczyzn... a właściwie intymnych części ciała mężczyzny – poprawiła się. – Grange wstał i wygarnął im, co myśli o omawianiu publicznie, przy przyzwoitych ludziach, spraw sypialnianych. Potem wyszedł.

– Jak zareagowały?

– Jedna się zaśmiała, druga rozplakała. Trzecia stwierdziła, że ten facet nie zna życia, ponieważ mieszka w pipidówce. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście dopiero kiedy opuścił lokal. Przy nim żadna nawet nie pisnęła. Ale one też wkrótce wyszły. Chyba zepsuł im humor. No i dobrze. Nie mogę sobie dobierać klienteli. Tylko raz wyrzuciłam kogoś z restauracji, od kiedy ją prowadzę – dodała. – Grange miał rację. Nie można narzucać całej sali swoich zwyczajów.

Rick objął Barbarę.

– Jesteś fajną matką. Mam szczęście, że zechciałaś nią zostać.

Odwzajemniła uścisk.

– Wzbogaciłeś moje życie, skarbie. – Z westchnieniem przymknęła oczy. – Kiedy odszedł Bart, także chciałam umrzeć. A potem, po śmierci twojej matki i ojczyma, zostałeś sam, tak jak ja. Potrzebowaliśmy się nawzajem.

– Tak. – Odsunął się i ciepło uśmiechnął. – Wzięłaś na siebie duży ciężar. Byłem łobuziakiem.

Jęknęła i przewróciła oczami.

– Co prawda, to prawda! Ciągłe się z kimś biłeś, w szkole i poza szkołą. Nieustannie wzywali mnie do gabinetu dyrektora, a kiedyś nawet na

zebranie rady szkolnej. Chcieli cię wtedy wyrzucić. – Potoczyła groźnie wzrokiem. – Ale niedoczekanie!

– Tak, zabrałaś na zebranie adwokata i ich przegadał. Później się dowiedziałem, że w historii szkoły coś takiego miało miejsce po raz pierwszy.

– Byłam wściekła.

– A ja się zawstydzilem – odparł. – I zacząłem się bardzo starać. Dla ciebie.

– Tak, wstąpiłeś potem do policji, ukończyłeś wieczorową szkołę policealną. W końcu, w policji San Antonio awansowałeś na sierżanta. Jestem z ciebie taka dumna!

Uścisnął ją.

– Wszystko dzięki tobie.

– Nie. Zawdzięczasz to swojej ciężkiej pracy. Ja może pomogłam, ale to twoje osiągnięcia.

Pocałował ją w czoło.

– Dziękuję. Za wszystko.

– Jesteś moim synem. Bardzo cię kocham.

Przełknął ślinę.

– Ja ciebie też.

Uśmiechnęła się. Wpatrywała się w jego duże ciemne oczy i po chwili uśmiech znikł.

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad przeszłością swojej matki?

– Cóż to za pytanie! – Zmarszczył brwi. – Co masz na myśli?

– Wiesz coś o jej przyjaciółach? Mężczyznach, których znała, zanim wyszła za twojego ojczyma?

Wzruszył ramionami.

– Niespecjalnie. Nie opowiadała o tym. Byłem chyba za młody, żeby mi się zwierzać z takich spraw. Ale to nie tylko to. Ona w ogóle nie opowiadała o tak intymnych kwestiach – dodał cicho. – Nawet o moim biologicznym ojcu. Wiem, że zmarł, ale właściwie nic więcej. Urodziła mnie w bardzo młodym wieku. Aha, wspomniała kiedyś, że żałuje wielu swoich czynów. Często się spowiadała. – Przyjrzał się uważnie Barbarze. – Musisz mieć jakiś powód, żeby pytać.

Ściągnęła usta.

– Coś przypadkiem usłyszałam.  
– Co? – zapytał, kiedy się zawahała.  
– Cash Grier jadł obiad z jakimiś federalnymi. Rozmawiali o Machado. Jeden z tych facetów wspomniał o niejkiej Dolores Ortiz powiązanej w jakiś sposób z generałem Machado w czasach, kiedy mieszkał w Meksyku.

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Dolores Ortiz? – powtórzył, a ręka z nożem znieruchomiała. – Nazwisko panięskie mojej matki.

– Przecież wiem.

Rick zmarszczył brwi.

– To znaczy, że matka mogła mieć romans z Emiliem Machadem?

– Odniosłam wrażenie, że to mieli na myśli – odparła, potwierdzając swoje słowa skinieniem głowy. – Nie słyszałam jednak całej rozmowy, tylko fragmenty.

Wydał usta.

– No cóż, ojciec zmarł mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłem. Nie można więc wykluczyć, że matka poznała Machada w Meksyku. Chociaż... to duży kraj.

– Mieszkałeś w Sonorze – przypomniała. – Podobnie jak Machado. Dokończył obieranie pomidora i sięgnął po następnego.

– Ciekawe. Zbieg okoliczności czy rzeczywiście go znała?

– Tak, ciekawe.

– No cóż, dawne czasy – rzucił lekko. – Ona nie żyje, a jego nigdy nie poznałem. Dlaczego federalni mieliby teraz odgrzebywać sprawę jakiegoś romansu sprzed lat?

– Nie mam pojęcia, ale przyznam, że trochę mnie to zaniepokoiło. Jesteś przecież moim synem.

– Tak, jestem. – Uniósł wzrok. – Wiesz, uwielbiam konsternację ludzi, kiedy mnie przedstawiasz. Jesteś jasną blondynką, a ja brunetem w łypie latynoskim.

– Prawdziwy z ciebie przystojniak, dziecko – rzuciła żartobliwie. – Wolałabym tylko, żeby kobiety przestały ci się wyplakiwać na ramieniu i zaczęły cię łowić na męża.

– Przecież noszę broń! – wykrzyknął, udając przerażenie.

Spojrzała na niego spode łba.

– Jak wszyscy policjanci.

– Tak, ale mógłbym niechcący kogoś postrzelić, na przykład próbując objąć kandydatkę.

– Rozumiem, że któraś się tego obawiała?

Westchnął i potwierdził skinieniem głowy.

– Pewna pani mecenas, obrończyni z urzędu. Uważała, że jestem milutki, ale z zasady nie umawia się z uzbrojonymi mężczyznami. Nienawidzi broni.

– Ja także, ale na wypadek, gdybym musiała się bronić, trzymam w szafie strzelbę – przypomniała.

– Ja cię obronię.

– Pracujesz w San Antonio. Kiedy cię nie ma, muszę sama o siebie zadbać. Hayes Carson omal się nie spóźnił... No cóż, nie jestem całkiem bezpieczna.

To się już kiedyś zdarzyło, pomyślał gniewnie Rick, Człowiek, którego zatrzymał, po zwolnieniu z więzienia chciał z zemsty dopaść jego matkę. Tylko przypadkiem Hayes Carson przyjechał wtedy po służbie nieoznakowaną półcieżarówką w sprawie cateringu przed jakąś imprezą. Były więzień wkroczył na ganek z bronią w ręku, naruszając zresztą przy okazji warunki zwolnienia. Zaczął walić w drzwi i żądać, żeby wyszła. Hayes go rozbroił, skuł i zabrał do aresztu. Obecnie ten człowiek odbywał kolejną odsiadkę. Za stawianie oporu policjantowi, wtargnięcie na cudzy



teren, usiłowanie napaści oraz posiadanie broni wbrew warunkom zwolnienia. Barbara wystąpiła jako świadek na jego procesie, podobnie jak Hayes.

Rick pokręcił głową.

– Nienawidzę myśli, że swoją pracą narażam cię na niebezpieczeństwo.

– To przecież wyjątek – pocieszyła go. – Równie dobrze ktoś mógł mieć do mnie pretensję, że dołożyłam do szarlotki za mało lodów.

Uśmiechnął się.

– To przecież wykluczone. Nawet te lody robisz sama. Twoje ciasta są niezwykle. .

– A właśnie. Nie masz w pracy jakiegoś szkolenia? – zapytała.

– Owszem, mam.

– To może zabierzesz ze sobą parę kawałków ciasta?

– Byłoby miło. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Zerknęła na niego z ukosa.

– Czy Gwen lubi szarlotkę?

Odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

– Pracujemy razem. To wyklucza sprawy osobiste.

Westchnęła.

– Dobrze, już dobrze.

Powrócił do pomidorów. Sytuacja mogła urosnąć do rangi problemu. Matka z miłości i w dobrej wierze chciała koniecznie znaleźć mu żonę, a w tej kwestii zamierzał decydować sam. Poza tym nigdy w życiu nie ożeni się z kimś takim jak Gwen, kobietą mającą dwie lewe ręce i dobierającą stroje z gustem neandertalczyka. Zaśmiał się w duchu, wyobrażając ją sobie w niedźwiedziej skórze i z włócznią... Ale nie podzielił się tym żartem z

matką.

Następnego dnia w pracy czekały go testy kwalifikacyjne na strzelnicy. Rick strzelał dobrze, a poza tym wzorowo dbał o służbową broń. Próby strzeleckie pozostawały jednak tym, czego najbardziej nie lubił w pracy policjanta.

Najlepszym strzelcem był porucznik Cal Hollister, który regularnie uzyskiwał sto procent trafień. Rick osiągał zwykle dziewięćdziesiąt parę, nigdy jednak nie zgromadził kompletu. Ponieważ strzelali razem, cierpiał.

Tym razem na test miała przyjść także Gwen Cassaway. Rick zdusił jęk. Na pewno upuści pistolet albo zastrzeli przypadkiem porucznika, a Rick odpowie za brak wyszkolenia podwładnej.

– Co tak jęczysz? – zapytał Hollister, manipulując przy magazynku swojej czterdziestki piątki.

– Nieważne, błądziłem myślami.

Odruchowo poszukał wzrokiem Gwen. Ona także przeładowała broń.

Na strzelnicy nosili okulary ochronne i przypominające słuchawki ochroniacze na uszy. Stojąc już naprzeciwko tarcz, ładowali po sześć nabojów do magazynka. Po wydobyciu z kabury pistolet trzymało się nisko albo nieco wyżej, lecz jeszcze nie w pozycji strzeleckiej, zabezpieczony. Broni, nawet niezaładowanej, nie wolno było kierować w bok, palec zaś nie mógł spoczywać na spuście. Dopiero po przyjęciu pozycji należało broń odbezpieczyć i oddać strzały oburącz.

Precyzyjny strzał wymaga prawidłowego ściągnięcia spustu. Tę umiejętność należy ciągle doskonalić. Rick ćwiczył bardzo często. Nie zdołał jednak nigdy dorównać porucznikowi. Ponieważ psuło mu to humor, próbował przekładać terminy testów i strzelać sam, zawsze jednak tak się składało, że ładowali na strzelnicy razem.

Hollister podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzał Gwen. Wiedział, tak samo jak Rick, że dziewczyna ma kłopoty z koordynacją ruchów. Wydał wargi, a w jego oczach pojawiły się wesole ogniki.

– Spokojnie, Marquez – szepnął. – Jesteśmy ubezpieczeni.

Rick odchrząknął, hamując śmiech.

Hollister mszył na linię strzału. W słońcu jego jasne włosy o barwie miodu lśniły. Spojrzał na Gwen.

– Gotowa, pani detektyw? – rzucił, przeciągając samogłoski, po czym założył ochraniacze.

Gwen miło się uśmiechnęła.

– Tak jest, sir.

Kierownik strzelnicy upewnił się, że wszystko gotowe, i wydał komendę.

Hollister, pewny siebie i rozluźniony, zachichotał, skierował broń na tarczę i zaczął ją dziurawić.

Rick, który z niepokojem obserwował Gwen, ujrzał nagle coś niewiarygodnego. Swobodnie przyjęła pozycję i niemal nie celując, z zegarmistrzowską precyzją wpakowała sześć kul w sam środek.

Rozdziawił usta.

Odłączyła magazynek, upewniła się, że w lufie nie został nabój, i czekała, aż kierownik strzelnicy sprawdzi jej wynik.

– Cassaway – obwieścił po chwili wahania. – Sto procent.

Rick i porucznik spojrzeli po sobie.

– Porucznik Hollister – kontynuował funkcjonariusz, z trudem powstrzymując śmiech – dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Co, u diabła...! – wybuchnął Hollister. – Trafiałem w środek!

– Jedno pudło, sir, o włos – odpowiedział policjant. – Przykro mi.

Wściekły Hollister ordynarnie zaklął.

Gwen pomaszerowała do niego i spiorunowała go wzrokiem.

– Sir, uważam, że to słowo jest nie do przyjęcia. Byłabym wdzięczna, gdyby powstrzymał się pan od używania go w mojej obecności.

Wysokie kości policzkowe Hollistera zabarwił rumieniec. Rick stęzał, czekając na wybuch.

Nie nastąpił. Porucznik uśmiechnął się do początkującej detektyw.

– Punkt dla pani, detektywie – odparł tonem nawet sympatycznym.  
– Przepraszam.

Gwen przełknęła ślinę. Niemal dygotała.

– Dziękuję, sir.

Odwróciła się i zaczęła się oddalać.

– Tak przy okazji: nieźle strzelasz – skomentował, wysuwając magazynek.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dziękuję.

Przeniosła spojrzenie na Ricka, który nadal wpatrywał się w nią z rozwartymi ustami. Już miała rzucić jakąś uwagę, ale się powstrzymała.

Rick dopiero teraz wypuścił powietrze z płuc.

– Potyka się o własne nogi – mruknął – a strzela cholernie dobrze.

– Fakt – zgodził się porucznik. Pokręcił głową. – Ludzie mogą zaskakiwać.

– To prawda, sir. Szczera prawda – odpowiedział.

Tego samego dnia na posterunku uwagę Ricka zwróciło dwóch kroczących z godnością facetów w garniturach. Mijając jego biurko, obrzucili go spojrzeniami, wymienili jakieś uwagi i zawahali się. Potem jeden z nich wskazał szybko korytarz i ruszyli dalej.

Zastanawiał się, o co tu może chodzić.

Po kilku minutach podeszła do niego Rogers. Zmarszczyła brwi.

- Dziwne.
- Co? – zapytał, nie odrywając wzroku od komputera.
- Widziałeś tych dwóch w garniturach?
- Owszem, minęli mnie i jakoś dziwnie mi się przyglądali. Kto to?

Federalni?

- Tak. Z Departamentu Stanu.

Zaśmiał się.

- Jasne, wzięli mnie za nielegalnego imigranta.
- Przestań żartować – mruknęła.
- Przepraszam, ale to silniejsze ode mnie. – Uniósł na nią wzrok. –

Departament Stanu zajmuje się przecież tylko ważniejszymi przypadkami nielegalnej imigracji.

– Tak, ale zwykle mamy do czynienia z sekcją wykonawczą Wydziału Imigracji i Naturalizacji, ICE albo z DEA. A ci nie są z Austin w Kolumbii.

- Z samej stolicy?
- Właśnie. Długo rozmawiali z porucznikiem. I jeszcze zabierają go na obiad.

- Co się dzieje? Masz jakiś pomysł?

Pokręciła głową.

- Usłyszałam tylko pogłoskę, że są tu w sprawie Machada.
- Tak, jest poszukiwany za porwanie.

Nie dodał, że jego matka mogła kiedyś znać generała.

- Jest za granicą.
- A skąd ty to wiesz? – zapytał Rick. – Odbierasz jakieś

paranormalne sygnały? – zadrwił, choć wiedział, że Rogers rzeczywiście ma coś w rodzaju szóstego zmysłu, co przyczyniło się do rozwiązania paru spraw.

– Nie. Wpadłam w sądzie na Casha Griera, miał zeznawać w jakiejś sprawie.

– Naszego szefa policji z Jacobsville? – rzekł z namysłem.

– Tak, tego samego. Wspomniał, że zarządca Jasona Pendletona jest na czasowym zwolnieniu z powodu Machada.

– Grange – przypomniał sobie Rick. – Ten, który pojechał do Meksyku po Gracie Pendleton, kiedy ludzie Machada porwali ją dla okupu.

– Właśnie. Wygląda na to, że generał go polubił. Kazał sprawdzić Grange'a i zaproponował mu pracę.

Rick zamrugał.

– Co takiego?

– Też się zdziwiłam, kiedy Grier mnie o tym poinformował – przyznała. – Generał naprawdę ma styl. Powiedział, że ktoś musi dowodzić jego najemnikami, kiedy wybierze się odbijać swój kraj. Grange, były major, jest chyba logicznym i dobrym wyborem.

– Jego kraj to Barrera – zadumał się Rick. – Fajna nazwa dla państwa w Amazonii leżącego pomiędzy Kolumbią, Peru i Boliwią. Barrera to po hiszpańsku bariera.

– Nie wiedziałam, choć w szkole przez dwa lata mieliśmy hiszpański – rzuciła niefrasobliwie. Zrobił do niej minę. – Tak czy inaczej, wygląda na to, że Grange'owi spodobał się pomysł zostania bojownikiem o wolność, demokrację i prawa człowieka, bo przyjął tę posadę. Jest teraz w Meksyku i pomaga generałowi opracować plany ataku.

– A Eb Scott bez wątpienia kieruje do nich kandydatów na

najemników – dodał Rick. – W ośrodku szkolenia antyterrorystów w Jacobsville ma dostęp do samej śmietanki.

– Generał werbuje ich zewsząd. Ma paru byłych członków SAS z Wielkiej Brytanii, jednookiego zbója z Afryki Południowej, niejakiego Rourke’a alias Ślepe Oko...

– Znam go – wtrącił Rick.

– Ja także – odpowiedziała Rogers. – To debil, prawda? Podobno jest naturalnym synem K. C. Kantora, jednego z najbogatszych byłych najemników.

– Tak, jest teraz miliarderem. Ma córkę, która wyszła za doktora Micaha Steele’a w Jacobsville, i chrześniaka, który się wżenił w rodzinę Callisterów, ranczerów w Montanie. – Przymrużył oczy. – Skąd generał bierze aż tyle forsy na finansowanie swojej rewolucji?

– Pamiętaj, że puścił Gracie mimo nieotrzymania okupu. Potem jednak porwał Jasona Pendletona... Gracie zapłaciła z pieniędzy ze swojego funduszu powierniczego?

– Zapomnij o tym – poradził Rick.

– Sześciocyfrowa kwota. Ma więc z czego dokładać. Słyszeliśmy też, że pobrał pieniądze za ochronę od tego, co zostało z kartelu Fuentesesa, kiedy tam u nich działał.

– Zażądał haraczu od baronów narkotykowych na ich własnym terenie? – zdziwił się Rick.

– I go otrzymał. Generał ma dość przerażającą reputację. – Zaśmiała się. – Jest też niezwykle przystojny – dodała. – Widziałam jego fotografię. I podobno to czarujący mężczyzna. Szarmancki wobec kobiet, gra na gitarze i śpiewa jak anioł.

– Człowiek o wielu talentach.

– A wśród nich talent do przewodzenia ludziom. – Rogers westchnęła. – Ale to musi niepokoić Departament Stanu. Zwłaszcza od kiedy meksykański rząd wyraża oburzenie. W końcu Machado, mieszkając w Meksyku, rekrutuje najemników, żeby najechać suwerenny kraj w Ameryce Południowej.

– Ale dlaczego zgłaszają pretensje do nas? My mu przecież nie pomagamy – zauważył Rick.

– Działa przy granicy.

– Jeśli chcą, żebyśmy zrobili coś z Machadem, sami mogliby się zająć zbrojnymi wypadami ludzi karteli przez naszą granicę. Eskortują transporty przemycanych narkotyków.

– Fakt, mogliby przynajmniej spróbować.

– Też tak myślę. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego Departament Stanu buszuje w naszym biurze. Jesteśmy przecież w San Antonio, a granica jest tam. – Wskazał kierunek za oknem. – Kawał drogi stąd.

– Przecież wiem. I to mnie właśnie dziwi. Spróbowałam więc pociągnąć Griera za język.

– Wydobyłaś coś z niego?

Przygryzła wargę.

– To i owo. – Posłała mu zatroskane spojrzenie. Nie mogła zdradzić, czego się dowiedziała. Zobowiązała się pod przysięgą do zachowania tajemnicy. – Niestety, nic konkretnego.

– Sądzę, że w końcu nam powiedzą.

– Też tak uważam.

– A kiedy ma się odbyć ta inwazja na Barrerę? Znamy jakieś terminy?

– Nic pewnego. – Westchnęła. – Ale Departament Stanu ma



podstawy do niepokoju. Nie mogą popierać rewolucji.

- Któraś agencja mogłaby pomóc, rzecz jasna nieoficjalnie.

Miał na myśli agendy rządowe, takie jak CIA. Zdaniem Ricka mogłyby zgodnie z prawem wesprzeć utworzenie w kraju południowoamerykańskim demokratycznego rządu przyjaznego USA.

- Kilraven był w CIA – mruknął. – Może go zapytam, czy coś o tym wie.

- Ja bym na razie nie wściubiała w te sprawy nosa – rzuciła tonem ostrzeżenia Rogers. Gdyby Rick włączył się na tym etapie gry, powstałyby kłopoty. — Wkrótce i tak się dowiemy.

- Masz rację. – Zmienił temat: – Słyszałaś o dzisiejszym wydarzeniu na strzelnicy?

Rozpromieniła się.

- Pewnie! Wszyscy są poruszeni. Nasza młoda detektyw wygrała z porucznikiem!

- O cały punkt. – Rick się uśmiechnął. – Tylko sobie wyobraź. Wpada na doniczki i zdeptuje dowody, a strzela jak stary rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. – Pokręcił głową. – Myślałem, że padnę z wrażenia. Piękne! Chyba nawet nie celowała!

- A porucznik umie przegrywać – dodała Rogers. – Położył jej na biurku różę.

Rick przymrużył oczy.

- Naprawdę? – rzucił chłodno.

Porucznik był wdowcem. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób stracił żonę, nikt tego nie komentował. O ile wiedzieli, z nikim się nie umawiał. A teraz ten kwiat dla Gwen, młodej, niewinnej i z pewnością naiwnej...

- Pytałam, czy uważasz, że można to interpretować jako nękanie

seksualne? – wyrwał go z zamyślenia głos Rogers.

– Dał jej różę!

– No tak, ale przecież trudno, żeby dawał kwiaty dobrze strzelającym mężczyznom, prawda?

– Ja na przykład chętnie kupiłbym kwiaty Kilravenowi, kiedy przyskrzypił faceta, który mnie oślepił i zostawił, żebym umarł – oświadczył żartobliwie.

Westchnęła. Namacała w kieszeni nieotwartą paczkę papierosów, wydobyła ją i obrzuciła smutnym spojrzeniem.

– Brakuje mi palenia. Dzieci kazały mi rzucić.

– I nosisz ze sobą papierosy? – wykrzyknął.

– Uspokajają mnie. To znaczy fakt, że mam je w kieszeni.

Oczywiście zapalę tylko w razie ataku nuklearnego. Wtedy nie będzie się liczyło.

Wybuchnął śmiechem.

– Jesteś niepoprawna, Rogers.

– Tylko w poniedziałki – odparła i zerknęła na zegarek. – Muszę się zabierać do pracy.

– Daj mi znać, gdy się jeszcze czegoś dowiesz, dobrze?

– Oczywiście – odparła z uśmiechem.

Oddalając się, czuła lekkie wyrzuty sumienia.

Wolałaby zdradzić mu prawdę albo chociaż przygotować jakoś na to, co miało nastąpić. Czekala go niespodzianka. Prawdopodobnie niezbyt przyjemna.

– Przygotowałam wołowinę z kapustą – jęknęła Barbara, kiedy Rick zatelefonował w piątkowe popołudnie, informując, że nie wróci na noc do domu.

– Tak, wiem, że to moje ulubione danie i bardzo żałuję – sumitował się – ale mamy obserwację. Muszę w tym uczestniczyć, to moi ludzie. – Westchnął. – Gwen na pewno wywróci z hukiem kosz na śmieci i będziemy spaleni.

– Myśl pozytywnie – upomniała go i po chwili wahania dodała: – Wiesz, możesz ją jutro przyprowadzić. Wołowina dotrwa i ugotuję nową kapustę.

– Pracuję z nią – powtórzył. – Nie podrywam podwładnych.

– A twój porucznik? – zapytała zwodniczo lekkim tonem. – Słyszałam, że zostawił jej na biurku różę. Cóż za wspaniały, romantyczny mężczyzna!

Zazgrzytał zębami, mając nadzieję, że przez telefon tego nie usłyszała. Męczyło go już przypominanie tej historii, w pracy miało to miejsce wielokrotnie, przez cały tydzień.

– Sam mógłbyś dać jej różę – dodała.

– Chyba tylko razem z wymówieniem! – rzucił nieprzyjemnym tonem.

Westchnęła i po chwili się rozłączyła. Po raz pierwszy w życiu Rick odezwał się do niej niegrzecznie.

Jęknął i ponownie wybrał numer. Telefon dzwonił i dzwonił.

– No odbierz – przemawiał do słuchawki. – Przepraszam. Daj spokój i pozwól mi wyjaśnić...

– Tak? – odparła oschle Barbara.

– Przepraszam. Nie chciałem na ciebie warczeć, naprawdę. Wrócę jutro na obiad i zjem wołowinę z kapustą. Mogę nawet zjeść kruka. Na surowo. – Cisza. – Przyniosę ci różę?

Zaśmiała się.

- W porządku, wybaczam.
- Naprawdę mi przykro. Mamy nawał pracy. Ale, rzecz jasna, nic

mnie nie usprawiedliwia.

- Pewnie. Ale już mi przeszło.
- Jesteś miłą matką.

Zaśmiała się.

- A ty miłym synem. Kocham cię. Do zobaczenia jutro na obiedzie.
- No to dobrej nocy.
- A ty uważaj – upomniała go poważnie. – W dzisiejszych czasach

trudno nawet o niegrzecznych synów.

- Zmienię się. Uczciwie. Do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i ciężko westchnął. Nie wiedział, co go tak rozzłościło. Być może potrzebował wakacji. Brał wolne tylko pod przymusem. Kochał swoją pracę. Stanowisko sierżanta, szefa ośmioosobowego zespołu w wydziale zabójstw, zapewniało mu ciekawe życie i dawało satysfakcję. Przydzielał detektywów prowadzących do spraw, pilnował, by w żadnej niczego nie pominięto, poza tym wypełniał masę papierów i pisał niezliczone sprawozdania. Może jednak krótki urlop by nie zawadził? W przyszłym tygodniu porozmawiam o tym z porucznikiem, postanowił. Na razie musiał jeszcze coś załatwić.

Gwen zajmowała się zabójstwem studentki w śródmieściu, bardzo dziwną sprawą. Kobietę zabił ostrym narzędziem nieznany sprawca albo sprawcy w jej własnym mieszkaniu, w którym wszystkie drzwi i okna zastali zamknięte. Brakowało śladów jakiegokolwiek walki. Dziewczyna była ładna, nie miała ani chłopaka, ani wrogów. Wiodła spokojne życie, nie imprezowała.

Gwen bardzo chciała rozwiązać tę zagadkę. Poinformowała Ricka o odkryciu zdjęć dziwnego mężczyzny w aparacie, który znaleziono w mieszkaniu ofiary. Sprawdziała to. Pracowała naprawdę ciężko.

Tymczasem jednak musiała pomóc w obserwacji mającej na celu ujęcie mężczyzny poszukiwanego za postrzelenie policjanta, który zatrzymał do kontroli jego samochód. Funkcjonariusz przeżył, czekała go jednak wielomiesięczna rehabilitacja. Otrzymali informację, że sprawca ukrywa się w pewnej kamienicy w śródmieściu. Nie wiedzieli jednak, w którym mieszkaniu. Rick postanowił więc obserwować budynek. Ponieważ chodziło o piątkowy wieczór, młodszy detektywi, zwłaszcza stanu wolnego, stawali na głowie, żeby się wymigać. Nawet wywiadowcy znaleźli usprawiedliwienie w postaci zadań, od których rzekomo nie mogli się oderwać. Rickowi pozostała zatem tylko Gwen oraz Ted Sims, młody gorliwy funkcjonariusz ze służby patrolowej, który zgłosił się na ochotnika. Miał nadzieję, że zyska plus u Ricka, może nawet awansuje, a pewnego dnia zostanie detektywem.

Czuwali w obskurnym mieszkaniu przy zgaszonym świetle, obserwując równie obskurny budynek

naprzeciwko. Mieli lunetę, kamerę wideo, urządzenie do podsłuchiwania, dokument uprawniający ich do użycia tego urządzenia oraz tyle kawy, ile troje detektywów może wypić w jeden wieczór. To znaczy dużo.

– Zjadłbym pizzę – westchnął funkcjonariusz Sims.

Rick także westchnął.

– Ja również, ale zapach mógłby nas zdradzić.

– A może zostawić pizzę pod domem? Zwabiony zapachem wyjrzy i już go mamy – rozmarzył się Sims.

– Co masz w tej butelce poza wodą? – zainteresowała się Gwen z

błyskiem w zielonych oczach.

Sims zrobił minę.

- Niestety tylko wodę. A powinienem mieć zimne piwo...
- Och, przestań – jęknął Rick. – Życie bym oddał za łyk piwa.
- Możemy poprosić detektyw Cassaway o skontrolowanie półki z piwem w jakimś pobliskim sklepie i skonfiskowanie sześciopaka na potrzeby ekipy dochodzeniowej – rzucił Sims. – Nikt się nie dowie. Postraszymy właściciela, że znajdziemy jakieś nieprawidłowości w przechowywaniu jajek.

Gwen zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- My nie kradniemy.
- Nigdy – sprecyzował Rick.
- Hej! – Uniósł ręce do góry. – Ja tylko żartowałem.
- Mnie to nie śmieszy – oświadczyła poważnie Gwen.
- Mnie także – poparł ją Rick. Jego twarz zdradzała tłumiony gniew. – Nie życzę sobie, by zaprzysiężony funkcjonariusz w ten sposób żartował.

- Przepraszam – odparł, przelękając z trudem ślinę. – Szczerze. Kiepski żart. Rzecz jasna nie mówiłem poważnie.

Gwen wzruszyła ramionami. Sims był bardzo młody.

- Przepuściłam ten nowy serial science fiction. Zdążyłam już się wciągnąć. Trochę to wkurzające.

- Aha, widziałem – rzucił Rick. – Niezły.

- Mogłaś go nagrać – zauważył Sims. – Nie masz nagrywarki?

Pokręciła głową.

- Nie stać mnie.

Rick posłał jej gniewne spojrzenie.

– Przecież dobrze nam płacą. Mamy pakiet świadczeń, zwrot kosztów, dostęp do dobrych samochodów...

– A ja mam czynsz, opłaty za media, ubezpieczenie, opłaty za samochód i jeszcze muszę sama kupować naboje – mruknęła. – Kogo stać na luksusy? – Spoglądała ponuro. – Przez ostatnie pół roku nie kupiłam sobie żadnego nowego ubrania. To, które mam, wygląda, jakby już zagnieździły się w nim mole.

Rick uniósł brwi.

– Na pewno masz więcej niż jedno ubranie, Cassaway.

– Dwa wierzchnie. Poza tym kilka bluzek, sześć par butów i... i parę innych rzeczy. Muszę z tego coś klecić. A pragnę haute couture!

– Życzę szczęścia – rzucił Rick.

– Szczęście nie wystarczy.

– Hej, czy to nie ten facet, którego szukamy? – zapytał nagle Sims, odrywając oko od lunety.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rick i Gwen wyjrzeni przez okno. Rick sfotografował mężczyznę po drugiej stronie ulicy, wrzucił fotkę do małego komputera i używając programu do identyfikacji twarzy, porównał ją ze zdjęciem poszukiwanego.

– Wynik pozytywny – poinformował. – To on. Zgarniamy go.

Zbiegli po schodach i szybko zajęli ustalone wcześniej pozycje. Mężczyzna ziewnął i znieruchomiał koło znaku przystanku autobusowego.

– Teraz! – krzyknął Rick.

Cała trójka ruszyła biegiem w kierunku zaskoczonego złoczyńcy. W ostatniej chwili spróbował uciec, ale na próżno. Rick zręcznie rzucił go na chodnik. Skul mu ręce na plecach i zachichotał, kiedy schwytyany zaczął kłać.

– Nic nie zrobiłem! – wrzasnął.

– No to nie masz się czym martwić.

Mężczyzna znów zaklął.

– Ładnie go zatrzymałeś – pochwaliła Gwen, kiedy pakowali sprzęt w punkcie obserwacji. Mężczyznę zabrał już radiowóz.

– Dziękuję. Staram się utrzymywać w formie. – Uciekała spojrzeniem. Usiłowała nie zwracać uwagi na to, jaki jest atrakcyjny. – A ty ładnie strzelasz – zrewanżował się.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dziękuję. – Uniosła wzrok. – Przynajmniej mam jedną zaletę.

– Chyba więcej niż jedną, Cassaway.

Zarzuciła torebkę na ramię.

– To znaczy, że na dzisiaj mamy już wolne?



– Jeszcze sporządzę raport, ale możesz go podpisać w poniedziałek. Warknąłem dziś na matkę. Muszę wrócić do domu i jakoś to jej wynagrodzić – dodał.

– Jest bardzo miła.

Odwrócił się do niej i zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz?

– Musiałam w Jacobsville porozmawiać ze świadkiem w tym ostatnim procesie o zabójstwo – przypomniała mu. – Wpadłam na obiad do restauracji, jedynej w mieście poza chińską. Bardzo mi smakowała szarlotka.

Ta ostatnia uwaga miała go przekonać, że chodziło jej tylko o jedzenie.

– No tak.

– Prowadzi ten lokal od dawna?

Skinął głową.

– Otworzyła go kilka lat przed tym, nim zostałem sierotą. Moja naturalna matka pracowała u niej jako kucharka, zresztą krótko.

Gwen skinęła głową, starając się zachować powściągliwość.

– Twoja matka zmarła? To znaczy biologiczna? – zapytała, szukając w torebce kluczyków.

– Razem z ojczymem zginęli w wypadku, kiedy stałem się nastolatkiem. A Barbara właśnie straciła męża i w dodatku miesiąc wcześniej poroniła. Była zrozpaczona, podobnie jak ja. Znała mnie, nie miałem żadnej rodziny, więc mnie adoptowała.

Zaczerwieniła się.

– Przepraszam, nie zamierzałam być wścibska.

Wzruszył ramionami.

– Niemal wszyscy o tym wiedzą – rzucił lekko. – Urodziłem się w

Meksyku, w Sonorze, ale matka i ojczym przenieśli się do Stanów, jeszcze kiedy uczyłem się chodzić. Zamieszkali w Jacobsville. Ojciec pracował na ranczu.

- Co tam robił?
- Ujeżdżał konie.

Odpowiedział chłodno i krótko, jakby niechętnie.

– Miałam wujka, który pracował na ranczach w Wyoming – rzuciła. – Już nie żyje.

Obserwował ją zwężonymi oczami.

– Wyoming? Jesteś przecież z Atlanty?  
– Ale nie urodziłam się tam. – Czekał. Odchrząknęła. – Moja rodzina pochodzi z Montany.

- Wylądowałaś daleko od domu.
- Kiedy byłam mała, rodzice przeprowadzili się do Maryland.
- Pewnie brakuje ci oceanu.

Skinęła głową.

– Bardzo. Nie mieliśmy daleko, jeździliśmy nad morze samochodem. Ale pracuję tam, gdzie mnie pošlą. Poznałam już wiele miejsc...

Żałowała, że nie ugryzła się w język. Widziała jego uniesione brwi.

– Policja z Atlanty wysyłała cię w różne miejsca?  
– To znaczy pracowałam w wielu miejscowościach w pobliżu Atlanty – wyjaśniła pośpiesznie.

– Hm.  
– Zresztą nie służyłam tam od zawsze – dodała, próbując się wycofać. – Przez rok czy dwa pracowałam w pewnej organizacji zajmującej się ryzykiem, w branży ubezpieczeniowej. Wysyłali mnie w różne miejsca w

całym kraju.

– Ryzykiem? Co tam robiłaś?

– Byłam czymś w rodzaju konsultanta do spraw ryzyka – odparła.

Nie było to do końca prawdą, lecz także niecałkowicie kłamstwem. Postanowiła zakończyć tę rozmowę i spojrzała na zegarek. – Och, nie zdążę na serial!

– Boże uchowaj – skomentował. – W porządku, już skończyliśmy.

– Spodziewałam się, że to potrwa dłużej – przyznała, kiedy opuszczali mieszkanie. – Obserwacje przeciągają się często na kilka dni.

– Doprawdy? – zażartował. – Gdzie masz samochód?

Przystanęła u podnóża schodów.

– Tutaj, po drugiej stronie ulicy – odparła wiedząc, że w przeciwnym razie zaproponuje, że ją odprowadzi. Był dżentelmenem.

Skinął głową.

– W takim razie do zobaczenia w poniedziałek.

Uśmiechnęła się.

– Tak jest.

Oddalając się, przeklinała swoją nieostrożność. Tak niewiele brakowało, by wszystko zaprzepaściła!

Barbara była w zwykłym, pogodnym nastroju, posmutniała jednak, kiedy Rick stanął w drzwiach o całą noc wcześniej, niż zapowiedział.

– Miałeś wrócić jutro? – mruknęła.

Wkroczył w głąb mieszkania i mocno ją objął.

Usłyszał tłumione łkanie.

– Czuję się podle – szepnął jej do ucha. – Przysporzyłem ci zmartwienia.

– Trudno. – Cofnęła się, żeby przetrzeć oczy. – Dzieci już takie są.

Uśmiechnął się.

– Nie wszystkie.

– Chcesz kawy? – zapytała.

– Tak – odparł. Ściągnął kurtkę i ruszył za nią do kuchni. Rzucił okrycie na jednym z krzeseł i usiadł za stołem na innym. – Na obserwacji mieliśmy w termosach kawę z ekspresu przelewowego ze sklepu. – Skrzywił się. – Straszna lura.

Zaśmiała się i nastawiła dzbanek.

– Muszą przecież na czymś zarabiać, żeby wyjść na swoje.

– No właśnie.

– Złapaliście drania?

– Tak. Wiesz, ten nowy program do rozpoznawania twarzy jest niesamowity. Zidentyfikował faceta niemal natychmiast.

– Nowa technologia. – Pokręciła głową. – Wszędzie kamery, pogramy do rozpoznawania twarzy, wykrywacze metali na lotnisku... – Odwróciła się do niego. – Czy to wszystko nie jest po to, żeby nam wmówić, że jest bezpieczniej?

– Nie. To jest po to, żeby rzeczywiście było bezpieczniej – stwierdził. – Po prostu utrudnia tym złym omijanie prawa.

– Może i tak. – Wyjęła z kredensu filiżanki. – Upiekłam szarlotkę. Rozumiem, że jesteś już po kolacji.

– Zjadłem hamburgera.

– Śmieciowe jedzenie.

– Szybkie, jak moja praca – odparł. – Teraz, kiedy zostałem szefem, nie mam czasu na celebrowanie posiłków.

Obdarzyła go uśmiechem.

– Byłam taka dumna z twojego awansu! Tyle się uczyłeś!

– Uczylbym się mniej, gdybym zdawał sobie sprawę, ile mi to przysporzy papierkowej roboty – rzucił.

– Odpowiadam za ośmioro detektywów i wszystkie decyzje, które ich dotyczą. Muszę też koordynować naszą pracę z działaniami innych służb, uwzględniać stawiennictwa w sądzie i dodatkowe zadania... Życie prostego detektywa jest znacznie łatwiejsze.

– Przecież uwielbiasz swoją pracę.

Musiał się zgodzić.

– To prawda.

Ukroiła szarlotkę, dołożyła domowe lody i podała mu wraz z czarną kawą. Zajęła miejsce po drugiej stronie stołu i przyglądała się z satysfakcją, jak pochłania ciasto.

– A ty lubisz gotować – rzekł.

Skinęła głową.

– Wiem, że nie jest to marzeniem niezależnej kobiety. Powinnam projektować budynki albo zastraszać pracowników w jakiejś dużej spółce.

– Powinnaś robić to, co chcesz – zaproponował.

– Robię.

– Dobry kucharz to prawdziwy skarb. – Dokończył szarlotkę i, z filiżanką w ręku, odchylił się z uśmiechem na krześle. – Świetne ciasto!

– Dziękuję.

Pociągnął łyk.

– I kawa jest wyjątkowa.

– Pochlebstwem zasłużyłeś sobie na drugi kawałek szarlotki.

Zachichotał.

– Na dziś już wystarczy, dziękuję.

– Weźmiesz kiedyś urlop? – zapytała.

– Jasne. Już sobie załatwiłem wolne w Wigilię.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Urlop to coś dłuższego – wyjaśniła.

Zmarszczył brwi.

– Poważnie?

– Życie nie składa się z samej pracy.

– Przemyślę to w wolnej chwili.

– Oglądałeś dzisiaj wiadomości? – zainteresowała się.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Nadawali materiał o przemocy na granicy. Pozostały przy życiu brat Fuentesesa wysłał do Stanów uzbrojony oddział eskortujący partię narkotyków. Doszło do wymiany ognia ze strażą graniczną.

Skrzywił się.

– Stary problem. Nikt nie wie, jak go rozwiązać. Kwestia zasadnicza: skoro ludzie pragną narkotyków, ktoś je dostarcza. Zniknie popyt, zniknie też podaż.

– Marzenie ściętej głowy. – Zaśmiała się gorzko. – Nie ma na co liczyć.

– W pełni się zgadzam.

– Tak czy inaczej, wspomnieli, że pewien ujęty przemytnik zeznał, że generał Emilio Machado rekrutuje ludzi do zbrojnej inwazji na swój były kraj.

– Słyszałem o tym. Podobno meksykański rząd ma za złe naszemu, że temu nie przeciwdziała.

– Naprawdę? – krzyknęła. – Co jeszcze wiesz?

– Niewiele. Nie możesz jednak nikomu powtórzyć tego, co ci teraz powiem – zastrzegł.

Uśmiechnęła się.

- W razie potrzeby potrafię milczeć jak grób. No dalej, słucham.
- Departament Stanu przysłał do nas ludzi. Rozmawiali z naszym porucznikiem, ale nie wiem o czym.
- Departament Stanu?
- W sprawach zagranicznych trzymają rękę na pulsie – przypomniał jej Rick. – Jeśli ktoś wie, co się naprawdę dzieje, to oni.
- Ja bym raczej sądziła, że to sprawa innych agencji rządowych, zwłaszcza że generał wciąga obywateli USA w zagraniczną akcję zbrojną – odparła po chwili zastanowienia. Uniósł brwi, dodała więc: – To chyba logiczne, prawda?
- Tak – zgodził się. – Wiem, że FBI i CIA mają sekcje antyterrorystyczne, które infiltrują tego rodzaju grupy.
- Właśnie, i to jest najbardziej niebezpieczne. Podobno agenci z takich sekcji często giną.
- Także armia ma takie oddziały – odpowiedział. Pociągnął łyk stygnącej już kawy. – To na pewno interesująca praca.
- Bardzo ryzykowna.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Ale patriotyczna. Zwłaszcza kiedy zagraniczni tajni agenci próbują szkodzić interesom demokratycznych państw.
- Czy w kraju generała nie ma przypadkiem bogatych złóż ropy i gazu ziemnego? – zastanawiała się na głos.
- Podobno. Państwo ma też wysoce strategiczne położenie, a generał skłania się ku kapitalizmowi, nie zaś socjalizmowi czy komunizmowi. I jest życzliwie nastawiony do Stanów Zjednoczonych.
- Punkt dla niego. Wiem od Gracie Pendleton, że ponadto śpiewa

jak anioł – poinformowała z uśmiechem.

- Słyszałem o tym.
- Tak, już omawialiśmy ten temat.

Przypomniała sobie inną rozmowę, przez telefon, i jej twarz posmutniała.

Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

– Naprawdę mi przykro, mamó – rzekł łagodnie. – Nie wiem, co mnie napadło. Zwykle taki nie jestem.

– Nie, nie jesteś. – Zawahała się. Chciała przypomnieć, że z równowagi wyprowadziła go uwaga o poruczniku, który podarował Gwen różę. Uznała jednak, że lepiej to dyplomatycznie przemilczeć. – Uśmiechnęła się i zapytała tylko: – Podgrzać kawę?

Gwen odebrała telefon odruchowo. Jej myśli błądziły wokół reklamy następnego odcinka ulubionego serialu. Miała na nosie znienawidzone okulary, bo tylko dzięki nim mogła oglądać telewizję.

- Tak? – mruknęła.
- Cassaway, masz coś do zaraportowania?

Wyprostowała się.

– Sir!

– Spokojnie, tylko sprawdzam. Jedziemy z żoną na przyjęcie, chciałem się tylko upewnić, że sprawy postępują.

– Bardzo powoli, sir. – Bosa, tylko w dżinsach i koszulce, skuliła się na sofie. – Niestety nie znalazłam sposobu, żeby bez wzbudzania podejrzeń ustalić, co wie. On mnie nie lubi i...

- Trudno w to uwierzyć, Cassaway, jesteś miłym dzieciakiem.
- Doprawdy...
- Przepraszam, usiłuję być politycznie poprawny, ale jestem z



innego pokolenia. Nam, starym, trudno się poruszać w tym nowym świecie.

Zaśmiała się.

– Jakoś pan sobie radzi.

– Wiem, że otrzymałaś trudne zadanie – ciągnął – ale nadal uważam, że właśnie ty nadajesz się do tego najlepiej. Masz podejście do ludzi.

– Może lepsza byłaby jakaś inna kobieta – zaczęła ostrożnie. – Bardziej otwarta na flirt i tym podobne...

– Z Marquezem, tym służbistą? Żartujesz? Natychmiast by się zamknął jak ślimak w skorupie.

Nieco się rozluźniła.

– Rzeczywiście, sprawia takie wrażenie.

– Twardy, patriotyczny, ma bzika na punkcie działania w słusznej sprawie, nawet wbrew przełożonym. I potrafi postawić na swoim. Wygarnął kiedyś ważnemu politykowi, że wtrąca się do śledztwa w sprawie zabójstwa i pożałuje, jeśli coś wycieknie do mediów.

Zaśmiała się.

– Tak, czytałam o tym.

– Uważa, że człowiek moralny to człowiek nieustraszony, który się nie cofa – kontynuował jej szef. – Zatem jesteś odpowiednią osobą. Musisz tylko sprawić, żeby ci zaufał. Powinnaś jednak działać nieco szybciej. W Meksyku robi się gorąco. Nie możemy pozostawać w tyle, kiedy generał wykona swój ruch, prawda? Musimy mieć informacje, móc skorzystać z każdej sposobności, jaka się nadarzy. Generał nas lubi. Nie chcemy, żeby przestał.

– Ale nie możemy pomóc.

Westchnął.

– Nie, nie możemy. Przynajmniej nie ostentacyjnie. Jesteśmy w niezręcznej sytuacji, nie powinno wyglądać na to, że się wtrącamy. Wolno nam jednak za kulisami wpływać na ludzi, którzy mogą się wtrącić. A Marquez jest oczywistym wyborem do kontaktów z Machadem.

– Przeżyje wstrząs – zatroskała się Gwen. – O ile zdołałam wybadać, nie ma pojęcia o swoim powiązaniu z Machadem. Błędne pojęcia.

– Szkoda. To utrudnia sprawę. – Zasłonił dłonią słuchawkę. – Przepraszam – odezwał się po chwili. – Żona czeka, musimy już wyjść. Informuj mnie

i uważaj na siebie – dodał poważnie. – Stąpamy po grzędzawisku. Są ludzie, którzy nie posiadaliby się ze szczęścia, gdybyśmy stracili grunt pod nogami. Pewne kraje są gotowe na wszystko, żeby się tylko zaczepić w Barrerze. Nie muszę ci tłumaczyć, kto to jest ani jakie ma motywy.

– Istotnie, nie musi pan – potwierdziła. – Uczynię, co w mojej mocy.

– Wiem, jak zawsze. – W jego głosie zabrzmiał cieplejszy ton. – Miłego wieczoru, pozostajemy w kontakcie.

– Tak jest.

Rozłączyła się. Przez chwilę wpatrywała się w trzymany w dłoni telefon komórkowy. Poczowała chłód. Tak wiele zależało od jej zdolności dyplomatycznych, sprawności i dyskrecji. Nie po raz pierwszy wykonywała trudne zadanie, nie była nowicjuszka. Jak dotąd jednak nie angażowała się osobiście. Narastające w niej uczucie do Ricka Marqueza komplikowało sprawę. Nie powinna tak bardzo obawiać się go zranić, a jednak się bała. Gdyby mogła jakoś go przygotować, zanim sprawa wybuchnie. Może, pomyślała, znajdę jakiś sposób, jeśli porozmawiam z Cashem Grierem.

Oboje mieli doświadczenie uzyskane w tajnych operacjach, on zaś na dodatek znał Marqueza. Warto spróbować, uznała.

Rankiem, korzystając z wolnego dnia, wsiadła więc do małego samochodu, który najlepsze lata miał już za sobą, i wyruszyła do Jacobsville w stanie Teksas.

Cash Grier powitał ją z uśmiechem w drzwiach swojego pokoju, wprowadził do środka i wskazał krzesło. Kiedy zajmowała miejsce, zamknął drzwi na zamek i zaciągnął roletę.

Rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Cóż za nadzwyczajne środki ostrożności – rzuciła.

Odwzajemnił uśmiech.

– Gdybym podejrzewał, że w telefonie jest podsłuch, zakryłbym aparat poduszką. Rodzina naszego ambasadora w nazistowskich Niemczech zawsze tak robiła. Raz nawet przy szefie Gestapo.

Uniosła brwi.

– Jakoś mi to umknęło.

– Ukazała się nowa książka o dojściu Hitlera do władzy. Zawiera obserwacje poczynione przez Amerykanów w Niemczech w latach trzydziestych – wyjaśnił, siadając i kładąc nogi w wysokich butach na biurku. – Pasjonuję się historią drugiej wojny światowej. Najchętniej wykleiłbym sobie ściany kartkami z książek o europejskim teatrze wojennym i z biografii Pattona, Rommla oraz Montgomery’ego – dodał, wymieniając nazwiska trzech słynnych generałów. – Lubię też czytać o strategiach bitew.

– Czy to nie dziwne zainteresowanie jak na faceta, który latami pracował samotnie, no, może czasem z jakimś obserwatorem? – zapytała, nawiązując do tego, że Grier był w młodości snajperem.

Zachichotał.

– Raczej tak.

– Ja także lubię historię – oświadczyła. – Skłaniam się jednak ku politycznej.

– Co sprowadza nas do przyczyny twojej wizyty – podsumował z uśmiechem.

Nabrała powietrza w płuca i nachyliła się w jego kierunku.

– Otrzymałam bardzo nieprzyjemne zadanie. Związane z Rickiem Marquezem.

Skinął głową i jego twarz spoważniała.

– Wiem. Nadal mam kontakty na wysokim szczeblu w twojej agencji.

– On nie ma pojęcia, co się szykuje – ciągnęła. – Spierałam się o to z szefem, ale nie pozwolił mi nawet o niczym napomknąć.

– Sądzę, że jego matka wie – odparł. – Pytała mnie o to. Usłyszała przypadkiem fragment rozmowy pewnych gości z Waszyngtonu na ten temat.

– Jak uważasz, zdradziła mu coś?

– Ona może wiedzieć, że jego naturalna matka miała dawno temu romans z Machadem. Ale nie jest świadoma reszty. Matka Ricka nie zdradzała sekretów swojego życia prywatnego. Tylko jedna albo dwie osoby wiedzą, co zaszło. – Skrzywił się. – Problem polega na tym, że kuzyn jednej z nich ożenił się z pewną ważną agentką z Waszyngtonu i się wygadał. Właśnie to zapoczątkowało cały łańcuch zdarzeń.

– Trudno utrzymać w tajemnicy coś, co właściwie jest oczywiste – skomentowała. Zmarszczyła brwi. – Ojczym Ricka na pewno wiedział. Z tego, czego się dowiedziałam o jego przeszłości, wynika, że Rick nie miał z

nim najlepszych relacji.

– Facet go bił – poinformował gniewnie Grier. – Między innymi dlatego Rick stwarzał tak wiele problemów jako dziecko. Do czasu wypadku matki i ojczyma nieustannie wpadał w kłopoty. Jednym słowem, dramat, jednak z dobrym zakończeniem. Barbara wzięła go do siebie, wyprostowała i wprowadziła na drogę, która przekształciła go w przykładowego obywatela. Bez niej... – Wymownie rozłożył ręce.

Gwen wpatrywała się w swoje sfatygowane czarne mokasyny. Pomyślała, że warto by je wyczyścić. Ubierała się swobodnie, ceniła jednak schludność.

– Chcesz, żebym mu powiedział, prawda? – zapytał Grier.

Uniosła wzrok.

– Znasz go znacznie lepiej ode mnie. Ponadto Marquez jest w pewnym sensie moim szefem. I na dodatek niespecjalnie mnie lubi.

– Na pewno polubiłby cię bardziej, gdybyś zakładała te przekłete okulary i przestała zadeptywać ślady – rzucił. – Alice Mayfield Jones Fowler z zespołu kryminalistycznego z San Antonio rozpowiada na prawo i lewo, że niewiele brakowało.

Gwen się zaczerwieniła.

– Tak, wiem. – Poprawiła znienawidzone okulary, które zsunęły się na czubek nosa. – Sam widzisz, że zaczęłam je nosić – dodała.

– Nie chciałem cię krytykować – odparł, dostrzegając jej niechęć. – Nie znasz procedur obowiązujących detektywów w wydziale zabójstw. Wiem, że trudno się w nie szybko wdrożyć.

– Tak – potwierdziła. – Na szczęście nikt tu nie sprawdza moich kwalifikacji, referencje wystarczają, ale czuję się bardzo niepewnie. Z tego wszystkiego wymknęło mi się nawet, że moja praca wiązała się z

podróżami. Marquez się zdziwił, bo jak to się ma do rzekomej posady w wydziale zabójstw w Atlancie?

– Oj, niedobrze – syknął.

– I muszę pamiętać, że nigdy nie wyjeżdżałam za granicę. Ciężko żyć podwójnym życiem.

– Owszem. Nie zapomniałem tego aspektu pracy dla rządu – zgodził się. – Właśnie dlatego przed Tippy właściwie nie miałem prywatnego życia.

Wszyscy tu wiedzieli, że Tippy była sławną modelką, a potem aktorką. Droga jej i Casha do ołtarza była bardzo wyboista, teraz jednak mieli już niemal dwuletnią córeczkę i podobno planowali następne dziecko.

– Poszczyło ci się – rzuciła.

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Nigdy nie przypuszczałem, że osiadę w małym mieście i założę rodzinę. No ale teraz trudno mi nawet wyobrazić sobie inne życie. Tris rośnie jak na drożdżach. Jest ruda i zielonooka, jak matka.

Gwen zwróciła uwagę na fotografię na biurku, Casha i Tippy, z Tris i na oko trzynastoletnim chłopcem.

– To brat Tippy? – zapytała, wskazując zdjęcie.

– Rory – potwierdził. – Ma czternaście lat. – Pokręcił głową. – Jak ten czas leci.

– Na to wygląda. – Odchyliła się na krześle. – Tęsknię za ojcem. Od dawna przebywa niemal nieustannie za granicą, chociaż niebawem przyleci na jakieś rozmowy w Waszyngtonie. Dużo się o tym plotkuje. Rick Marquez nie ma pojęcia o moim pochodzeniu – dodała.

– Czeka go więc kolejna niespodzianka. Powinnaś mu to wyjaśnić.

– Nie mogę. To by doprowadziło do kolejnych pytań. –

Westchnęła. – Chciałabym przywitać ojca na lotnisku. Ma już tylko mnie. Przeżyliśmy ciężkie półrocze po śmierci Larry’ego. A tata wciąż nie otrząsnął się po śmierci mamy, choć minęły lata. Ja właściwie też.

– Usłyszałem o twoim bracie od przyjaciela z agencji. Naprawdę mi przykro. Mój ojciec także żyje, no i mam trzech braci. – Uśmiechnął się.  
– Starszy, Garon, jest agentem specjalnym w biurze FBI w San Antonio.

– Poznałam go. Bardzo sympatyczny.

Ukradkiem przyjrzała się Cashowi. Był męski i przystojny, nawet z włosami posiwiałymi na skroniach. Jego ciemne oczy rzucały przenikliwe spojrzenia. Siedząc za biurkiem, mógł wzbudzać strach. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak wykorzystywał to w pracy.

– Nad czym się tak zastanawiasz? – zapytał.

Zachichotała.

– Pomyślałam, że nie chciałabym naruszyć prawa w twoim mieście.

Uśmiechnął się.

– Dziękuję. Ćwiczę groźne spojrzenia.

– Dobrze ci wychodzą.

Westchnął.

– Porozmawiam z matką Marqueza, wspomnę jej o paru sprawach. Zachowam dyskrecję. Nikt się nie dowie, że to z twojej inspiracji, przyrzekam.

– Przede wszystkim niech się nie dowie mój szef – poprosiła ze śmiechem. – Za niezachowanie zasad bezpieczeństwa ześle mnie na posterunek w jakiejś zapadłej dziurze, tym razem naprawdę. I żeby mnie dobić, zadba, żebym tam pilnowała przejścia dla pieszych przy szkole.

– No co ty, to fajna robota – zaprotestował żartobliwie. – U mnie

policjanci ze służby patrolowej biją się o nią. Chociaż... jeden z nich zarobił kopniaka w nogę od pierwszoklasisty.

Uniosła brwi.

– Dlaczego?

– Zabronił mu przechodzić przez ulicę poza przejściem. A trafił na dzieciaka z problemami. Nauczyciele nie mogli sobie z nim poradzić. Po tym incydencie z kopniakiem zwrócili się w końcu do nas. Odwiozłem go do domu radiowozem i odbyłem długą rozmowę z jego matką.

– No tak.

Spoglądał ponuro.

– Samotnie wychowuje dziecko, nie ma żadnej rodziny, a jej syn zbliża się niebezpiecznie do miana stałego klienta sądów dla nieletnich. Ma dopiero sześć lat – dodał ponuro – a już kilkakrotnie został w szkole aresztowany za nieposłuszeństwo.

– Stosują w podstawówce coś takiego jak areszt? – wykrzyknęła z niedowierzaniem.

– Tylko tak to nazwałem. Trzeba odsiedzieć wyznaczony czas w bibliotece. Ostatnim razem kiedy tam trafił, wskoczył na stół i wyrecytował przed bibliotekarką fragment konstytucji Stanów Zjednoczonych o prawach człowieka.

Rozbawiona, otworzyła szerzej oczy.

– Może i chuligan, ale za to bystry.

Skinął głową.

– Wszyscy mają nadzieję, że jego biedna matka wyjdzie za naprawdę twardego *hombre*, który weźmie go w karby, zanim dzieciak naprawdę trafi pod sąd.

Zaśmiała się.



– Dobrze, że ja jestem samotna. Ta opowieść nie zachęca do macierzyństwa.

– Z drugiej jednak strony masz przykład Tippy i mnie – odpowiedział z uśmiechem. – Ja na przykład uwielbiam być tatą.

– Jasne. – Wstała. – No cóż, muszę wracać do San Antonio. Gdyby sierżant Marquez pytał, musiałam z tobą porozmawiać o jakiejś sprawie, w porządku?

– W gruncie rzeczy to naprawdę mamy sprawę, która może się z tym wiązać – oznajmił zagadkowo. – Usiądź, proszę. Opowiem ci o niej.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwa dni później sierżant Marquez wkroczył do biura z ponurą miną. Skinął na Gwen, wskazał jej krzesło i zamknął drzwi.

Pamiętała o swojej wyprawie do Casha Giera i zastanawiała się, czy ten zdążył już porozmawiać z matką Ricka, jeśli zaś tak, to czy przekazała jakieś informacje synowi.

– Ci z komórki od starych nierozwiązanych spraw mają dla nas zadanie – przerwał milczenie, także zajmując miejsce.

– Jakiego rodzaju?

– Odkopali pewną sprawę o zabójstwo sprzed dziesięciu lat. Człowiek poszedł siedzieć głównie na podstawie zeznań jednej osoby. Teraz ten świadek został skazany za podobne przestępstwo. Chcą wiedzieć, czy potrafimy znaleźć jakieś powiązanie.

– No cóż, przypadkiem jest to sprawa, o której opowiedziałam komendantowi Gierowi w Jacobsville – poinformowała zadowolona, że może przy okazji wytłumaczyć swój nagły wyjazd z miasta. – Pracuje u niego funkcjonariusz, który zna rodzinę tego skazanego i mógł go widzieć na jakimś przyjęciu w chwili zabójstwa.

– Zeznawał w procesie?

Pokręciła głową.

– Nawet go nie wezwali. Nikt nie wie dlaczego.

– Interesujące.

– Bardzo. A więc ci od starych spraw chcą, żebyśmy odwalili za nich trochę roboty?

Skrzywił się.

– Pracuje tam masa ludzi, ale dwóch zachorowało, a jednego właśnie przeniesiono do wydziału przestępstw gospodarczych. Ich sierżant mówi, że nie można tej sprawy tak zostawić. Zwłaszcza że teraz zostało popełnione podobne przestępstwo. Ta twoja sprawa studentki. Trzeba przeprowadzić dochodzenie, a akurat nie mają komu tego powierzyć. – Uśmiechnął się. – Podobno nie chcą też włączyć na nasze poletko.

– Mogę to zrozumieć.

– Sprawdzimy więc, czy jest jakieś powiązanie, na podstawie tych dowodów, którymi dysponujemy. Przydzielam ci tę sprawę w dodatku do sprawy zabójstwa studentki. Znajdź związek. Wykryj sprawcę. Spraw, żebym pękał z dumy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Możliwe. Mam już trochę nowych informacji po sprawdzeniu fotografii tego dziwnego faceta w znalezionym aparacie. Pamiętasz, mówiłam ci o tym?

– Tak, pamiętam.

Odnalazła w swoim telefonie policyjne zdjęcie i zademonstrowała.

– Oto on. Znalazłam go dzięki programowi do rozpoznawania twarzy. Sprawca. Nazywa się Mickey Dunagan i jest nam dobrze znany. Od dawna. Dwukrotnie oskarżony o kwalifikowaną napaść, lecz w obu wypadkach uniewinniony. A teraz najlepsze. Lubi studentki. Parę miesięcy temu został zatrzymany za usiłowanie napaści na dziewczynę z tej samej uczelni, co nasza ofiara. Ktoś od nas właśnie jedzie ją przesłuchać. Poza tym fotografię Mickeya Dunagana pokazujemy okolicznym mieszkańcom. A jeśli mamy jego DNA, a założę się, że mamy, bo z powodu tych procesów siedział parę razy w aresztach, i jeśli wystarczy DNA z miejsca zbrodni do porównania, to...

- Dobra robota! – krzyknął.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, sir.

– Przydałby się jeszcze żelazny dowód. – Skrzywił się. – Chociaż podobno żelaznych dowodów nie ma, są tylko słabi adwokaci. Jak dobry obrońca zmiażdży taki żelazny dowód w potężnych szczękach...

- Imponująca metafora, sir – mruknęła.

Zrobił minę.

– Krytykuj moją angielszczyznę, a spędzisz najbliższe miesiące na wielu obserwacjach.

– Gdzieżbym się ośmieliła! – westchnęła z wesołymi iskierkami w oczach.

Odwzajemnił uśmiech. Kiedy się uśmiechała, była bardzo ładna,. Miała pełne, zmysłowe usta...

Wyprostował się i postanowił nie zwracać na to uwagi.

- No to do roboty.

- Zabieram się do tego od razu.

– A tak z ciekawości. Który to funkcjonariusz mógł widzieć skazanego później mordercę na przyjęciu?

– Dan Travis – odparła. – Z policji w Jacobsville. Zamierzam się jutro tam wybrać, żeby z nim porozmawiać. – Sprawdziła w telefonie notatki. – Dunagan został zatrzymany za napaść przez policjanta ze służby patrolowej Dave'a Harrisa. Z nim porozmawiam później. Może zapamiętał coś, co się nam przyda.

- Dobrze. Informuj mnie.

- Oczywiście.

Wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

– Cassaway.

Odwróciła się do niego.

– Sir?

Jego ciemne oczy zwężyły się. Wydawał się pogrążony w myślach. Miał dziwne wrażenie, że jego podwładna nie mówi mu wszystkiego. Lata pracy w policji nauczyły go odczytywać język ciała. Schwytał kiedyś faceta zamierzającego obrabować bank. Po prostu zaniepokoiło go coś w jego zachowaniu. Wdał się z nim w rozmowę i dzięki temu zauważył, że gość ukrywa pod płaszczem strzelbę. Obezwładnił go, skuł i zabrał na przesłuchanie. Dzięki temu rozwiązano sprawę kilku napadów na bank zawieszoną z powodu niewykrycia sprawców. Jego ówczesny przełożony, sierżant Dave Murphy, w dowód uznania zaprosił go nawet na obiad.

– Sir? – Gwen czekała na jego słowa.

Wyprostował się. Obserwował kobietę spod na wpół przymkniętych powiek. Pod wpływem tego spojrzenia niemal zadrżała.

– Co przede mną ukrywasz? – zapytał.

Zaczerwieniła się.

– Niczego nie ukrywam, to znaczy jest... nic.

Zamilkła, mogła tylko pogorszyć sytuację.

– Powinnaś przemyśleć swoje priorytety – zauważył oschle.

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Proszę mi wierzyć, myślę o nich nieustannie.

Skrzywił się i machnął ręką.

– Wracaj do pracy.

– Tak jest.

Niemal wybiegła z pokoju, zaczerwieniona i wytrącona z równowagi. W korytarzu porucznik Hollister zmarszczył na jej widok brwi.

– Co się stało? – zapytał łagodnie.

Przygryzła wargę.

– Nic, sir.

Westchnęła. Tak bardzo chciała powiedzieć komuś, co się dzieje.

Czarne oczy Hollistera patrzyły przenikliwie.

– Zapraszam na chwilę do siebie.

Poprowadził ją z powrotem tą samą drogą, którą właśnie pokonała.

– Siadaj – poprosił Hollister. Obszedł biurko, zajął za nim miejsce i oparł na blacie nogi. Skrzyżował ręce na piersi i odchylił się nonszalancko na krześle. – Mów.

Poruszyła się niespokojnie.

– Wiem coś o sierżancie Marquezie, o czym nie wolno mi z nikim rozmawiać.

Uniósł grubą jasną brew. Nawet się uśmiechnął.

– Znam sprawę.

Zielone oczy Gwen zrobiły się okrągłe.

– Ci faceci w garniturach, którzy mnie odwiedzili, to federalni – wyjaśnił. – Wiem, kim naprawdę jesteś, i wiem, co się dzieje. – Westchnął. – Ja też chciałbym powiedzieć Marquezowi, ale mam związane ręce.

– Odwiedziłam Casha Giera – poinformowała. – On w tym nie uczestniczy. Nie wolno mu zrobić niczego bezpośrednio, ale może mu się coś wypsnąć w Barbara's Café w Jacobsville. To przynajmniej przygotuje sierżanta Marqueza na to, co się wydarzy.

– Nic nie może człowieka przygotować na taką wiadomość, uwierz mi. – Jego oczy zwęziły się jeszcze bardziej. – Chcą, żeby Marquez był łącznikiem, prawda?

Skinęła głową.

– To najlepszy człowiek do tego zadania. Ale na początku bardzo się zdenerwuje i może odmówić.

– Świadomie podejmują takie ryzyko. Nie ośmielają się ingerować bezpośrednio. Nie w obecnej sytuacji politycznej – dodał. – Wiesz co? Po prostu pójdę i mu powiem.

– Naprawdę? – zapytała z uśmiechem.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie, niestety nie mogę. Jestem zbyt przystojny na pobyt w więzieniu. Kobiety zaczną je szturmować i...

Zaśmiała się. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że porucznik ma poczucie humoru.

– Możesz zaprosić Marqueza do teatru i sama mu powiedzieć.

– Szef powiesiłby mnie w siedzibie FBI z tabliczką na szyi, jako ostrzeżenie dla zbyt gadatliwych agentów – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Odciałbym cię, Cassaway. Dobrze żyję z federalnymi. Ale nie mam przesądów, dogadam się też z najemnikami.

– Słyszałam plotkę, że sam byłeś najemnikiem – zapytała, patrząc nie niego przenikliwie.

Zamyślił się i dopiero po chwili odpowiedział:

– I co o tym sądzisz?

Nie skomentowała.

– Poinformuj mnie, jak się sprawy rozwiną – poprosił, po czym wstał i odprowadził ją do drzwi. – Naprawdę powinnaś go zaprosić do teatru. Uwielbia operę i balet, a zwykle musi oglądać je sam. Jakoś nie może znaleźć sobie dziewczyny.

- Dlaczego? Jest dość atrakcyjny – odparła szczerze.
- Nosi broń.
- Ty także. – Wskazała kaburę. – Wszyscy nosimy.
- Tak, tylko że jemu się podobają kobiety, które nie noszą – odpowiedział. – A te nie lubią uzbrojonych mężczyzn. Mówi, że nie umawia się na randki z koleżankami z pracy. Może mogłabyś to zmienić?
- Wątpię. – Westchnęła. – Nie przepada za mną.
- Wyjaśnij tę starą sprawę zabójstwa. Cały wydział od nierozwiązanych spraw wstawi się u niego za tobą – zażartował.
- Skąd wiesz o tej sprawie? – zapytała ze zdziwieniem.
- Jestem porucznikiem – przypomniał. – Zawsze dowiaduje się o wszystkim pierwszy.

Zaśmiała się głośno, tak że Rick to usłyszał.

Cisnął notatnik na podłogę, a później kopnął kosz na śmieci, choć sam nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Człowiek, którego Gwen tropiła, udając zwykłą policjantkę, był nieprzyjemnym lubieżnym osobnikiem oskarżanym już wcześniej o przestępstwa. Pojechała do Jacobsville i odbyła rozmowę z funkcjonariuszem Danem Travisem. Wzbudzał zaufanie i mógł przysiąc, że mężczyzna aresztowany za zabójstwo uczestniczył wraz z nim w świątecznym przyjęciu, którego ani na chwilę nie opuścił. Powiedział o tym prokuratorowi, lecz ten odrzucił dowód, traktując go jako tylko pogłoskę. Travis podał jej nazwiska dwóch innych osób, które mogły potwierdzić tę informację. Zanotowała to i załatwiła, żeby złożył oficjalne zeznanie.

Następnie udała się do Wydziału Patrolowego Południe w San Antonio, żeby porozmawiać z policjantem Dave'em Harrisem, który przed paroma miesiącami zatrzymał Dunagana za usiłowanie napaści na studentkę.



Kiedy Gwen do niego zatelefonowała, pełnił służbę w terenie, umówili się więc na obiad w pobliskim fast foodzie.

Siedzieli nad hamburgerami. Jego mundur oraz jej broń i odznaka przyciągały uwagę klientów baru.

– Ktoś nas obserwuje – syknęła, wskazując oczami dwie młode kobiety przy innym stoliku.

– Och, to tylko Joan i Shirley – rzucił. Z uśmiechem spojrzął na kobiety i pomachał do nich ręką. Jedna z nich oblała się rumieńcem i niemal przewróciła kubek z jakimś napojem. Dave był niebieskookim blondynem, dość przystojnym i w dodatku nieżonatym. – Joan na mnie leci – dodał szepciem. – One wiedzą, że tu jadam, więc też wpadają. Pracują w zakładzie poligraficznym w śródmieściu, Joan jest graficzką. Bardzo utalentowaną.

– To miłe – mruknęła, wbijając zęby w hamburgera.

– Dlaczego zajmujesz się taką starą sprawą? – zapytał, kiedy dokończył sałatkę i upił łyk kawy.

– Wiąże się z nową, nad którą właśnie pracujemy – wyjaśniła, po czym zrelacjonowała to, czego się dowiedziała od Casha Griera.

Uniósł brwi.

– W ogóle go nie przesłuchali?

– Dziwne, prawda? – zgodziła się. – To chyba może być podstawą do unieważnienia procesu, muszę w tej sprawie porozmawiać z prokuratorem. Skazany przebywa w więzieniu już niemal rok.

– Fatalnie, jeśli jest niewinny.

– Pewnie. Na szczęście coś takiego nie zdarza się często.

– A co z podejrzanym w tej nowej sprawie?

– Paskudny przypadek – odpowiedziała. – Wiem, że był na miejscu zbrodni i jeśli zdołamy potwierdzić DNA, powiązemy go z tym. Sąsiedzi

widzieli go w pobliżu mieszkania ofiary rano, przed zabójstwem. Jeśli jest winny, nie chciałabym, żeby się wyniknął, zwłaszcza że sierżant Marquez przydzielił mi tę sprawę.

– Naprawdę? Ilu ludzi ci pomaga?

– Na razie jestem ja i jeszcze jeden detektyw, który przesłuchuje świadków.

Westchnął.

– Jak zwykle oszczędności?

– Niestety tak. Ale jakoś sobie poradzę. W razie potrzeby ci od nierozwikłanych spraw kogoś mi przydzielą.

– Fajna robota to grzebanie w starych sprawach.

Uśmiechnęła się.

– Też tak uważam.

– No to zajmijmy się sprawcą – zaproponował, nachylając się do niej.

Opisał okoliczności próby napadu, po której zatrzymał Dunagana, uczestników zajścia, świadków i swoje działanie. Gwen zanotowała wszystko w telefonie i zachowała plik.

– Dziękuję, bardzo mi pomogłeś.

Uśmiechnął się.

– Bardzo proszę. – Zerknął na zegarek. – Muszę wracać na patrol.

Potrzebujesz jeszcze jakichś informacji?

– Niczego, czego nie mogłabym znaleźć w aktach. Cieszę się, że przedstawiłeś mi swoje przemyślenia, to naprawdę pomaga.

– Zawsze do dyspozycji.

– Szkoda mi tej ostatniej ofiary – dodała, kiedy wstali i ruszyli odnieść tace. – Była bardzo ładna. Sąsiedzi mówili, że zawsze chętnie

pomagała ludziom. – Spojrzała na niego. –

Wiesz, niejaki Sims od was pomagał nam niedawno w obserwacji.

Wyrzucił do kosza papierowy talerz i kubek, a tacę umieścił na stojaku.

– On nie jest takim sobie zwykłym policjantem – rzucił.

– Co masz na myśli? – zapytała, marszcząc brwi.

– Właściwie nic. Ma tylko interesujące koneksje. Są pewni wpływowi ludzie na wysokich stanowiskach – dodał z uśmiechem. – Ale on nie jest moim problemem. Uważam, że wy w wydziale do spraw zabójstw dobrze sobie radzicie. Macie dryg do oddzielania ważnych rzeczy od nieważnych. I jesteście dokładni. Życzę powodzenia z tą sprawą.

– Dziękuję. Naprawdę dziękuję.

Uśmiechnął się.

– Proszę.

W drodze powrotnej myśli kłębiły się jej w głowie. To, czego się dowiedziała, było bardzo pomocne. Mogła rozwiązać sprawę, przez co z pewnością zyskałaby plus u Ricka Marqueza. Nadal jednak pozostawała kwestia tego, co wiedziała, a nie mogła mu zdradzić. Miała tylko nadzieję, że Cash Grier zdoła nieco przygotować sierżanta na trudną wiadomość.

Cash Grier dostał już wcześniej solidną kanapkę z szynką z domowymi frytkami oraz czarną kawę. Teraz poprosił o kawałek słynnej szarlotki Barbary z domowymi lodami.

Podawała mu ją z uśmiechem.

– Nie zjedz za dużo – ostrzegła. – Jest bardzo tuczająca.

Żartowała, ponieważ miał sylwetkę sportowca. W jego czarnych oczach pokazały się wesołe ogniki.

– Jak widzisz, powoli obrastam tłuszczem.

Zaśmiała się.

– No tak, wkrótce całkiem obrośniesz.

Przez chwilę się jej przyglądał.

– Mogłabyś na minutkę usiąść?

Rozejrzała się. Godzina szczytu już minęła. W restauracji zostało tylko dwóch kowbojów i para starszych ludzi.

– Jasne. – Zajęła miejsce naprzeciw niego. – W czym mogę pomóc?

Pociągnął łyk kawy.

– Poproszono mnie o przekazanie pewnych informacji twojemu synowi, ale tak, żeby mu niczego nie powiedzieć.

Zamrugła.

– Brzmi dość zagadkowo.

– Prawda? – Odstawił kawę i się uśmiechnął. – Jesteś bardzo inteligentna. Musisz coś podejrzewać, jeśli chodzi o rodzinę Ricka.

– Dziękuję za komplement. Tak, jasne, podejrzewam. – Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. – Usłyszałam, jak jacyś federalni rozmawiali o

Dolores Ortiz i jej związku z generałem Machado. Dolores krótko u mnie pracowała. Była biologiczną matką Ricka.

– A z jego ojczyma był kawał drania – uzupełnił chłodno. – Wiele o nim słyszałem. Znęcał się nad bydlęm i został za to zwolniony z farmy Ballengera. Podobno tak samo traktował swojego pasierba.

Twarz Barbary stężała.

– Wkrótce po tym, kiedy adoptowałam Ricka, uniosłam rękę, żeby przyglądzić mu włosy. Taki macierzyński odruch. Skulił się. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że poznałam przyczynę jego złego zachowania. Ktoś musiał go bić.

– Tak, ojczym – potwierdził Grier. – Czym popadło, a co najmniej raz skórzany pejczem.

– Więc dlatego ma te blizny na plecach. – Zbladła. – Pytałam, ale nie odpowiadał.

– To cios dla dumy mężczyzny – stwierdził chłodno. – Jackson powinien za to wylądować w więzieniu.

– Oczywiście. – Zawahała się. – Rick nosi nazwisko Marquez. Ale wiem od Dolores, że przybrała to nazwisko, kiedy chłopiec miał siedem lat. Nigdy tego nie zrozumiałam.

– Nie ośmieliła się wpisać nazwiska prawdziwego ojca Ricka do świadectwa urodzenia – wyjaśnił. – Nawet kiedy ten ojciec miał kłopoty z prawem w Meksyku. Nie chciała, żeby się dowiedział o Ricku. Później też miała powód, by zachowywać tajemnicę. Wyszła za Craiga Jacksona, żeby stworzyć synowi dom. Potem było już za późno. Jackson wiedział, kim jest ojciec Ricka, i groził, że to rozpowie, jeśli Dolores go opuści. Nie opuściła, ale to chłopak płacił za jego milczenie.

Barbara poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Czy ten prawdziwy ojciec nie jest przypadkiem pewnym południowoamerykańskim dyktatorem na wygnaniu?

Grier skinął głową.

– No tak.

– I nikt nie może tego zdradzić Rickowi, ponieważ pewna agencja ma nadzieję wykorzystać go jako pośrednika. Chcą, żeby Rick pomógł nakłonić Machada do zawarcia umowy handlowej z naszym krajem, kiedy na powrót obejmie władzę. Co z pewnością nastąpi – dodał cicho. – Zbir, który przejął rządy, wkurza obrońców praw człowieka na całym świecie. Torturuje ludzi, morduje oponentów, kontroluje media... W sumie czyni, co

tylko można, żeby oburzyć wszystkich wierzących w demokrację. Przywłaszcza sobie jednocześnie publiczne pieniądze i ma wszystko, o czym zamarzy. Na przykład wiele rolls-royce'ów, piękne kobiety, domy w najbogatszych miastach europejskich i prywatny odrzutowiec, żeby tam latać. Robotnicy głodują, a rolników zmusza się do hodowli koki. – Pokręcił głową. – Dyktatorzy przychodzą i odchodzą, ale akurat temu mógłby ktoś pomóc.

Rozumiała, co ma na myśli.

– Są w tym względzie jakieś plany? – zapytała.

– Nie patrz na mnie – poprosił. – Myślę o emeryturze. I mam rodzinę.

– Eb Scott dysponuje być może ludźmi, których by to zainteresowało.

– Tak, ale generałowi i tak nie brakuje pomocników. – Uniósł wzrok, gdyż kelnerka dołała mu kawy. – Dziękuję.

Uśmiechnęła się.

– Proszę. A szefowa?

Barbara pokręciła głową.

– Dziękuję, Bess. Mam już dość kofeiny.

– W porządku.

– Któż więc ma odwalić brudną robotę i powiedzieć o tym Rickowi? – zapytała Barbara.

Grier nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

– Och, nie. Nie ja!

– Nikt inny nie pozostaje. Federalni zabronili swoim agentom puścić pary z gęby. Jego porucznik zna prawdę, ale on również został zobowiązany do milczenia.

– Jak więc ich zdaniem ma się dowiedzieć? Dlaczego mu po prostu nie powiedzą?

– Ponieważ mógłby się na nich zdenerwować i odmówić współpracy. A nie mogą znaleźć nikogo innego do nawiązania kontaktu z Machadem.

– Mogliby poprosić Grange'a – zauważyła. – Pracował już dla generała, prawda?

– Grange nie wie.

– Dlaczego ja? – westchnęła. – Rick się wścieknie.

– Tak, ale ty jesteś jego matką i on cię kocha – odpowiedział. – Jeśli dowie się od ciebie, jakoś to przeżyje i może nawet udzieli pomocy federalnym. Gdyby to oni mu powiedzieli, wyładowałyby złość na nich. A nikogo innego do tej roboty nie znajdą.

Milczała, wpatrując się ponuro w świąteczny obrus.

– Będzie dobrze – zapewnił ją łagodnie.

Uniosła wzrok.

– Niedawno się pokłóciliśmy.

– Wy? Dlaczego?

Był zdumiony, ponieważ oddanie Ricka adopcyjnej matce było powszechnie znane.

Skrzywiła się.

– Jego porucznik dał różę Gwen Cassaway, nowej detektyw. Zażartowałam na ten temat. Rick się wściekł, a ja się na niego obraziłam. On tego nie przyzna, ale uważam, że Gwen mu się podoba.

– Doskonale! – krzyknął.

To otwierało nowe perspektywy.

– Może niech ona mu powie? – zaproponowała.

- Nie wolno jej.

Westchnęła.

- Psiakrew. Wszyscy o tym wiedzą?
- Rick nie wie.
- Przestań!
- Zatem to ty musisz mu powiedzieć. Wkrótce.
- Albo?

Nachylił się do niej.

- Albo sześć agencji rządowych przyśle tu swoich ludzi, żeby oskarżyli cię o fałszowanie szarlotki i walkę z priorytetami rządu poprzez stosowanie w kuchni produktów organicznych.

Wybuchnęła śmiechem.

- Rzeczywiście, słyszałam, że grupa SWAT1 najechała jakieś gospodarstwo sprzedające niepasteryzowane mleko. Nie do wiary! W naszym kraju,

w dzisiejszych czasach, przy tych wszystkich prawdziwych problemach, nasyłają uzbrojonych agentów na ludzi, którzy pragną żyć w harmonii z naturą.

- Żartujesz! – krzyknął.
- Chciałabym – odpowiedziała. – Obawiam się jednak, że niedługo zaczną nas przymusowo karmić GMO.

Roześmiał się.

- Powinnaś przestać czytać te dziwne strony internetowe.
- Nie mogę. Nie wiedziałabym, co się naprawdę dzieje na świecie. Nie miałabym na przykład pojęcia, że utrzymujemy bazy na Księżycu.

---

1 SWAT (Special Weapons and Tactics, poi. Specjalne Wyposażenie i Taktyka) – wyspecjalizowana jednostka policji, stworzona do przeprowadzania działań o wysokim poziomie niebezpieczeństwa (przyp. red. ).



Przewrócił oczami.

– Muszę wracać do pracy. – Wstał. – Zatem ustalone. Ty mu powiesz.

Barbara również wstała.

– A mam jakiś wybór?

– Zawsze możesz się przeprowadzić na Grenlandię i zmienić nazwisko.

Zrobiła do niego minę.

– To żaden wybór. Chociaż chciałabym zwiedzić Grenlandię. Mają tam śnieg.

– My także, od czasu do czasu.

– Oni mają więcej. Mogą zrobić całą armię bałwanów. A południowy Teksas jakoś z tego nie słynie.

– Przy okazji, twoje ciasto było wspaniałe.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Staram się.

– Gdybyś zamknęła ten lokal, musiałbym opuścić miasto – odparł na pożegnanie. – Nie wytrzymałbym w okolicy, w której nie ma najlepszego jedzenia w Teksasie.

– Dziękuję. Za tę pochwałę należą ci się dodatkowe lody do następnej szarlotki – przyrzekła z uśmiechem.

Wracając do domu, już się jednak nie uśmiechała. Martwiło ją, że musi powiedzieć Rickowi coś, co go załamie. A już na pewno nie ucieszy. Poza tym nie miała pojęcia, jak zareaguje na tę informację. Grier jednak miał rację co do jednego. Lepiej, żeby Rick dowiedział się o wszystkim od matki niż od jakiegoś biurokraty albo agenta federalnego, dla którego jej syn stanowi tylko narzędzie. Cieszyła ją ich powściągliwość. Wahając się,

okazywali, że nie jest im jednak obce pewne współczucie.

Rick wszedł do domu. Był zmęczony. Miał ciężki dzień, odbył wiele zebrań. Poza tym pewnemu funkcjonariuszowi patrolowemu broń wypaliła przez przypadek i wszyscy musieli przejść dodatkowe szkolenie z zasad bezpieczeństwa. Na szczęście kula trafiła tylko w asfalt i nikomu nie stała się krzywda. Policjant został ukarany dyscyplinarnie, kierownictwo jednak uznało, że warto wszystkim przypomnieć zasady obchodzenia się z bronią.

Marquez zastanawiał się nawet, w jaki sposób funkcjonariusz Sim, bo to jego pistolet wypalił, zdołał ukończyć akademię policyjną. Ten sam facet, który uczestniczył w obserwacji wraz z nim i Cassaway. Nękały go wątpliwości co do postawy młodego policjanta, a na domiar złego okazało się, że ma on wuja wysoko w strukturach policyjnych, który na pewno nie dopuści do zwolnienia Sima ze służby.

– Sprawiasz wrażenie wykończonego – rzuciła z troską w głosie Barbara. – Usiądź, podam ci kolację.

– Już późno – zaproponował, zerkając na zegarek.

– Możemy zjeść nawet o północy – zażartowała. – Nikt nas nie widzi. Jeśli chcesz, zasłonę okna.

Zaśmiał się i ją objął.

– Jesteś prawdziwym skarbem, mamó. Nie ożenię się, chyba że znajdę dziewczynę taką jak ty.

– Miły jesteś, dziękuję.

Podgrzała rostbef i bułeczki, także sałatkę z ziemniaków domowej roboty. Postawiła przed nim talerz.

– Kuchenka mikrofalowa to świetny wynalazek – zauważyła z uśmiechem. – Najlepszy przyjaciel kucharki.

– Pyszne. – Przymknął oczy, rozkoszował się każdym kęsem. – Na

obiad zjadłem tylko kanapkę, a właściwie pół. Tyle zdążyłem między zebraniem.

– A ja w ogóle nie jadłam – poinformowała, zabierając się do swojej porcji.

– Dlaczego?

– Rozmawiałam z Cashem Grierem i straciłam apetyt.

Uniósł wzrok i znieruchomiał.

– Co ci takiego powiedział?

– Coś, co wszyscy wiedzą, a czego nikt nie odważył ci się zdradzić, mój drogi. Mam dla ciebie dość nieprzyjemną wiadomość.

Odłożył widelec.

– Masz raka. – Zbladł. – Prawda? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? – Wstał i ją uściskał. – Poradzimy sobie z tym.

Wyrwała się z jego objęć.

– Czuję się świetnie i nic mi nie dolega. Nie chodzi o mnie, lecz o ciebie. I o twojego prawdziwego ojca.

Zamrugął.

– Mój prawdziwy ojciec zmarł wkrótce po tym, jak się urodziłem.

Wzięła głęboki oddech.

– Rick, twój naturalny ojciec jest teraz w Meksyku i zbiera prywatną armię, żeby najechać pewien kraj.

Opadł na krzesło i poblądł jeszcze bardziej. Wszystkie te plotki i tajemnice nabrały nagle sensu. Wizyty federalnych także.

– Moim ojcem jest generał Emilio Machado – rzekł, nagle zdając sobie z tego sprawę.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Mój ojciec jest południowoamerykańskim dyktatorem – powtórzył Rick, jakby był zahipnotyzowany.

– Obawiam się, że tak. – Barbara przysunęła bliżej krzesło i ujęła jego dłoń. – Prosili, żebym to ja ci powiedziała. Nikt inny nie chciał. Bardzo mi przykro.

– Ale moja matka mówiła, że ojciec nie żyje – rzucił bez przekonania.

– Chciała cię w ten sposób chronić. Machado miał kłopoty z meksykańskimi władzami, ponieważ walczył z przejmowaniem najważniejszych gałęzi przemysłu w swoim kraju przez obce koncerny. Organizował protesty już jako nastolatek. Jest urodzonym przywódcą. Później Dolores nie odważyła się wyznać prawdy, ponieważ Machado był szefem dość znanej międzynarodowej grupy paramilitarnej. Stanowiłbyś cel dla każdego ich wroga. W czasach twojego dzieciństwa ciągle mówili o nim w telewizji i pisali w gazetach.

– Czy on wie? – zapytał Rick. – Wie o mnie?

Barbara przygryzła wargę.

– Nie. Dolores nigdy mu nie powiedziała. – Westchnęła. – Po rozmowie z Cashem przypomniałam sobie coś, co usłyszałam kiedyś od Dolores. Ojciec spłodził cię, mając zaledwie czternaście lat. Ona była starsza, miała siedemnaście. Nie było szans, żeby jej rodzina zgodziła się na małżeństwo. Bardzo cię pragnęła. Urodziła cię i nie zdradziła rodzicom, kim jest ojciec dziecka. No i później także zachowała to w tajemnicy, przynajmniej do czasu, kiedy wyszła za twojego ojczyma. Wiem od Casha,

że on wydobył z niej prawdę. Używał tej wiedzy, żeby zatrzymać twoją matkę przy sobie. Nie protestowała, bo groził, że zdradzi twoją prawdziwą tożsamość. Przyjemniaczek – zakończyła.

– Mój ojczym był sadystą – poinformował spokojnym głosem. – Nigdy z tobą o nim nie rozmawiałem. Zamienił moje życie w piekło, życie mamy zresztą też. Specjalnie naruszałem prawo. Myślałem, że przy okazji służby kuratorskie sprawdzą moją rodzinę, odkryją prawdę i nam pomogą. Ale nikt nie pomógł. Dopiero ty zaoferowałaś matce pracę.

– Tak, próbowałam pomóc – potwierdziła. – Dolores lubiła u mnie gotować, ale twój ojczym nie chciał, żeby miała przyjaciół i interesowała się czymkolwiek poza nim. Był patologicznie zazdrosny.

– A sam nigdy dłużej nie utrzymał pracy. Brakowało nam pieniędzy. Dokarmiałaś mnie – wspominał z ciepłym uśmiechem. – Nawet odwiedziłaś mnie w poprawczaku. Mama była ci wdzięczna. Ojciec nie pozwolił jej mnie odwiedzić.

– Tak, wiedziałam. Robiłam, co mogłam. Próbowałam namówić ówczesnego szefa policji, żeby zbadał waszą sprawę, on jednak nie lubił się wychylać. – Zaśmiała się. – Wyobrażasz sobie, żeby Cash Grier przymykał oko na coś takiego?

– Natychmiast zakułyby ojczyma w dyby – odparł z uśmiechem Rick. Potem spoważniał. – Ojciec jest dyktatorem – powtórzył.

Trudno mu było przywyknąć do tej myśli. Zawsze sądził, że jego prawdziwy ojciec nie żyje.

– Obalonym dyktatorem – poprawiła go Barbara. – A jego kraj schodzi na psy. Ludzie umierają. Chce dokonać przewrotu militarnego, potrzebuje jednak całej pomocy, jakiej możemy mu udzielić. Co sprowadza nas do obecnej sytuacji – dodała. – Pewna grupa paramilitarna wybiera się z

nim do Barrery, w tym paru chłopaków, od Eba Scotta, kilku Europejczyków, jeden afrykański najemnik. Dowodzi nimi Winslow Grange, major w stanie spoczynku, dawny zarządca farmy Comanche Wells Jasona Pendletona.

– Taka siła ognia i rząd niczego nie dostrzegł?

– Nie przyniosłoby to nic dobrego. Machado jest w Meksyku, tuż za granicą – wyjaśniła Barbara. – Nie mogą przecież, i zresztą nie chcą, przeprowadzić inwazji, żeby go powstrzymać. Mogą natomiast próbować znaleźć sposób, żeby zachować się przyjaźnie bez otwartego udzielenia poparcia.

– Aha, rozumiem. Ja jestem kozą.

Zamrugła.

– Przepraszam?

– Zamierzają przywiązać mnie sznurkiem do drzewa, żeby zwabić pumę.

– Pumę? – Zaśmiała się. – Zabawne, opowiadał mi jeden z moich klientów, że ludzie z kraju Machada tytułują go El General. Podobno jest przebiegły i niebezpieczny jak kot, ale podobnie jak to zwierzę, potrafi też miło zamruczeć. – Wyraz jej twarzy złagodniał. – Jak na dyktatora ma świetną opinię w demokratycznych krajach. Jest inteligentny, miły, szarmancki wobec kobiet i nie lęka się walczyć o sprawiedliwość.

– I nosi czerwoną pelerynkę jak Superman? – mruknął Rick.

Pokręciła głową.

– Niestety nie.

– Kto nad tym pracuje? – zapytał. – Czy mój porucznik wie?

– Tak. Poza tym macie u siebie tajnego agenta udającego zwykłego policjanta – dodała. – Zdradził mi to funkcjonariusz patrolowy, który ma

przyjaciela w policji w San Antonio, niejaki Sims.

– Sims. – Ściągnął twarz. –Ma znajomości. I jest nieetyczny. Uważam, że nie nadaje się do policji. Nieostrożnie obchodzi się z bronią i omal nie postrzeli! się w stopę. To z jego powodu mieliśmy dodatkowe szkolenie z zasad bezpieczeństwa.

– Uczenie ostrożności w obchodzeniu się z bronią to nic złego.

Westchnął.

– Wiem. – Powrócił myślami do kwestii swojego pochodzenia. – Dlaczego matka mi nie powiedziała? – wybuchnął.

– Chciała cię chronić. Jestem pewna, że w końcu by się zdecydowała – dodała. – Po prostu nie zdążyła przed śmiercią.

Skrzywił się.

– To co ja mam teraz zrobić? Przejść przez granicę, znaleźć generała i powiedzieć: „Cześć, pewnie nie zgadniesz, ale jestem twoim synem”?

– Nie sędzę, żeby to było mądre – odpowiedziała. – Przede wszystkim nie wiadomo, czyby uwierzył. A ty na jego miejscu jak byś zareagował?

– Dobre pytanie. – Odchylił się na krześle i wbił wzrok w obrus. – Mógłbym sobie załatwić badanie DNA. Jest też prywatna firma, która określa ojcostwo na podstawie grupy krwi. Gdyby moja dała się pogodzić z grupą generała, pomogłoby to go przekonać. Chwileczkę – dodał chłodno. – Dlaczego w ogóle miałoby mnie to obchodzić?

– Dlatego, że on jest twoim ojcem, Rick – odpowiedziała łagodnie. – Pomimo że o tym nie wie.

– A jedynym celem rządu jest łączenie rodzin odparł ironicznie.

– Niestety nie. Chcą, by ktoś przekonał generała do zawarcia z



USA umowy handlowej, bo oni są pewni, że odzyska władzę. Dlatego chcą, żebyś się z nim zaprzyjaźnił.

– Na pewno zachwyci go wiadomość, że ma dorosłego syna, w dodatku gliniarza – rzekł chłodno. – Zwłaszcza że jest u nas poszukiwany za porwanie.

Oparła podbródek na złączonych dłoniach.

– Mógłbyś go zatrzymać – zaproponowała – a potem zaprzyjaźnić się z nim w areszcie. Jak myszka, która wyjęła lwu skórę z łapy i w końcu zostali przyjaciółmi.

– Za granicą nie mogę nikogo zatrzymać. Mogłem się urodzić w Meksyku, ale jestem obywatelem USA. I osiągnąłem to ciężką pracą. Legalnie.

Barbara skrzywiła się.

– Przepraszam – rzekł po dłuższej chwili. – Wiem, że jesteś po stronie ludzi, którzy się tu ukrywają, bo nie stać ich na czekanie na zezwolenie. W krajach, z których pochodzą, mogliby przypłacić życiem samo tylko zwrócenie uwagi na coś, co nie powinno ich obchodzić.

– Tak, w niektórych państwach Ameryki Środkowej źle się dzieje – potwierdziła.

– I na naszej granicy.

– Coraz gorzej.

Wstał i nalał sobie kawy, po czym wyłączył ekspres.

– Kto jest wtyczką w moim biurze?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – Wiem tylko, że Sims powiedział o tym swojemu przyjacielowi, policjantowi od Casha Griera. To ktoś ze służb federalnych.

– Ciekawe, skąd Sims wie.



- Może to on jest tą wtyczką? – zażartowała.
- Mało prawdopodobne. Federalni mają na ogół zbyt wiele szacunku dla prawa, żeby go nadużywać. A Sims wpadł na pomysł, żebyśmy skonfiskowali piwo w sklepie jako dowód w jakiejś wymyślonej sprawie i zagrozili sprzedawcy, że go posadzimy, jeśli się poskarży.
- I ktoś taki pracuje w policji? – krzyknęła ze zgrozą.
- Jak widać – odparł. – Nie podobały mi się jego słowa i mu to wygarnąłem. Jakby żałował, ale wątpię, czy szczerze. Jednym słowem, chłopak z problemami.
- Czy to nie brzmi jakoś znajomo? – zapytała, jakby nie zwracając się do nikogo konkretnie.
- Kiedy ja ukończyłem akademię i złożyłem przysięgę, że będę bronił prawa, nigdy nawet nie pomyślałem, żeby żartować z jego łamania – oświadczył chłodno.
- Jesteś pewien, że nie przesadzasz z tym Simsem? – zapytała łagodnie.
- Tak samo zareagowała Cassaway. Nawet jeszcze bardziej się wkurzyła. – Zaśmiał się. – A później pokonała porucznika na strzelnicy. Szpetnie zaklął. Wtedy Cassaway podeszła do niego i powiedziała, że czuje się obrażona i że nie powinien używać przy niej takich słów. – Rick posłał matce smutne spojrzenie. – Stąd ta róża.

Barbara sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Twój porucznik jest bardzo atrakcyjny – rzuciła. – I jest wolny. Sądzę, że mógłby uznać pannę Cassaway za interesującą, czy coś w tym rodzaju.
- Może uznał – odparł – chociaż Bóg jeden wie dlaczego. Dobrze strzela, przyznaję, ale tak w ogóle to chodząca katastrofa. Nie rozumiem,

dlaczego zatrudniono ją w policji.

Nie chciał już rozmawiać o Cassaway i poruczniku. Drażniło go to z przyczyn, których nie rozumiał.

– Mnie ona wydaje się miła.

– Tobie wszyscy wydają się mili – odpowiedział gwałtownie, ale po chwili uśmiechnął się do niej. – Znalazłabyś dobre słowo nawet dla diabła, mamó. Dopatrujesz się w ludziach tylko tego, co w nich najlepsze.

– A ty tego, co najgorsze – odparła tonem nagany.

Wzruszył ramionami.

– Taką mam pracę.

Ponuro się zamyślił. Poczula wyrzuty sumienia.

– Wolałabym, żeby ta sprawa została załatwiona w inny sposób – mruknęła gniewnie. – Zrobili ze mnie kozła ofiarnego.

– Skądże, przecież się na ciebie nie gniewam! – Pocałował ją w głowę. – Ja tylko... nie wiem, co z tym zrobić – dodał z westchnieniem.

Odstawił

stygnącą kawę, wyprostował się i ziewnął. – Jestem skonany. Zbyt wiele papierkowej roboty wieczorami i przesiadywania na obserwacjach. Kładę się spać. Jutro pomyślę. A może coś mi wpadnie do głowy przez sen – dodał.

– Może. Żałuję, że to ja musiałam ci powiedzieć.

– Już się prawie oswoiłem z tą myślą – zapewnił. – Potrzebuję tylko trochę czasu.

Skinęła głową.

Czasu jednak brakowało. Dwa dni później wysoki elegancki mężczyzna o ciemnych włosach i oczach, z tabliczką gościa, ale bez nazwiska, wmaszerował do pokoju Ricka i zamknął za sobą drzwi.

– Musimy porozmawiać – oświadczył.

Rick wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

– Czy my się znamy? – zapytał, ponieważ mężczyzna wydał się mu dziwnie znajomy.

– Raczej tak – odparł z uśmiechem nowo przybyły. – Ale minęło już trochę czasu, odkąd zastawiliśmy w Jacobsville pułapkę narkotykową na Fuentesą i jego chłopaków. Rodrigo Ramirez z DEA.

– No jasne! – Rick zerwał się zza biurka i uściśnął rękę mężczyzny.

– Tak, czas leci. W zeszłym roku kupiliście tu z żoną dom.

Skinął głową.

– Pracuję teraz w DEA w San Antonio, już nie w Houston, a żona w biurze prokuratora Blake’a

Kempa w Jacobsville. Przy jej ciśnieniu wolałbym, żeby siedziała w domu, ale upiera się, że przestanie pracować dopiero wtedy, kiedy ja. – Wzruszył ramionami. – Żadne z nas nie chce już zmieniać zawodu, jakoś więc sobie radzimy.

– Zajmujesz się tą sprawą Barrery? – zapytał Rick.

– W pewien sposób. Mój daleki krewny jest wysoko postawionym dygnitarzem w Meksyku i to daje mi dostęp do niektórych poufnych informacji. – Zawahał się. – Nie mam pewności, ile ci powie.

Rick wskazał Ramirezowi krzesło i zajął na powrót miejsce za biurkiem.

– Wiem, że El General ma syna, który jest policjantem w San Antonio – rzucił drwiąco.

– A zatem wiesz.

– Od matki. Chcieli, żebym poznał prawdę, ale nikt nie odważył się osobiście mi jej ujawnić.

– Tak, to był problem, jak ci powiedzieć i kto ma to zrobić. Nie chcieli cię zrazić.

– Nie bardzo rozumiem, jak mogę pomóc – rzucił z irytacją Rick. – Nie wiedziałem, że mój naturalny ojciec żyje, a już tym bardziej, kim jest. Z kolei generał nie ma o mnie pojęcia. I wątpię, czy uwierzyłby mi na słowo.

– Ja także. Agencjom rządowym brakuje czasami szczypty zdrowego rozsądku – dodał. – Założył nogę na nogę. – Zostałem wybrany, jak mógłbyś to nazwać, do dokonania prezentacji przez mojego kuzyna.

– Kuzyna?

– Jest prezydentem Meksyku.

– Psiakrew!

Ramirez się uśmiechnął.

– Tak samo zareagowałem, kiedy mnie o to poprosił.

– Przepraszam.

– Nie ma problemu. Obaj przeżyliśmy podobny szok. Sądzę, że generał zareaguje bardzo źle. Chciałbym, żeby był ktoś, kto porozmawia z nim w naszym imieniu.

– Jak matka ze mną za federalnych? – zażartował Rick.

– Właśnie.

Rick zmarszczył brwi.

– Wiesz, Gracie Pendleton miała z nim całkiem dobre relacje. Odmówiła nawet rozważenia wniesienia na niego skargi. Została o to poproszona, na wypadek gdybyśmy chcieli zażądać ekstradycji Machada od rządu meksykańskiego. Odmówiła zdecydowanie.

– Słyszałem o tym. Ona jest moją szwagierką, chociaż nie jest spokrewniona z moją żoną. Nawet nie pytaj – dodał, machając ręką. – To zbyt skomplikowane, żeby teraz wyjaśniać.

– Dobrze, nie zapytam. Pamiętam Glorię – przypomniał Ramirezowi. – Z Cashem Grierem nauczyliśmy ją, jak strzelać, żeby nie dziurawić samochodów na parkingu – zakończył z uśmiechem.

– I nauczyliście – Ramirez odparł z uśmiechem, ale niemal od razu spoważniał. – Może Gracie mogłaby porozmawiać z generałem, gdybyśmy zdołali dać mu jakoś znać – rzucił.

– Mamy tu w areszcie faceta z organizacji Fuentesas. Ponoć jest szcya. Akurat jutro wychodzi na warunkowe.

– Prawdziwa okazja. – Ramirez się zaśmiał.

– I to w samą porę. Zapytam, czy nie poprosiłby generała, żeby zatelefonował do Gracie. A jak ją skłonicie do wykonania za was brudnej roboty?

– Moja żona przekupi ją kwiatami, czekoladą i dekoracjami bożonarodzeniowymi.

– Co takiego? – zdziwił się Rick.

– Gracie uwielbia świąteczne ozdoby, a moja żona ma dostęp do katalogu rzadkich, tradycyjnych zabawek. Gracie można skorumpować, jeśli się wie, co ma dla niej wartość – dodał.

Rick się uśmiechnął.

– Pani prokurator wręcza łapówkę, he. Co jeśli ktoś doniesie jej szefowi?

– Jej szef się tylko zaśmieje – zapewnił go Ramirez. – Przecież to w końcu w słusznej sprawie.

Zgodnie z umową Rick powiadomił kuratora, kiedy przestępca opuścił więzienie. O ustalonej porze udał się na spotkanie.

Okazało się, że mężczyzna chętnie przekaze generałowi wiadomość, ale ma swoją cenę. Stanowiło to poważny problem, ponieważ Rick nie mógł

użyć publicznych pieniędzy.

Jeszcze raz przeanalizował sytuację.

– Zaczekaj – rzucił.

Podszedł do woźnego, który opróżniał kosze na śmieci. Wcisnął mu w garść dwie pięćdziesiątki i wytłumaczył, czego od niego oczekuje.

Woźny, zmieszany, lecz chętny do pomocy, podszedł do więźnia i wręczył mu pieniądze.

– To od niego – szepnął, wskazując wzrokiem Ricka.

Więzień się uśmiechnął. Przyjął pieniądze z ukłonem i wylewnie podziękował woźnemu za hojność. Wiadomość została wysłana.

Kiedy Rick wrócił do siebie, zastał Gwen Cassaway na krześle przeznaczonym dla gości. Przyłapał się na tym, że na jej widok serce zabiło mu mocniej i z wysiłkiem stłumił to niechciane uczucie.

– Czy oni muszą kupować właśnie te krzesła? – poskarżyła się. – Gorsze są tylko w szpitalnych poczekalniach.

– Idea jest taka, żeby rozmówca marzył o opuszczeniu tego miejsca – zapewnił ją. – O co chodzi? – zapytał, odpinając broń i umieszczając ją w szufladzie biurka. Zamknął szufladę na klucz i usiadł. – Jakież postępy w sprawie, którą ci przydzieliłem?

Zawahała się.

– O coś innego. Coś osobistego.

Zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Nie jestem od spraw osobistych. Zatrudniamy do tego psychologów.

Westchnęła.

– Masz serce z kamienia? – wybuchła.

Zorientowała się natychmiast, że palnęła głupstwo, i odruchowo

zasłoniła usta dłonią.

Nie zareagował. Tylko dalej się w nią wpatrywał.

- Przepraszam! Tak mi przykro! Nie chciałam tego powiedzieć!
- Cassaway... – zaczął.
- Chodzi o generała – przerwała mu.

Jego ciemne oczy zwężyły się.

– Niech zgadnę. Masz z nim romans i musisz to ujawnić, żeby nie wylecieć z pracy.

Nabrała głęboko powietrza.

- Tak naprawdę, to właśnie generał jest przedmiotem mojej pracy. Wstała, otworzyła portfel i zademonstrowała jego wnętrze Rickowi. Zareagował z niemal komicznym opóźnieniem.

- Jesteś agentem federalnym?

Skinęła głową. Schowała portfel, kiedy ponownie na niego spojrzął, jakby chciał się upewnić, że odznaka nie pochodzi z jakiegoś sklepu z zabawkami.

Umieściła na powrót portfel w torebce przy pasie.

- Przepraszam, że wcześniej tego nie ujawniłam, ale zabronili mi.

Na powrót zajęła miejsce na niewygodnym krześle i oparła dłonie na kolanach.

– Po co, u diabła, udajesz, że jesteś detektywem? – zapytał ze złością.

– Pomysł mojego szefa. Rzeczywiście pracowałam w policji w Atlancie, ale od jakichś czterech lat przeniesiono mnie do agencji wydziału antyterrorystycznego – wyjaśniła. – Przepraszam, to nie był mój pomysł. Miałam wybadać, jak wiele wiesz o swojej rodzinie, żeby oni cię potem nie zdenerwowali.

Uniósł brew.

– Właśnie dowiedziałem się, że mój ojciec żyje i jest południowoamerykańskim dyktatorem. Nie sądzili, że to mnie wytrąci z równowagi?

– To ja poprosiłam Casha Griera, żeby porozmawiał z twoją matką. Nie zabronili mi zwrócić się do kogoś o taką pomoc.

Poruszyła go jej troska. Chociaż wcale jej od tego nie polubił.

– Zastanawiałem się nad twoimi umiejętnościami strzeleckimi – przyznał po całej minucie. – Nie pasowały do zwykłego detektywa.

Uśmiechnęła się.

– Spędzam masę czasu na strzelnicy. Przez dwa lata z rzędu byłam mistrzem swojej jednostki.

– Porucznik bardzo się zdziwił, że go pokonałaś – zauważył.

– Jest bardzo miły.

Spiorunował ją wzrokiem.

Co Rick ma przeciwko swojemu zwierzchnikowi, pomyślała, lecz postanowiła to przemilczeć.

– Powiedziano mi, że pewien oficer z DEA ma spróbować namówić kogoś do rozmowy z generałem Machado na twój temat.

– Tak, Gracie Pendleton z nim porozmawia. Machado ją lubi.

– Przecież on ją porwał! – wykrzyknęła. – I człowieka, który jest teraz jej mężem!

Skinął głową.

– Wiem. Ale ocalił ją też przed jednym z ludzi Fuentesesa.

– Tego nie wiedziałam.

– Ona także go lubi – dodał. – Najwidoczniej generał ma przyjaciół nawet wśród swoich wrogów. A paru federalnych, których znam, uważa go



za jednego z tych lepszych buntowników – dodał sucho.

– Wprowadził w Barrerze demokratyczne rządy – przypomniała. – Położył kres bezprawnym aresztowaniom i inwigilacji, zaprosił zagraniczne media, żeby obserwowały wybory, oraz zdymisjonował kilku polityków, którzy wzbogacili się kosztem ubogich i żyli jak książęta. Z tego, co wiemy, wynika, że jeden z nich pomógł zastępcy Machada dokonać przewrotu.

– Kiedy wyjechał z kraju negocjować warunki umów handlowych – potwierdził Rick. – Wbili mu nóż w plecy.

– Właśnie. Chcielibyśmy, żeby wrócił do władzy, ale mamy związane ręce – powiedziała cicho. – I tutaj zaczyna się twoja rola.

– Generał w ogóle nie wie o moim istnieniu, a co dopiero o tym, że jestem jego synem – powtórzył. – A nawet jeśli się dowie, wątpię, by podskoczył z radości i zaczął mnie zabierać na mecze baseballu.

– Raczej na mecze futbolowe – poprawiła go. – Jest wielbicielem europejskiej piłki nożnej.

Jego brwi uniosły się.

– Skąd wiesz?

– Gromadzę o nim informacje – wyjaśniła. – Smakują mu lody truskawkowe, jego ulubiony muzyk to Marco Antonio Solis, nosi buty w rozmiarze dziewięć i gra na gitarze akustycznej. A w młodości występował na statku wycieczkowym.

– O tym wiedziałem, ale o rozmiarze butów nie.

– Nigdy nie związał się na dłużej z żadną kobietą – kontynuowała – chociaż przyjaźnił się z pewną panią antropolog z USA, która zamieszkała w Barrerze. Znalazła ślady po jakiejś osadzie, które rzuciłyby nowe światło na antropologię, i uczestniczyła w wykopaliskach.

– Co się z nią stało?

– Nikt tego nie wie. Nie udało się nam nawet ustalić jej nazwiska.  
Zdołałam dotrzeć tylko do plotek.

Splótł dłonie na biurku.

– A więc jesteś agentką federalną. Straciłem w ten sposób jednego detektywa, a prowadzisz sprawę o zabójstwo – rzucił szorstko. – Co mam teraz z tym zrobić?

– Przecież pracuję – zaprotestowała. – I osiągam postępy. Kiedy tylko dostaniemy profil DNA, dokonam zatrzymania w nowej sprawie i jednocześnie rozwiążę starą. Zgromadziłam już wiele informacji, w tym zeznanie naocznego świadka, który widział podejrzanego w mieszkaniu zamordowanej tuż przed jej śmiercią.

Wyprostował się.

– Fajnie!

– Dziękuję. Umówiłam się też na rozmowę z przyjaciółką ofiary. To ona zrobiła zdjęcie, na którym jest zabójca. Powiedziała już detektywowi, który badał miejsce zbrodni, że ofiarę niepokoiły przed śmiercią wizyty pewnego mężczyzny.

– Pozwolą ci nadal u mnie pracować? – zainteresował się.

– Tak, dopóki nie wydarzy się coś nowego w sprawie generała – odparła. – Nadal zachowuję pozory.

– Zapomnieli o tobie? – zadrwił.

Zaśmiała się.

– Zbliża się Święto Dziękczynienia i mój szef składa z żoną wizyty w całym Waszyngtonie.

– Rozumiem.

– Kiedy pani Pendleton porozmawia z generałem? Czy ten agent DEA wie?

Pokręcił głową.

– Na razie dopiero się to załatwia. – Odchylił się na krześle. – Sądziłem, że mój ojciec nie żyje. Matka mi powiedziała, że zginął, kiedy byłem niemowlęciem. Nie wiedziałem, że mam ojca, który nie ma nawet pojęcia o moim istnieniu.

– On uwielbia dzieci – pocieszyła go.

– Ale ja nie jestem już dzieckiem.

– Zauważyłam.

Spiorunował ją wzrokiem.

Zaczerwieniła się i uciekła spojrzeniem.

Ogarnęło go poczucie winy.

– Przepraszam. Nie radzę sobie najlepiej z tym wszystkim.

– Mogę to zrozumieć – odpowiedziała. – Wiem, że musisz to ciężko przeżywać.

Ma miły głos, pomyślał. Miękki, ani zbyt wysoki, ani za niski, zabarwiony emocjami. Lubił jego barwę. Dobór koszulek pozostawiał natomiast wiele do życzenia. Właśnie miała na sobie jedną z nich z napisem: „Oszczędź indyka, zjedz na Święto Dziękczynienia konia”. Rozbawił go ten apel.

– Skąd bierzesz te koszulki? Masz prywatnych dostawców? – zapytał.

– Co? Och! – Zerknęła w dół. – No cóż, w pewnym sensie. Jest taka strona internetowa, na której można je sobie samodzielnie komponować i zamawiać. Często z tego korzystam.

Teraz rozumiał, skąd te ekscentryczne ubrania.

– Doprowadzają mojego szefa do szału – dodała z uśmiechem. – Uważa, że w pracy nie prezentuję się wystarczająco godnie.

– Na pewno macie dni bez garnituru, nawet w Waszyngtonie.  
– Nie pracuję w Waszyngtonie – wyjaśniła – tylko tam, gdzie jestem akurat potrzebna. Właściwie żyję na walizkach. – Tym razem uśmiechnęła się smutno. – To nie jest prawdziwe życie. Lubiłam je, kiedy byłam młodsza, teraz jednak chętnie osiadła – bym gdzieś na stałe.

– Mogłabyś dostać posadę w jakimś lokalnym oddziale.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami. – Na razie pracuję tutaj. Przepraszam, że nie powiedziałam ci od razu, kim jestem – dodała. – Lepiej bym się czuła, nie musząc kłamać.

Wyczuwał to.

– Ja też nie mam lekkiego życia... Na przykład teraz, kiedy próbuję zrozumieć przeszłość. Moja matka, przybrana matka – dodał, żeby wykluczyć pomyłkę – powiedziała mi, że generał miał zaledwie czternaście lat, kiedy został moim ojcem. W tym roku w grudniu skończę trzydzieści jeden. To znaczy że on ma... chwileczkę... czterdzieści pięć. – Uniósł brwi. – Młody wiek jak na dyktatora.

Zaśmiała się.

– W wieku czterdziestu jeden lat został prezydentem Barrery – zauważyła. – Przez te cztery lata wiele uczynił dla swojego kraju. Przybranego kraju.

– A u nas jest poszukiwany za porwanie – przypomniał.

– Życzę powodzenia w staraniach o ekstradycję – zadrwiła. – Najpierw zresztą władze Meksyku musiałyby go zatrzymać. A utrzymuje na północy Sonory pokaźne siły. Podobno dysponują nawet haubicą.

– Fakt – potwierdził, ponownie odchylając się na krześle. – Pancho

Villa, który walczył w rewolucji meksykańskiej<sup>2</sup>, został na początku dwudziestego wieku w Meksyku ludowym bohaterem. John Reed, absolwent Uniwersytetu Harvarda i dziennikarz, żył u jego boku przez kilka miesięcy.

– I napisał artykuły o jego przygodach. Wydali je w formie książkowej – dodała, wywołując jego zdumienie. – Długo szukałam egzemplarza w antykwariacie. To jeden z moich skarbów.

TTLR

---

<sup>2</sup> Rewolucja meksykańska (1910–17) – okres przeobrażeń społ. –po– lit. w Meksyku, zapoczątkowany obaleniem rządów P. Daza; następnie walka o władzę i reformy, wystąpienie oddziałów chłopskich F. Villi i E. Zapaty (przyp. red.)–

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Czytałem tę książkę – oświadczył z uśmiechem Rick. – Niestety, nie było mnie na nią stać, wypożyczyłem z biblioteki. Ukazała się w 1914 roku. Rzeczywiście, prawdziwa rzadkość.

Poruszyła się niespokojnie. Nie zamierzała o tym wspominać. Nadal miała przed nim pewne sekrety. Z pensji rządowej trudno wygospodarować gotówkę na taką książkę. Dostała ją od ojca na Boże Narodzenie, którego tożsamość pragnęła utrzymać przed nim w tajemnicy.

– A wiesz, jak naprawdę nazywał się Pancho Villa? – zapytał nagle.

Uśmiechnęła się.

– Urodził się jako Doroteo Arango – odpowiedziała. – Według jednego źródła przyjął imię i nazwisko Pancho Villa, gdyż poszukiwano go za zabicie człowieka, który zgwałcił jego młodszą siostrę. W ten sposób wkroczył na ścieżkę bez–prawia, chociaż przez całe życie walczył o wolność Meksyku i poprawę losu ubogich.

Rick był zachwycony.

– Znasz historię Meksyku – mruknął.

– Owszem, ale najlepsza literatura jest po hiszpańsku. Usilnie uczyłam się tego języka, żeby móc ją poznać. – Zarumieniła się. – Interesuje mnie także historia podbojów, spisana w szesnastym wieku przez księży towarzyszących konkwistadorom.

– Historia podbojów hiszpańskich – stwierdził.

Uśmiechnęła się.

- Lubię też czytać o Juanie Belmontem<sup>3</sup> i o Manolete<sup>4</sup>.

Uniósł brwi.

- O matadorach?

– No cóż, tak – potwierdziła. – Ale nie o współczesnych, o nich nie wiem nic. Natrafiłam na książkę o Juanie Belmontem, na jego biografię. Tak mnie zafascynowała, że zaczęłam również czytać o Jose–lito i innych, którzy walczyli z bykami na początku dwudziestego wieku. Byli tacy odważni. Tylko męstwo przeciwstawiane ogromnemu, silnemu bykowi z ostrymi rogami... – Odchrząknęła. – Wiem, że pochwalanie corridy nie jest teraz w dobrym tonie.

– Ach, no tak! Nie wolno nam wspominać o krwawych sportach – zażartował. – Dawni torreadorzy przypominali żołnierzy walczących w wojnach światowych. Byli twardzi i odważni. Ja lubię historię drugiej wojny światowej, zwłaszcza tę dotyczącą północnej Afryki.

Szerzej otworzyła oczy.

- Rommel, Patton, Montgomery...

Otworzył usta.

- Tak...

Zaśmiała się z pewnym skrepowaniem.

- Z wykształcenia jestem historykiem.

Nie dodała, że zainteresowanie historią wojskowości jest u niej rodzinne ani tego, że jej dziadek znał generała George'a Pattona Juniora osobiście.

- Wspaniale!

- A ty ukończyłeś szkołę wymiaru sprawiedliwości i jesteś na

---

<sup>3</sup> \* Manuel Laureano Rodriguez Sanchez (ur. 4 lipca 1917 w Kordowie, zm. 28 sierpnia 1947 w Linares), znany lepiej jako Manolete – był jednym z najsłynniejszych hiszpańskich matadorów (przyp. red. ).

studiach wieczorowych – wypaliła.

Zaśmiał się.

– A jaki mam numer buta?

– Ósemka. – Uciekła spojrzeniem. – Przepraszam, mam także akta o tobie.

Nachylił się ku niej, jego ciemne oczy się zwęziły.

– Muszę zatem uzupełnić swoją wiedzę o tobie. Tak będzie sprawiedliwie.

Nie chciałyby tego, ale skinęła głową. Zresztą nie dokopałby się do zbyt wielu informacji, nawet gdyby naprawdę próbował. Swoje prywatne sprawy traktowała jako naprawdę bardzo prywatne.

Wstała.

– Wracam do pracy. Chciałam tylko wszystko wyjaśnić – rzekła. – Nie powinieneś myśleć, że chętnie wprowadzałam cię w błąd.

On również wstał.

– Nigdy tak nie sądziłem.

Odprowadził ją do drzwi.

– Przy okazji, czy porucznik nadal przynosi ci róże? – zapytał i natychmiast tego pożałował.

– Och, nie – odparła zaskoczona. – Przeprosił mnie tylko w ten sposób za niecenzuralne słowa.

– Jest wdowcem – poinformował, kiedy dotarli do drzwi.

Przystanąła i uniosła na niego wzrok. Zdała sobie nagle sprawę, że znalazł się bardzo blisko niej. Czowała ciepło jego ciała, a także subtelny egzotyczny zapach wody po goleniu. Serce zabiło jej mocniej.

Sięgała mu głową zaledwie do ramienia. Był wysoki i potężnie zbudowany. Zapragnęła nagle wtulić się w jego ramię albo przyłgnąć ustami



do gładkiej, opalonej szyi.

Wstrzymała oddech i szybko cofnęła się o krok. Napotkała jego badawcze spojrzenie i znieruchomiała. Nie mogła znaleźć słów, które rozładowałyby tę sytuację.

Rick poczuł coś podobnego. Tego dnia Gwen pachniała polnymi kwiatami. Jej skóra sprawiała wrażenie niemal przezroczystej. Zauważył, że prawie nie ma makijażu. Włosy związała w kucyk, miał jednak pewność, że gdyby je rozpuściła, opadłyby platynową zasłoną aż do talii. Pragnął uwolnić jej włosy i zatopić w nich usta.

On także nerwowo się odsunął. To pragnienie wytrącało go z równowagi.

– No to wracajmy do pracy – wypalił, przerywając krepującą ciszę. Ciężko oddychał, jego głos nie zabrzmiał naturalnie.

– Tak, dobrze – wykrztusiła.

Zaczerwieniła się, przez co wyglądała jeszcze ładniej.

Zaczął otwierać drzwi, lecz znieruchomiał,

– Ktoś mi powiedział, że lubisz *Ognistego ptaka*.

Zaśmiała się nerwowo.

– Tak, bardzo.

– W piątek grają Strawińskiego. – Nie powinien, ale nie mógł się powstrzymać. – Kupiłem dwa bilety. Chciałem zabrać mamę, ale ma zajęty wieczór, bo dostarcza jedzenie na jakieś spotkanie w Jacobsville. – Nabrał powietrza w płuca. – Pomyślałem więc...

– Tak. – Odchrząknęła. – To znaczy... Zamierzałeś mnie zaprosić?

Jej zdenerwowanie podziałało na niego uspokajająco. Uśmiechnął się do niej tak, jak nigdy wcześniej.

– Jasne, zamierzałem.

– Och, z przyjemnością. – Odpowiedziała i uśmiechnęła się nieśmiało.

Palcem wskazującym uniósł jej podbródek i spojrzał w łagodne, jasnozielone oczy.

– O szóstej? Zjemy najpierw kolację.

Jej oddech stał się nierówny, bicie serca wprost rozsadzało koszulkę.

– Tak – szepnęła.

Obserwował piękną linię jej ust. Zaczął się do nich nachylać, w tym jednak momencie zadzwonił telefon.

Wyprostował się gwałtownie, wyśmiewając w duchu swoją bezradność.

– No to naprawdę wracajmy do pracy – zakomenderował, odbierając jednak tym słowom powagę szerokim uśmiechem.

– Tak, sir. – Przekroczyła próg i odwróciła się. – Mieszkam przy Oak Street – poinformowała. – Numer dziewięćdziesiąt dwa.

– Zapamiętam.

Oddaliła się niepewnym krokiem.

Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że telefon nadal dzwoni. Wybierał się na randkę z koleżanką z pracy i z pewnością wszyscy niebawem się o tym dowiedzą. A do diabła, mruknął. Naprawdę miał już dość samotnych wypraw do teatru i na koncerty. A ona pracuje u federalnych i długo nie zagrzeje tu miejsca. Dlaczego nie miałby jej zaprosić i cieszyć się jej towarzystwem?

Gwen zamknęła drzwi swojego pokoju i z westchnieniem oparła się o nie plecami. Po rozmowie z Rickiem drżała, a jego zaproszenie sprawiło, że niemal straciła oddech. Umówił się z nią! Zabierał ją na kolację! Wprost nie

mogła w to uwierzyć.

Jej myśli przerwał dźwięk telefonu komórkowego. Sprawdziła, kto dzwoni, i odebrała.

- Cześć, tato! – rzuciła z uśmiechem. – Jak leci?
- Ciężko. Nie oglądasz wiadomości, malutka?
- W jego głębokim głosie dała się słyszeć nutka śmiechu.
- Oglądam – odparła. – Naprawdę mi przykro. Politycy powinni

pozwoić, żeby wojskowymi sprawami zajmowało się wojsko.

- Przyjedź do Waszyngtonu i wytłumacz to PSZ-owi – mruknął.
- Dlaczego nie powiesz po prostu prezydentowi Stanów Zjednoczonych? – zadrwiła.

- W wojsku używamy skrótów.
- Zauważyłam.
- A co u ciebie?
- Pracuję nad delikatną sprawą.
- Rozmawiałem o tym z twoim szefem – odparł. – Powiedziałem

mu, że nie chcę, żeby cię w taki sposób wystawiali na linię ognia.

Skrzywiła się. Mogła sobie wyobrazić tę utarczkę. Jej szef, choć bardzo miły, bywał równie uparty, jak ojciec. Ciekawie byłoby to obserwować.

- I co on na to?

Usłyszała westchnięcie.

- W zasadzie tyle, że powinienem się zająć swoimi sprawami. Jesteśmy do siebie dość podobni.

- Zauważyłam.
- Tak czy inaczej, mam nadzieję, że sobie radzisz. I ten detektyw, z którym pracujesz, także.

– Tak, radzimy sobie, ale, wiesz, generał nie jest złym człowiekiem.

– Jest poszukiwany za porwanie!

– Tak, no cóż, potrzebuje pieniędzy, ale tak naprawdę nikogo nie skrzywdził.

– W jego obozie zginął człowiek – zauważył chłodno.

– Rzeczywiście, generał go zastrzelił, w obronie Gracie Pendleton – odpowiedziała. – Złapał go na gorącym uczynku. Gracie była posiniaczona i wstrząśnięta, ale zdążył w samą porę. To był ktoś z organizacji Fuentesesa.

Zapadła cisza.

– O tym nie wiedziałem.

– Niewiele osób wie.

Westchnął.

– No cóż, może nie taki diabeł straszny, jak go malują.

– Po naszej stronie granicy jest poszukiwany. Ma syna, o którego istnieniu nawet nie wie. Próbujemy uzyskać dostęp do jego obozu, skontaktować się z nim. To niełatwe.

– Tak, o tym też wiem. – Urwał. – A jak tam twoje sprawy sercowe? – rzucił lekkim tonem.

Przełknęła ślinę.

– Sierżant Marquez właśnie zaprosił mnie na koncert orkiestry symfonicznej.

Tym razem milczenie się przeciągało.

– Lubi muzykę klasyczną?

– Tak, balet i operę. I powstrzymaj się, proszę, od złośliwych komentarzy.

– Lubię muzykę klasyczną.

– Ale nie znosisz baletu. Uważasz, że każdy, kto lubi balet, jest co najmniej dziwny.

– Każdy ma jakieś wady – przyznał.

– Jest też miłośnikiem historii wojskowości

– dodała szybko. – W szczególności interesuje go druga wojna światowa w północnej Afryce.

– Jak na ironię. – Zachichotał.

Uśmiechnęła się do siebie.

– Prawda?

Przeciągle westchnął.

– Przyjedziesz do domu na Boże Narodzenie?

– Oczywiście. – Smutno się uśmiechnęła. – Zwłaszcza w tym roku.

– Cieszę się. – Starannie dobierał słowa. – To nie jest łatwe. Żona Larry’ego dzwoni do mnie co drugi dzień i płacze.

– Lindy się z tym pogodzi – odpowiedziała łagodnie. – Potrzebuje tylko czasu. Ona i Larry przeżyli ze sobą dziesięć lat i nie mieli dzieci. Z tego powodu jest jej jeszcze trudniej. Ale to silna kobieta, upora się z tym.

– Mam nadzieję. – Usłyszała skrzypnięcie, jakby wstał z krzesła. – Jego szef upił się na urlopie i zdemolował bar w Marylandzie – przypomniał.

– Larry nie zginął z jego winy – zaprotestowała.

– Każdy, kto decyduje się na tajną misję, zdaje sobie sprawę z ryzyka i świadomie je podejmuje.

– Rzeczywiście, próbowałem mu to wytłumaczyć. „Szlag niech to trafi”, krzyknął...! – Przez chwilę milczał, opanowując emocje. – Powiedziałem generałowi brygady Langstonowi, żeby pomógł, zanim dojdzie do kolejnej tragedii. Obiecał, że spróbuje.

- General Langston był dumny z Larry'ego – zauważyła łagodnie.
- Pamiętam go z pogrzebu.

Przez dłuższą chwilę odpowiedź nie padła.

- Zmieńmy temat.
- W porządku. Co sądzisz o darowaniu kurczakom życia?

Wybuchnął śmiechem.

- Albo wybierzmy się gdzieś na kolację wigilijną, bo nie zamierzam spędzić wolnych dni w kuchni.

– Tym lepiej. Musielibyśmy głodować albo zginąć zatruci tlenkiem węgla.

- Potrafię gotować! Tylko nie lubię!

– Gdybyś korzystała z minutników, nasze jedzenie nie byłoby zwęglone – zauważył. – Ja potrafię ugotować wszystko – rzucił gładko.

– Pamiętam. – Westchnęła. – Wiesz, matka Ricka jest wspaniałą kucharką. I właścicielką restauracji.

– Naprawdę? No to powinnaś za niego wyjść. – Zachichotał. – Nie musiałybyś zawracać sobie głowy gotowaniem.

Zaczerwieniła się.

- To tylko wyjście do miasta, tato.

- Twoje pierwsze... od ilu lat?

- Przestań – mruknęła. – Umawiam się z ludźmi.

– Umówiłaś się z facetem z twojego budynku na wyprawę do pralni samoobsługowej – wybuchł. – To ma być randka?

– Świetnie się bawiłam – odpowiedziała. – Pranie się prało, a my jedliśmy chipsy i rozmawialiśmy o filmach.

Pokręcił głową.

- Malutka, jesteś beznadziejna.

- Dziękuję.
- Poddaję się. Muszę lecieć. Mam za dziesięć minut spotkanie Kolegium Szefów Sztabów.
- Znów wojenne narady?
- Niezupełnie. Podobno PSZ zamierza mi zaproponować objęcie stanowiska po Harcie.
- Żartujesz!
- Takie krążą pogłoski.
- Przyjmiesz? – zapytała z podnieceniem.
- Oglądaj wiadomości, to się dowiesz.
- Byłoby wspaniale!
- Mógłbym zrobić coś użyteczniejszego – odparł. – Ale zobaczymy. Jeśli mi zaproponują, to chyba się zgodzę.
- Świetnie!
- A tak z innej beczki, poznałeś Grange’a?
- Grange? Zarządca Pendletonów? – zapytała z roztargnieniem.
- Tak, Winslow Grange. Podlegał mi ostatnim razem za granicą. – Uśmiechnął się. – Pewien oficer wysłał go ze zbyt małymi siłami i z planem bitwy, który rozszyfrowałby każdy przedszkolak. Grange go związał, zamknął w bagażniku jego własnego samochodu i osobiście poprowadził atak. Dano mu do wyboru opuszczenie armii na honorowych warunkach albo sąd wojenny. Wybrał to pierwsze. Ale złożył jeszcze zeznania w procesie tego oficera, który w rezultacie został zwolniony.
- Należało mu się – skomentowała.
- Zgoda. W każdym razie, Winslow jest moim przyjacielem i chętnie bym kiedyś z nim pogadał. Możesz mu to powtórzyć. Zawsze możemy wykorzystać go jakoś w Waszyngtonie, gdyby mu się znudziło

grzebanie w końskim łajnie.

Zastanawiała się, czy powinna zdradzić ojcu, czym jego kumpel Grange obecnie się zajmuje, uznała jednak, że lepiej nie.

– Powtórzę – obiecała – jeśli będę miała okazję.

– Uważaj na siebie, dobrze? Już tylko ty mi zostałeś – odpowiedział z czułością.

– Wzajemnie – odpowiedziała. – Kocham cię, tato.

– Uhm.

Ojciec nie używał takich słów, lecz wiedziała, że ją kocha, i dlatego powstrzymała się od zgryźliwej uwagi.

– Zadzwoń za kilka dni. W porządku?

– Umowa stoi. – Nakrył dłonią słuchawkę. – Tak, już kończę — powiedział do kogoś. – Muszę lecieć. Do zobaczenia, dzieciaku.

– Do zobaczenia, tato.

Rozłączył się, ona zaś schowała telefon do kieszeni. Wyglądało na to, że dzisiaj przed każdym stoją jakieś wyzwania.

Miała na sobie efektowną czarną sukienkę, do niej włożyła eleganckie czarne pantofle i czarny szal z falbankami, który kupiła w Madrycie. Postanowiła także rozpuścić włosy. Szczotkowała je, aż zaczęły błyszczeć. Tworzyły teraz jasną atłasową zasłonę opadającą wzdłuż pleców. Zrezygnowała z okularów. Skoro nie musiała prowadzić, nie potrzebowała ich. Słuchanie muzyki nie wymagało ostrości widzenia.

Rick założył wieczorową marynarkę i czarny krawat. Zachował swój wytworny kucyk, wymieniając tylko wstążkę na czarną. Wyglądał odłotowo.

Kiedy otworzyła drzwi, obserwował ją z wprawiającym w zakłopotanie skupieniem. Zauważył ładny krój jej sukienki ze skromnym



półkolistym dekoltem i koronką w miejscu, w którym się kończyła, to znaczy w połowie łydki. Urodę jej małych stóp podkreślały pantofle na wysokich obcasach, odsłaniające czubki palców. Działo to na niego pobudzająco.

– Wyglądasz... bardzo ładnie – pochwalił.

Widział jej rumieniec, śliczną karnację i doskonały kształt ust ledwie muśniętych bladą szminką.

– Dziękuję! Ty także – odpowiedziała z nerwowym uśmiechem.

Wysunął zza pleców pudełko i jej wręczył. Zawierało piękny storczyk cymbidium, przypominający te z domu ojca, codziennie starannie zraszane wodą przez jego gospodynię.

– Przepiękny! – wykrzyknęła.

Nieśmiało się uśmiechnął.

– Chcieli mi dać taki do noszenia na nadgarstku, ale wyjaśniłem, że nie wybieramy się na tańce i chcę storczyk do przypięcia.

– Właśnie tę odmianę lubię najbardziej. – Wydobyła kwiat z pudełka i przypięła do sukienki. Wspaniale podkreślał jej czerń. – Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ruszamy?

– Tak!

Chwyciła wieczorową torebkę i zamknęła drzwi. Potem pozwoliła sobie pomóc przy wsiadaniu do jego pikapa.

– Powinienem mieć jakiś wytworniejszy pojazd – mruknął, zajmując miejsce.

– Ale ja uwielbiam pikapy – zaprotestowała. – Mój ojciec ma takiego. Jeździ nim, kiedy akurat przebywa w domu.

Uśmiechnął się.

– No cóż, może się kiedyś dorobię eleganckiego samochodu.

– Nieważne, czym się jedzie, byle dotrzeć na miejsce – rzuciła. –  
Lubię nawet wielozadaniowe pojazdy terenowe.

Uniósł brwi.

– Gdzie czymś takim jeździłaś?

Ugryzła się w język.

– No...

– Zapomniałem – przerwał jej. – Przecież twój brat był  
wojskowym. Przepraszam, nie chciałem przywoływać przykrych  
wspomnień.

Nabrała powietrza w płuca.

– Zginął, robiąc to, co uważał za ważne dla kraju – odpowiedziała.  
– Był patriotą, a operacje specjalne stanowiły treść jego życia.

Ponownie uniósł brwi, więc dodała:

– Zginął w tajnej operacji. Jego dowódca rozpił się z rozpacz.  
Czuje się odpowiedzialny za jego śmierć. To on wydał rozkaz do ataku.

Spojrzenie Ricka złagodniało.

– Pod takim dowódcą mógłbym służyć – rzekł cicho. – Ktoś z  
sumieniem, dbający o swoich ludzi.

Uśmiechnęła się.

– Mój ojciec jest do niego podobny. To znaczy, też ma sumienie –  
dodała szybko.

Nie zauważył potknięcia. Musnął palcami jej policzek.

– Przykro mi, że poniosłaś taką stratę – rzekł. – Ja nie mam  
rodzeństwa. A chciałbym.

Uśmiechnęła się czule.

– Larry był wspaniałym bratem. I mężem. Jego żona jest w  
rozpaczy. Nie mieli dzieci.

– Smutne.

Skinęła głową.

– Chyba najgorzej zniesie Boże Narodzenie – zauważyła. – Larry uwielbiał święta. Co roku wracał do domu do Lindy. Przywoził zawsze masę zagranicznych ozdób choinkowych. My też mamy ich sporo...

Przysunął się bliżej. Jego wielkie dłonie ujęły jej twarz i uniosły głowę. Jasnozielone oczy tonęły we łzach. Nachylił się, bezradny, i zaczął je łagodnie scałowywać.

– Życie sprawia niekiedy ból – szepnął. – Ale oferuje też radość.

Wodził wargami po jej powiekach, nosie, policzkach. Wreszcie, kiedy wstrzymała oddech, zatrzymał je przy jej ustach. Czowała jego oddech o miętej świeżości.

Zawisła spojrzeniem na jego ustach z na wpół przymkniętymi powiekami. Jej policzki były rozgrzane ciepłem jego dłoni. Czekwała.

Odetchnął nierówno i nachylił się do niej. Jego rozum się gdzieś ulotnił, a jego myśli wypełnił jedynie zapach polnych kwiatów. Pragnął poczuć jej usta, ich miękkość. Był pewien, że cudownie smakują...

Zesztywnieli na nagły dźwięk klaksonu. Rick zamrugał, czuł się jak pijany. Ona także z trudem nad sobą panowała. Zaczęła nerwowo grzebać w torebce.

– Chyba powinniśmy ruszyć – rzekł niechętnie. – Musimy zdążyć zjeść kolację przed koncertem.

– T... tak – zgodziła się.

– Pas – przypomniał.

– Och, jasne, zwykle zapinam od razu.

Zaśmiał się i zapiął swój.

Jej nieśmiały uśmiech sprawił, że poczuł się wyższy i silniejszy. Kiedy

przekręcał kluczyk w stacyjce, przypadkowo dotknął jej palców, a potem włączył się do ruchu. Nie pomyślał nawet, że właśnie złamał swoją zasadę niepodrywania koleżanek z pracy. Był na to jednak zbyt szczęśliwy.

Podczas kolacji, którą zjedli w miłej restauracji w San Antonio, obejrzeni pokaz flamenco. Przy dźwiękach gitary tancerka w czerwonej sukni z falbaniastymi rękawami wykonała taniec. Popis był krótki, lecz brawa rozbrzmiewały długo. Ten duet zrobił wrażenie.

– Wspaniale – pochwaliła Gwen z entuzjazmem. – Są świetni!

– Rzeczywiście. – Uśmiechnął się. – Bardzo lubię flamenco.

– Ja także. Widziałam ten stary film *W 80 dni dookoła świata* z Jose Greco i jego grupą taneczną. Wtedy zakochałam się we flamenco.

– Miałem kasetę z Jose Greco – odpowiedział. – Naprawdę fenomenalne.

– Moja matka uwielbiała latynoskie tańce – poinformowała z uśmiechem. – Potrafiła tańczyć je wszystkie.

– Czy jeszcze żyje? – zapytał ostrożnie.

Zawahała się i pokręciła głową.

– Straciliśmy ją, kiedy kończyłam liceum. Tata był za granicą i nie mógł nawet przyjechać na pogrzeb. Larry i ja musieliśmy się wszystkim zająć. Tata długo rozpaczał po jej śmierci, a właśnie kiedy dochodził do siebie, zginął Larry.

– Dlaczego twój ojciec nie mógł przyjechać na pogrzeb? – zapytał ze zdumieniem.

Przełknęła ślinę.

– Uczestniczył w tajnej misji – wyjaśniła. Uniosła rękę, żeby uciąć dalsze pytania. Złagodziła wymowę tego gestu uśmiechem. – Przepraszam, ale on nawet mnie niczego nie opowiada. Kwestia bezpieczeństwa

narodowego.

Uniósł brwi.

– Twój ojciec jest wojskowym?

Zawahała się. Uznała, że potwierdzenie w niczym nie zaszkodzi. Był wojskowym. Tylko że Rick uzna go za zwykłego żołnierza, a to dalece odbiegało od prawdy.

– Tak – odpowiedziała.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz – uznała za konieczne sprostować – ale nie wolno mi niczego więcej zdradzić.

– Jasne. Po co denerwować grube ryby, odzywając się nie w porę.

– Racja.

Musiała stłumić śmiech. Jej ojciec był właśnie grubą rybą. Jednym z najwyższych rangą oficerów armii amerykańskiej.

Kelnerka, która przyjęła ich zamówienie, wróciła szybko z filiżankami gorącej kawy, przystawkami, pikantnymi skrzydełkami, frytkami z serem oraz z sosem chili do maczania.

Rick spróbował skrzydełek i błyskawicznie opuścił widelec.

– Piekielnie ostre! – wyjaśnił.

– Dobrze, że wybrałam czarną sukienkę – westchnęła. – Białą natychmiast upstrzyłabym czerwonymi kropkami. Zawsze kończę z jedzeniem na ubraniu.

Uśmiechnął się.

– Ja także.

Zareagowała uśmiechem.

– Cieszę się, że nie tylko ja miewam takie przygody.

Rick sięgnął po frytki.

- O! Naprawdę dobre. Spróbuj.

Zbliżył do jej ust widelec z nadzianą frytką. Odgryzła kawałek i westchnęła:

- Pyszne.

– Mają tu wspaniałe jedzenie, na przykład nieziemski sos barbecue do skrzydełek. Wiesz, skąd go biorą? – zapytał figlarnie.

Spróbowała zgadnąć:

- Od twojej matki?

Pokręcił głową.

– Pewien agent FBI, Jon Blackhawk, przyszedł tu coś zjeść razem z bratem, niejakim Kilravenem. Jon spróbował ich ówczesnego sosu barbecue, skrzywił się, udał do kuchni i zażądał rozmowy z szefem.

- Żartujesz!

– Nie. Nie doszło do bijatyki tylko dlatego, że Jon założył fartuch i pokazał kucharzowi, jak należy robić sos barbecue. Podobno szef spróbował i zapytał, w jakiej akademii kulinarnej w Paryżu pan Blackhawk studiował. Przeżył wstrząs, kiedy Jon wymienił jej nazwę. – Uśmiechnął się. – Rozumiesz, on naprawdę ukończył w Paryżu jakieś kursy. Jego nowej żonie się poszczęściło. Jeśli nawet ma akurat taki kaprys, żeby coś ugotować, musi z nim walczyć o dostęp do kuchni.

- Słyszałam o nich – odparła. – Interesująca rodzina.

Z namysłem schrupał frytkę.

– Chciałbym mieć dzieci – rzucił. – Dużą rodzinę, która dałaby mi to, czego nigdy nie miałem. – W jego spojrzeniu malowała się gorycz. – Barbara jest najlepszą matką na świecie, ale chciałbym też mieć braci i siostry.

- Masz ojca, który jeszcze żyje – przypomniała.

– I który dozna szoku, poznając swojego syna. Zastanawiam się, czy Ramirez zdołał namówić szwagierkę do rozmowy z generałem?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie telefon Ricka zaczął wibrować. Zerknął na wyświetlacz i wstał, zdumiony.

– Zaraz wróć. Muszę odebrać.

Skinęła głową. Podobało jej się, że nie chce przeszkadzać innym gościom restauracji.

Wrócił po niecałych pięciu minutach.

– Gracie rozmawiała z generałem. On chce, żebyśmy się spotkali w poniedziałek rano na granicy. Pogawędzić, jak to określił.

Uniosła brwi.

– Postęp – skomentowała.

Westchnął.

– Tak, postęp.

Nie dodał, że ma złe przeczucia i że zdenerwował się jak diabli. Jak gdyby nigdy nic dokończył posiłek.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Do końca kolacji Rick prawie się nie odzywał. Gwen także rzadko przerywała ciszę. Zdawała sobie sprawę, że krąży myślami wokół planowanego spotkania na granicy.

W drodze do samochodu trzymał ją za rękę. Czowała jego silne palce wplecione w swoje.

– Będzie w porządku – odezwała się w końcu.

Dotarli właśnie do drzwiczek. Zmierzył ją spojrzeniem.

– Tak uważasz?

– Jesteś dobrym człowiekiem – odparła. – Machado będzie z ciebie dumny.

Nie miał takiej pewności.

– Tak sądzisz?

Uwielbiała zapach jego ciała i tę emanującą z niego siłę.

– Tak.

Posłał jej czuły uśmiech. Przy niej odnosił wrażenie, że jest wysoki, silny i ważny. Dotychczas kobiety wcale go nie dowartościowywały. Przede wszystkim dlatego, że traktowały go tylko jako przyjaciela. Gwen była jednak inna. Pracowała, podobnie jak on należała do klasy średniej. Była na swój sposób ładna i inteligentna. I potrafi zrobić użytek z broni, pomyślał z rozbawieniem. Nie wspominając o tym, jak pobudzała jego zmysły, w nowy i ekscytujący sposób.

– Jesteś bardzo miła – powiedział nagle.

Skrzywiła się.

– Wmawiaj to sobie.



– Nie, naprawdę taka jesteś. – Spochmurniał. – Nigdy nie spotkałem podobnej do ciebie kobiety. Jesteś taka naturalna. Cenię w kobiecie rozum, a także jej aktywność. Imponuje mi pewność siebie... Rozumiesz, co mam na myśli?

Uśmiechnęła się.

– To samo sędzę o mężczyznach.

Odwzajemnił uśmiech.

– Nie pasujemy do nowoczesności.

– Fajnie byśmy się prezentowali w wiktoriańskiej wiosce – potwierdziła. – Jak Edward z książek i filmów *Zmierzch*, tych o wampirach. Uwielbiam je. Każdy obejrzałam chyba z dziesięć razy, a po książki sięgam niemal co wieczór.

– Nie oglądałam filmów o wampirach. Wolę te o wilkołakach.

– Wilkołaki też się tam pojawiają. Sympatyczne wilkołaki.

– Żartujesz.

Zawahała się.

– Mam wszystkie części. Pomyślałam...

Postąpił ku niej o krok, tak że poczuła plecami drzwiczki.

– Tak?

– No, że może chciałbyś obejrzeć ze mną te filmy. Zrobię pizzę. Albo... albo zamówimy...

Ostatnie słowa wypowiedziała niemal szeptem, łamiącym się głosem, ponieważ jego usta coraz bardziej się przybliżały.

– Gwen?

– Hm?

– Zamilknij – szepnął i przywarł do jej warg gorącym, zmysłowym pocałunkiem.

Wydała zduszony jęk i przylgnęła do jego ciała. Wtedy rozkosz zapłonęła w nim jak ogień.

Przytulił ją mocniej do siebie i zaczął namiętnie całować.

– Detektywie!

Usłyszał głos pełen irytacji i zdziwienia. Uniósł głowę, nadal oszołomiony pocałunkiem.

– Co? – mruknął, odwracając się.

– Detektywie sierżancie Marquez – powtórzył głęboki głos.

– Sir!

Gwałtownie się cofnął, niemal zasalutował, lecz zapanował nad tym odruchem. Usiłował wyglądać normalnie. Miał nadzieję, że marynarka zasłania rażąco dowód zainteresowania jego ciała Gwen.

– Co ty, u diabła, wyczyniasz? – zapytał szorstko porucznik Hollister.

– Wszystko w porządku, sir – wykrztusiła Gwen. – Sierżant Marquez pomagał mi odczepić kolczyk od sukienki.

Zamrugnął.

– Co takiego?

– Kolczyk. – Zakołysała nim dłonią. – Zahaczył i przyczepił się do sukienki. A detektyw Marquez pomógł mi go wyplątać. To musiało dziwnie wyglądać. – Zaśmiała się, wykazując zdumiewające zdolności aktorskie.

– Och, rozumiem. – Hollister odchrząknął. Wbił ręce w kieszenie. – Przepraszam, pomyślałem sobie, no cóż... – Przełknął ślinę. – Myślałem, że nie umawiasz się z koleżankami z pracy – rzucił pod adresem Marqueza, który, dzięki powtarzaniu w myślach tabliczki mnożenia, opanował nadzwyczaj szybko swoje pobudzenie.

– Rzeczywiście, sir, nie umawiam się – potwierdził. – Po prostu

oboje lubimy flamenco, a w restauracji występuje tancerka...

Hollister uniósł rękę.

– Jestem tutaj z tego samego powodu. Niestety samotnie – dodał, kierując badawcze i raczej przy tym smutne spojrzenie na Gwen.

– Ona wspaniale tańczy – pochwaliła Gwen. – No i ten gitarzysta! Skinął głową.

– To jej mąż.

– Naprawdę? – wykrzyknęła Gwen.

– Och, tak. Występowali w całej Europie. I być może zagrają w przyszłym roku w filmie.

– Świetnie, staną się naprawdę sławni – ucieszyła się.

Rick zerknął na zegarek.

– Lepiej już jedźmy. W poniedziałek rano mam spotkanie i chyba powinienem przez weekend trochę poćwiczyć hiszpański – dodał sztywno.

– Aha, słyszałem – potwierdził ściszym głosem Hollister. – Uda się, zobaczysz – zapewnił Ricka.

Detektyw poczuł wzruszenie.

– Dziękuję.

Hollister wzruszył ramionami.

– I tak jesteś chlubą naszego wydziału. Nie daj się namówić na wyprawę do Ameryki Południowej, dobrze?

Rick się uśmiechnął.

– Kiepsko obsługuję wyrzutnie rakiet.

– Ja też – zgodził się z nim porucznik, a następnie zwrócił się z uśmiechem do Gwen: – Przepraszam za to nieporozumienie. Miłego wieczoru.

– Nawzajem, sir – odpowiedziała, a Rick przyłączył się skinieniem

głowy.

Hollister również skinął głową i ruszył w kierunku lokalu.

Już po kilku minutach zajęli miejsca w pikapie i jak na komendę wybuchnęli śmiechem.

– Wspomniałam ci, że grałam w szkolnych przedstawieniach? – zapytała. – Podobno mam talent.

– Potwierdzam. – Włączając silnik, pokręcił głową. – Ale masz refleks!

– Dziękuję – odparła, lekko się czerwieniąc.

Żadne z nich nie wspomniało, że gdyby nie nagłe pojawienie się porucznika, wiele mogłoby się zdarzyć. Oboje jednak zdawali sobie z tego sprawę. I pamiętali spojrzenie porucznika. Stało się jasne, że Gwen nie jest mu obojętna. Poza tym ta róża. Rick uznał, że musi uważać, gdyż ma poważną konkurencję. Ton Hollistera nie wynikał z oburzenia, lecz z zazdrości.

Rick odprowadził Gwen do drzwi. Tym razem postanowił zachować ostrożność, przyciągnął ją jednak do siebie i pocałował na dobranoc, powściągając namiętność.

Objęła go i ochoczo odwzajemniła pocałunek. Uwielbiała ciepły i miękki nacisk jego ust.

– Nie mam praktyki – mruknął, odsuwając się od niej.

– Ja także – wydyszała, z oczami pełnymi gwiazd.

– Moglibyśmy razem poćwiczyć – zauważył.

Oblała się rumieńcem i nerwowo zaśmiała.

– Dobry pomysł.

– Też tak uważam. – Nachylił się i delikatnie potarł wargami jej usta. Z wysiłkiem na tym poprzestał. – A co do innych spraw, weźmiesz w

tym udział?

Skinęła głową.

– Muszę.

Zareagował uśmiechem.

– To dobrze. Wesprzesz mnie...

Odwzajemniła uśmiech.

– Miło mi to słyszeć.

– Do zobaczenia w poniedziałek.

– Tak.

Odwrócił się, ale nie ruszył w stronę samochodu. Stała, nieruchoma, najwyraźniej zmieszana, i czekała na ciąg dalszy.

– Otwórz – poprosił łagodnie.

Wydobyła z torebki klucz i otworzyła drzwi. Zamknął je za nimi, objął ją w holu, w którym ciemności rozpraszała tylko słaba lampka z salonu. Poszukał jej ust, znalazł je i żarliwie nimi zawładnął.

Przytulił ją do siebie. Jęknęła.

– A co, u diabła! – szepnął.

Porwał ją na ręce i, całując, zaniósł na miękką kanapę.

Osunęli się na nią razem, tak że on znalazł się na niej. Jego dłonie powędrowały ku suwakowi sukienki.

Nawet nie przemknęło jej przez myśl, żeby protestować. Wzbierała w niej fala rozkoszy. Nigdy jeszcze nie czuła czegoś, co stanowiłoby choćby namiastkę obecnych odczuć.

Zsunął sukienkę z ramion, razem z czarną halką, którą miała pod spodem, odsłaniając skąpy koronkowy biustonosz. Miała piękne piersi...

Wsunął dłoń pod stanik, podrażniając stwardniały sutek i sprawiając, że Gwen zaczęła drzeć.

Nigdy przedtem tego nie robiła. Po prostu to wiedział. Uśmiechnął się. Ekscytowało go i cieszyło, że jest jej pierwszym mężczyzną. Nigdy nie był pierwszym. No i nie miał zbyt wielu kobiet. Nie pociągał go seks bez zobowiązań. Na swój sposób pozostawał niewinny, podobnie jak Gwen. Kiedy dotknął ustami jej piersi, z cichym westchnieniem podsunęła je do przodu, żeby ułatwić mu zadanie. Z uśmiechem otoczył wargami sutek i zaczął go pieścić językiem.

Kiedy zrzucił marynarkę i koszulę, poczuł, że wbija mu paznokcie w ramiona.

Złączyli się w uścisku, oboje półnaczy.

Jego usta całowały coraz żarliwiej. Poczuli, że wsuwa dłoń między jej uda i zdała sobie nagle sprawę, że wkrótce dotrą do punktu, z którego nie ma odwrotu.

– Nie – szepnęła – odpychając jego pierś. – Rick? Rick!

Jej głos przeniknął przez mgłę pożądania, które usztywniło mu mięśnie tak, że niemal skrepowało ruchy. Czyżby go chciała odrzucić, zapytał w myślach z niepokojem.

Uniósł głowę. Patrzył w wielkie i niespokojne, zielone oczy. Poczuł, że drży.

– Przepraszam... – zaczęła.

Zamrugął. Z wysiłkiem nabrał powietrza w płuca.

– Dobry Boże – wydyszał.

Przełknęła ślinę. Stykali się nagimi torsami. Między udami nadal czuła jego dłoń. Zabrał ją szybko i nieco się uniósł, po czym nagle oblał się rumieńcem.

Zawstydzona, zasłoniła piersi dłońmi.

– Przepraszam – szepnął, uciekając wzrokiem, podczas gdy ona

niezdarnie naciągała na ramiona sukienkę. – Nie chciałem...

– Oczywiście, że nie – wyjąkała. – Żadne z nas nie chciało. Wszystko jest więc w porządku.

Zaśmiał się. Z tłumionego pożądania bolało go właściwie całe ciało, od stóp do głów.

– Jasne.

– Och, przepraszam! – jęknęła. Nie była doświadczona, miała jednak doświadczone przyjaciółki i zdawała sobie sprawę, co się z nim dzieje. – Zaczekaj, tylko chwilę.

Pobiegła do kuchni i wróciła z zimnym piwem z lodówki.

– Detektyw Rogers niekiedy mnie odwiedza. Lubi ten gatunek piwa – wyjaśniła. – Ja nie piję, ale rozumiem, że ludzie niekiedy muszą. Chcesz trochę?

Westchnął.

– Gwen, jestem policjantem!

– Tak, wiem...

– Nie mogę się napić, a potem prowadzić!

Przeniosła spojrzenie z jego twarzy na puszkę i z powrotem.

– Och...

Wybuchnął śmiechem. Pomogło i napięcie powoli ustępowało. Powiodła wokół wzrokiem. Jego marynarka, koszula i krawat, buty i pistolet w kaburze tworzyły przy kanapie niewielki stos.

Podążył za nią wzrokiem i znów się zaśmiał.

– No cóż.

– Tak... No tak! Cóż.

Zaśmiała się i odstawiła piwo. Nie poszukała okularów, ponieważ woląca nie widzieć wyraźnie jego wyrazu twarzy. I bez tego bała się mu

spojrzeć w oczy.

Założył koszulę, krawat i marynarkę, przymocował kaburę do pasa.

– Przynajmniej nie przeszkadza ci broń – zażartował.

Wzruszyła ramionami.

– Ja ją zwykle noszę w torebce, w specjalnej kieszeni – wyznała.

Uniósł brwi.

– Nie w kaburze na kostce? – zapytał.

Skrzywiła się.

– Za bardzo obciąża nogę.

Skinął głową. Teraz patrzył na nią inaczej. Zaborczo i pożądliwie. Przybliżył się, ujął dłońmi jej owalną twarz i spojrzał w oczy.

– Od teraz – rzekł łagodnie – będziemy się żegnać przy drzwiach.

W porządku?

Sugerował w ten sposób, że stanowią parę.

– Od teraz? – powtórzyła z wahaniem.

Skinął głową. Nie pozwalał jej uciec spojrzeniem.

– Nie ma na świecie wielu niezamężnych kobiet należących do epoki wiktoriańskiej, niemających nic przeciwko broni i lubiących flamenco.

Uśmiechnęła się.

– Zamierzałam powiedzieć to samo o tobie. No, oczywiście z taką różnicą, że nie jesteś kobietą.

– Oczywiście.

Delikatnie ją pocałował. Uniósł głowę i jego duże brązowe oczy się zwęziły.

– Jeśli Hollister położy ci na biurku kolejną różę, dostanie w zęby i nic mnie nie obchodzi konsekwencje.



Jej twarz promieniała.

- Naprawdę?
- Naprawdę. – Jego szczęka stężała. – Jesteś moja.

Zarumieniła się. Widziała pulsowanie tętnicy na jego potężnej szyi. Skinęła głową.

Objął ją i zakolysał w ramionach. Wreszcie powoli nabrał powietrza w płuca i rozluźnił uścisk. Smutno się uśmiechnął.

– Kiedy uporamy się z tą poniedziałkową rozmową z generałem, przedstawię cię mojej matce.

- Naprawdę?
- Na pewno ją pokochasz. A ona ciebie – przyrzekł. Zerknął na zegarek i się skrzywił. – No to lecę. W poniedziałek przyjadę po ciebie o szóstej, dobrze?

– Mogę dojechać do biura.

– Pojedziemy razem.

Uśmiechnęła się. Jej oczy wprost promieniały.

– Dobrze.

Zachichotał.

– Zamknij za mną drzwi na klucz.

– Zamknę. Wiesz, naprawdę lubię flamenco.

– Ja także. Znam taki lokal po zachodniej stronie miasta.

Wyberzemy się tam następnym razem. Lubisz meksykańską kuchnię?

– Uwielbiam.

Uśmiechnął się.

– Ta u nich jest dość pikantna.

– Bez obaw, nie mam już chyba kubków smakowych. Jadłam paprykę *jalapenos* na surowo.

– No proszę! Dziewczyna w moim typie!

Zareagowała uśmiechem.

– Zauważyłam.

Zaśmiał się, pocałował ją w czubek głowy i ruszył do samochodu. W pikapie zaczekał, aż zamknie drzwi. Odjechał, dopiero kiedy się upewnił, że jest bezpieczna.

Tej nocy nie spała. Nawet nie zmrużyła oka. Była na to zbyt podekscytowana, upojona radością i, po raz pierwszy w życiu, naprawdę wariacko zakochana.

W poniedziałkowy poranek Rick, ponury i zdenerwowany, zabrał Gwen na spotkanie przy granicy. Znow się ochłodziło, miała więc na sobie i sweter, i żakiet, a do tego grube dżinsy i solidne buty.

– Wczoraj lato, dzisiaj zima – zauważył, poprawiając jej pas.

– Jak to w Teksasie – odpowiedziała czułym tonem. – Czy Ramirez spotka się z nami na posterunku granicznym?

– Tak. On i Gracie.

Uniosła brwi.

– Pani Pendleton? Czy to nie jest niebezpieczne?

– Nie przekraczamy granicy – przypomniał jej. — Tylko się do niej zbliżamy.

– Aha, w porządku.

Miał jeszcze przed oczami obrazy z ich spotkania. Jest urocza, pomyślał. Ładna i inteligentna... i dobrze strzela.

Poczuła na sobie jego spojrzenie, lecz nie uniosła wzroku. Ją także nękało zdenerwowanie. Zastanawiała się, jak zareaguje Rick, kiedy pozna w końcu jej prawdziwe pochodzenie. Nadal wiele ukrywała. Miała nadzieję, że nie odmieni swych uczuć, kiedy pozna prawdę.

Teraz jednak czekało ich trudne spotkanie. Mieli powiedzieć człowiekowi, który nie ma rodziny i wydaje się z tego zadowolony, że ma syna.

Rick zatrzymał samochód przy małym posterunku granicznym wzniesionym z cegły suszonej na słońcu, przy drodze, naprzeciw zbitej na krzyż tablicy z informacją, że jest to granica meksykańsko–amerykańska.

Wyszedł im na spotkanie wysoki mężczyzna o włosach w kolorze piasku. Przedstawił się jako funkcjonariusz straży granicznej Don Billings. Pokazał im oczekującego w pewnej odległości lincolna, po czym pomachał.

Samochód ruszył i zahamował obok nich. Wsiadł Rodrigo Ramirez, okrążył wóz i otworzył drzwiczki swojej szwagierce Gracie Pendleton. Dokonano prezentacji.

Gracie była ładną blondynką w zaawansowanej ciąży. Zaśmiała się.

– Generał się zdziwi, kiedy mnie zobaczy. Nie wspomniałam mu o swoim stanie. Jesteśmy z Jasonem wniebowzięci!

– To chłopiec czy dziewczynka? – zapytała Gwen.

– Nie pozwoliliśmy sobie powiedzieć – odpowiedziała. – Chcemy mieć niespodziankę, kupiłam więc wszystko żółte, a nie różowe albo niebieskie.

Gwen zareagowała uśmiechem.

– Też bym tak chciała, gdybym kiedykolwiek miała mieć dziecko.  
– Jej oczy przybrały rozmarzony wyraz. – Chciałabym mieć dużą rodzinę.

Rick obserwował ją z mocno bijącym sercem. On także tego pragnął. I tego, żeby to była ich rodzina. Przełknął ślinę. Wspomnienia spędzonego razem wieczoru nadal go nie opuszczały.

– Wkrótce tu dotrze – rzucił Ramirez.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, a od meksykańskiej strony,

wzniecając tumany kurzu, nadjechał pikap.

Samochód zatrzymał się na znak funkcjonariusza służby granicznej. Otworzyły się drzwiczki z obu stron. Z jednej wyłonił się Winslow Grange, w ultranowoczesnym mundurze, z pistoletem automatycznym dyndającym przy biodrze. Drugimi drzwiczkami wysiadł wysoki elegancki mężczyzna o latynoskiej urodzie, o falujących czarnych włosach. Duże czarne oczy uśmiechały się wesoło do Gracie.

– Dzieciaczek? – krzyknął z entuzjazmem. – Wspaniale!

Ze śmiechem ujęła wyciągnięte na powitanie ręce.

– Jason i ja też tak uważamy. Co u ciebie?

– Mnóstwo pracy – odparł, wskazując Grange’a.

– Przygotowujemy przyjęcie z niespodzianką. – Przeniósł wzrok na funkcjonariusza. – Niestety nie mogę zdradzić nic więcej.

– Ja także niczego nie zdradzę. – Mężczyzna zachichotał.

Gwen wysunęła się do przodu. W jej oczach malowała się ciekawość, lecz także życzliwość.

– Nie spotkaliśmy się dotąd, ale sądzę, że pan o mnie słyszał. – Wyciągnęła rękę. – Gwendolyn Cassaway, CIA.

Uścisnął jej dłoń, a potem uniósł do ust i pocałował. Dostrzegł obok niej wysokiego młodego człowieka z czarnym kucykiem i dziwnie znajomą twarzą.

– Pani chłopak? – zapytał, widząc reakcję Ricka.

– No, to znaczy... – Przełknęła ślinę. – Detektyw sierżant Ricardo Marquez z San Antonio – dokończyła gładko prezentację.

Generał Emilio Machado uważnie się mu przyglądał.

– Marquez.

– Tak.

Machado coś nie dawało spokoju.

– Jakbym pana skądś znał. Widzieliśmy się już gdzieś?

Rick spokojnie odwzajemniał jego spojrzenie.

– Nie. Ale moją matką była Dolores Ortiz. Z Sonory. Jestem do niej podobny.

Machado nadal uważnie się mu przypatrywał.

– Tak, mieszkała w Sonorze, w wiosce Dolito. Kiedyś ją znałem.

Wyszła za mężczyznę o nazwisku Jackson – rzucił chłodno.

– Mojego ojczyma.

– Słyszałem o nim. Był brutalem.

Rick zdążył już polubić Machada.

– Tak. Mogę to potwierdzić bliźniami – dodał cicho.

Machado powoli wciągnął powietrze. Rozejrzał się wokół.

– Dość niezwykle miejsce na spotkanie z agentami federalnymi. Na miłą zalatuje jakąś pułapką.

– Proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków – zainteresowała Gwen. – Mamy jednak panu coś do powiedzenia. Coś, co może się okazać trudne.

Zapanowała ponura cisza. Przerwał ją Machado:

– Ukryliście tu gdzieś pluton egzekucyjny? – zażartował, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. – A może zamierzacie mnie aresztować za porwanie Gracie?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedziała spokojnie Gwen. Wzięła głęboki wdech. Musiała wypełnić swój obowiązek. – Przeprowadziliśmy na pana temat rutynowe śledztwo i natrafiliśmy na informację o pańskim związku z Dolores Ortiz. W Sonorze urodziła pozamałżeńskie dziecko. Trzydzieści jeden lat temu.

Machado błyskawicznie dokonał w głowie obliczeń. Skoncentrował spojrzenie na Ricku. Zaczynał rozumieć. Rzeczywiście, facet wyglądał podobnie. Czy to możliwe!? Postąpił o krok do przodu, przechylił głowę. Wpatrywał się w młodego człowieka stojącego przed nim z posępną miną.

Potem chłodno się zaśmiał.

– Aha, już rozumiem. Wiecie, że mam w kraju ludzi, którzy nawet teraz sięją ziarno rewolucji. Wiecie też, że dysponuję armią i że jest niemal pewne, że przejmę rządy w Barrerze. Szukacie więc sposobów, by zaprzyjaźnić się ze mną... przepraszam, to znaczy z naszymi złożami ropy i gazu, jak również z naszym bardzo strategicznym położeniem w Ameryce Południowej. – Posłał Rickowi twarde spojrzenie. – Przedstawiacie mi kandydata na syna i myślicie, że uwierzę na słowo.

– Nie wypowiedziałem żadnego pieprzonego słowa – odparł lodowato Rick.

Brwi Machada powędrowały w górę.

– Zaprzeczasz ich wnioskowi?

Rick piorunował go wzrokiem.

– Uważasz, że mnie zastraszyli, że bym udawał syna z nieprawego łoża pewnego dyktatora na wygnaniu?

Machado przyglądał mu się przez całą minutę. Potem wybuchnął śmiechem.

– Rick – rzuciła ostrzegawczo Gwen.

– Byłem pogodzony z myślą, że mój prawdziwy ojciec leży pogrzebany gdzieś w Meksyku – kontynuował. – A ona wyskoczyła z tą opowieścią... – Wskazał ruchem głowy na Gwen.

Uniosła rękę.

– To Cash Grier opowiedział wszystko twojej matce –

przypomniała. – Nie ja.

- W porządku, wiem to od matki – przyznał.
- Twoja matka nie żyje – zaprotestował Machado.
- Barbara Ferguson z Jacobsville adoptowała mnie, kiedy biologiczna matka i ojczym zginęli w wypadku samochodowym. Prowadzi tam restaurację.

Machado milczał. Wówczas nawet nie brali pod uwagę faktu, że Dolores mogła zajść w ciążę. Byli sobie bardzo bliscy do czasu, gdy jej rodzice nakryli ich którejs nocy w szopie. Ojciec zagroził, że go zabije, jeśli jeszcze raz zobaczy ich razem. Potem Machado dostał pracę na dużej farmie i przeniósł się do innej wsi. Nigdy już nie spotkał Dolores.

Czy mogła zajść w ciążę? Nie stosowali żadnych zabezpieczeń, miał jednak zaledwie czternaście lat. Nie mógł chyba w tym wieku zostać ojcem? Później zresztą także nie spłodził dziecka. Pewna kobieta nakłoniła go wprawdzie, by spróbował, zakończyło się to jednak niepowodzeniem. Zraniło to jego męską dumę i sprawiło, że stał się niepewny. Sądził, że jest bezpłodny.

A tutaj stał przed nim, jeśli im uwierzyć, żywy dowód jego męskości. Czy to naprawdę jego syn?

Przyjrzał się mu jeszcze raz. Tak, miał jego oczy. A po Dolores doskonale równe zęby. Był wysoki, silnej budowy, jak Machado. Włosy długie, czarne i proste, bez naturalnych fal. Dolores miała proste włosy. Jedwabiste i grube.

– Myślisz, że uwierzę ci na słowo w tak ważnej kwestii, nawet kiedy popiera cię Gracie? – zapytał Ricka.

– Hej, nie jestem tu po to, żeby cię do czegokolwiek przekonać – rzucił obronnie Rick. – Ona – wskazał Gwen – poprosiła jego – wskazał

Ramireza – żeby zatelefonował do niej – wskazał Gracie – z prośbą o zaaranżowanie tego spotkania. Zostałem w to wciągnięty dlatego, że zdaniem niektórych federalnych wysłuchasz mnie, nawet gdybyś nie chciał słuchać ich. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście jeszcze nie zdecydowali, co takiego mam ci przekazać. Zakładam, że nad tym pracują i kiedy skończą, dadzą mi znać.

Machado wysłuchał go, wydymając usta. Kiedy Rick umilkł, skwitował jego słowa śmiechem.

– Brzmi jak jakaś propozycja rządowa. A ja się na tym znam, w końcu byłem kiedyś szefem rządu. – Zmrużył oczy. – I jeszcze będę.

– Wierzę – zgodziła się z nim Gracie.

– Ale na razie – kontynuował Machado – jaki macie dowód, że to naprawdę mój syn? I lepiej niech ten dowód będzie mocny.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Nie patrz tak na mnie – poprosił spokojnie Rick. – Nie przyjechałem tu po to, żeby cokolwiek udowodniać.

Do przodu wysunęła się Gwen. Wydobyła z torebki jakieś papiery.

– Wiedzieliśmy, że nie przyjmie pan niczego na słowo, generale – powiedziała spokojnie. – Pozwoliliśmy więc sobie ustalić, kiedy sierżantowi Marquezowi ostatnio pobierano krew, i uzyskaliśmy profil DNA. – Posłała Rickowi skruszony uśmiech. – Przepraszam.

Rick westchnął.

– Przeprosiny przyjęte.

Generał ze zmarszczonymi brwiami przeczytał dokumenty.

– Dość przekonywające.

Gwen skinęła głową.

Przeniósł spojrzenie na Ricka, który oddalił się o kilka kroków. Wbił rękę w kieszenie i skierował wzrok w przestrzeń.

Generał przyglądał się mu z pewną konsternacją. Całe jego życie zostało właśnie wywrócone do góry nogami. Miał syna. Policjanta. Dość przystojnego, wydawał się też inteligentny. Oczywiście pozostawał problem jego postawy życiowej...

– Nie lubię baseballu – rzucił oschle Rick, kiedy dostrzegł wyraz twarzy generała.

Grube brwi Machada podjechały do góry.

– Nie lubisz baseballu?

– To na wypadek, gdybyś rozmyślał o zabieraniu mnie na mecze, jak ojciec syna – wyjaśnił drwiąco. – Lubię piłkę nożną.

W ciemnych oczach Machada zaigrały wesołe ogniki.

- Ja też.
- Widzisz? – rzuciła Gwen. – Coś chwyciło.
- Na ziemię!

Kiedy próbowała zrozumieć komendę generała, Rick obalił ją na piaszczysty grunt. Rodrigo wepchnął Gracie do limuzyny zaopatrzonej w kuloodporne szyby, a Machado wykonał pad, dobywając jednocześnie pistoletu. Grange natomiast wyciągnął spod panterki wojskowy samopowtarzalny karabin.

– Co jest? – krzyknął Rick, usiłując wycelować ze swojej broni, podobnie jak Gwen, w niewidzialnego wroga, odgadując jego położenie według kąta padania kul uderzających w piach kilka metrów od nich.

Grange krzyknął do radiotelefonu:

- Carver, teraz ta twoja bomba.

Po dwóch sekundach nastąpiła potężna eksplozja, potem zduszony krzyk i dźwięk silnika wyjącego na wysokich obrotach. Znikający w oddali pojazd wzniecał chmurę kurzu.

Grange się uśmiechnął.

– Zawsze mam plan rezerwowy – wyjaśnił.

– Przezornie – pochwaliła Gwen. – Ja nawet nie pomyślałam o zasadzce.

- Twój ojciec by pomyślał – odparł Grange.

Lekko uniosła rękę i nakazała mu wzrokiem milczenie.

– Znasz jej ojca? – zapytał ze zdumieniem Rick.

– Parę lat temu grywaliśmy w pokera – wyjaśnił Grange. – Fajny facet.

– Dziękuję – powiedziała Gwen i nie chodziło jej o uznanie dla

ojca. Grange dotrzyma tajemnicy. Wyczytała to w jego oczach.

Rick strzepywał kurz z ubrania.

– Choroba. Właśnie wróciło z pralni.

– Powinieneś nosić ubranie z płótna, łatwiej się czyści – poradził Machado, wskazując swoje dżinsy i bawełnianą koszulę.

– Kto to mógł być, macie jakiś pomysł? – zapytała poważnie Gwen.

– Fuentes – wypalił Machado. – Nie lubi mnie. Zabawia się strzelaniem do mnie i moich ludzi.

– Baron narkotykowy? Myślałam, że to rodzina już jest martwa! – krzyknęła Gwen.

– Prawie cała. Został ostatni z braci Fuentesów, ten głupi. Pazurami drapie się do władzy – odpowiedział jej generał. – Szpieguje mnie z ramienia pewnej agencji federalnej. Nie, nie tej, w której pani pracuje – dodał z uśmiechem.

Ramirez zostawił Gracie w samochodzie i do nich wrócił.

– Ona naprawdę nie powinna tak ryzykować – rzucił tonem wyjaśnienia.

– Jasne. Nic jej nie jest? – zapytał z troską Machado.

– Nie, Gracie byle co nie załatwi. – Zmarszczył brwi. – Dla której agencji Fuentes szpieguje?

– Sądzę, że dla twojej, przyjacielu. – Machado skierował tę odpowiedź do agenta DEA.

Ramirez westchnął.

– Wiemy, że mamy u siebie kreta, kogoś na bardzo wysokim szczeblu. Niestety nie zdołaliśmy go zidentyfikować.

– Napuście na niego Kilravena – rzuciła drwiąco Gwen.

– Chyba powinienem – zgodził się Ramirez. – Ale mamy teraz ręce pełne roboty. Meksykanie przekraczają granicę, chroniąc transporty narkotyków. – Spojrzał na funkcjonariusza straży, który konwersował z Gracie przez ostrzelaną szybę. – Nasi ludzie na granicy są nieustannie zagrożeni. Kilka miesięcy temu niemal utraciliśmy agenta, niejakiego Kirka. Ledwie przeżył. Po tej przygodzie porzucił służbę i wrócił na ranczo w Wyoming do swoich braci. Wielka strata. Dobrze pracował i miał kontakty, których nam teraz brakuje.

– Mogę wam załatwić wszystkie kontakty, jakich potrzebujecie – przyrzekł Machado. – Przeniósł wzrok na odległe wzgórze, z którego strzelał snajper. – Najpierw jednak muszę zawrzeć układ z Fuentesem.

– Nie słyszałam tego – oświadczyła twardo Gwen.

– Ja także nie – dodał Ramirez.

– No cóż, ja słyszałem – rzekł chłodno Rick. – Poza tym nadal jesteś w naszym kraju poszukiwany za porwanie, mimo że pani Pendleton nie żywi za to urazy.

Duże oczy Machada rozszerzyły się.

– Oddałbyś w ręce władz własnego ojca?

Oczy Ricka dla odmiany się zwężyły.

– Prawo jest prawem.

– Masz naszpikowany mózg procedurami i przepisami? – zapytał generał.

Rick spiorunował go wzrokiem.

– Jestem od dawna policjantem.

– Zadziwiające. Przez całe życie naruszałem i nadal naruszam chyba wszystkie przepisy, jakie istnieją, a tutaj odnajduję syna, cudzoziemca, z kodeksem zamiast głowy. – Może sfalszowali te wyniki

testu DNA? – Obrzucił detektywa pogardliwym spojrzeniem. – Ja nigdy bym się tak nie ubrał. Wyglądasz... jak to się mówi? Jak hipis!

Mina Ricka świadczyła, że nie żywi do generała ciepłych uczuć.

– Co z tym snajperem? – przypomniał Ramirez. – A jeśli pojechał po posiłki?

– Rzeczywiście. – Machado zwrócił się do Grange'a. – Może powinieneś wysłać zwiadowców na te wzgórza?

Grange się uśmiechnął.

– Już wysłałem.

– Brawo. Wkrótce zostaniesz dowódcą armii mojego kraju.

Ramirez osłupiał. Gwen oblała się rumieńcem. Rick spoglądał na nich ze zdziwieniem. Co ich tak wytrąciło z równowagi?

– Powinniśmy się zbierać – ponaglił Ramirez, wskazując samochód. – Przyrzekłem mężowi Gracie, że szybko odstawię ją do domu. Może się zdenerwować i wysłać ludzi, żeby nas poszukali. To nie jest ktoś, w kim warto mieć wroga.

– Zdecydowanie – zgodził się Grange.

– Dziękuję za umożliwienie tego spotkania – powiedział Machado, wyciągając rękę do Ramireza.

Ramirez uściskał ją z uśmiechem.

– To nie był mój pomysł. Jestem spokrewniony z prezydentem Meksyku. Uważał, że warto.

Na Machadzie te słowa wywarły duże wrażenie.

– Kiedy odzyskam swój kraj, szepnij mu słówko. Możemy pomyśleć o zawarciu umowy.

– Tak, jeśli się trafi okazja. Powodzenia.

– Nawzajem.

Gwen i Marquez pomachali im na pożegnanie i odwrócili się do Machada.

– My też się zbieramy – oświadczył sztywno Rick. – Muszę wracać do pracy.

Machado skinął głową. Nadal z ciekawością przypatrywał się synowi.

– Może kiedyś znów się spotkamy.

– Może – odparł Rick.

– W miejscu, w którym nie zagrozi nam żaden atak. – Machado pokręcił głową.

– Na razie nie ma lotów na Marsa – rzucił Rick.

Machado się zaśmiał.

– Grange, jedziemy.

– Tak jest.

Machado ujął dłoń Gwen i złożył na niej czuły pocałunek.

– Z radością panią poznałem, senorita. – Jego głęboki głos pieścił jak aksamit.

Rick chwycił Gwen za rękę i odciągnął. Spiorunował przy tym Machada wzrokiem, co przyprawilo Gwen o radosny zawrót głowy.

W oczach generała błysnęły wesole iskierki.

– A więc tak się rzeczy mają.

– Niby jak? – zapytał Rick, puszcżając dłoń Gwen.

– Nieważne. Pozostaniemy w kontakcie.

– Dziękuję za przybycie – rzekła do generała Gwen.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Mrugnął do niej, zerknął krzywo na Ricka i razem z Grange'em zajęli miejsce w pikapie. Przecięli granicę i zniknęli za wzgórzem. Rick odprowadzał ich wzrokiem z mieszanymi uczuciami. Potem się odwrócił i

pożegnał z funkcjonariuszem straży granicznej. Wraz z Gwen ruszyli w stronę samochodu.

Przez parę następnych dni Rick przeważnie milczał. Gwen się nie narzucała. Wiedziała, że musi się sam uporać z emocjami.

Tymczasem przeprowadzała rozmowy z sąsiadami zamordowanej studentki w sprawie, która została jej przydzielona.

– Czy miała jakichś bliskich przyjaciół, o których by pani wiedziała? – zapytała starszą kobietę, właścicielkę stadka kotów.

Były czyste, wyszczotkowane i dobrze odżywione. Musiała wspaniale o nie dbać.

– Och, zwróciła pani uwagę na koty? – rzuciła kobieta z uśmiechem, który odejmował jej połowę lat. – Jestem opiekunką do dzieci.

Gwen zamrugnęła.

– Opiekunką?

– Tak. Mam czworo sąsiadów z kotami. Zostawiają je u mnie, kiedy wychodzą do pracy. Jestem niepełnosprawna i w ten sposób sobie dorabiam. Oni natomiast nie muszą się martwić o swoje futrzane pociechy.

Gwen obdarzyła ją uśmiechem.

– To bardzo miłe.

– Dziękuję. Uwielbiam zwierzęta. Niestety nie mogę sobie pozwolić na trzymanie własnego kota. – Wskazała ruchem głowy lekarstwa na stoliku. – Od czasu kiedy kupuję je ze swojej renty, nie zostaje wiele na rachunki i żywność.

Gwen się skrzywiła.

– To nie w porządku.

Kobieta westchnęła.

– Gospodarka jest w okropnym stanie. Sądzę, że musi się zdarzyć

coś niesłychanego, żeby sprawy przybrały właściwy obrót. – Spojrzała na Gwen znad okularów. – Mnie tu już wtedy raczej nie będzie. Jeśli jednak kosmici istnieją i chcą kogoś, żeby na nim eksperymentować... – Uniosła dłoń. – Jestem gotowa na podróż. Na jakąś miłą zieloną planetę, z łąkami i lasami, a bez chciwych ludzi niszczących przyrodę dla doraźnego zysku.

– Pani i ja świetnie się rozumiemy – skomentowała Gwen z uśmiechem.

Kobieta skinęła głową.

– A wracając do mojej sąsiadki, zwracam uwagę na otoczenie, we własnym interesie. Nie mam broni i nie poradzę sobie z napastnikiem, staram się więc przynajmniej orientować, kto jest stąd, a kto nie. – Jej oczy się zwężyły. – Był taki ponury młody człowiek z przetłuszczonymi włosami, który wielokrotnie przychodził do tej dziewczyny. Ona próbowała być miła, widać to było po jej twarzy, ale nigdy nie wpuściła go do środka. Ostatnim razem, kiedy coś takiego się zdarzyło, przyjechała do niej policja.

Serce Gwen zabiło mocniej. Skoro była policja, jest też raport z informacją o odbytej rozmowie. Zapisała to szybko w notesie telefonu.

– Ładna zabawka – skomentowała starsza pani. – Jeden z moich przyjaciół, właściciel kota, ma taki. Może surfować po sieci, kupować jedzenie, książki, różne rzeczy. Długo nie zdawałam sobie sprawy, że to w ogóle możliwe. Chyba nadal żyję przeszłością.

Gwen odnotowała w pamięci, że trzeba zadbać o to, by ta miła pani dostała na Boże Narodzenie od anonimowego darczyńcy telefon komórkowy wraz z zapasem kart. Mogło to zrewolucjonizować jej życie.

– Tak, i pożyteczna – odparła. – Dziękuję za rozmowę. Bardzo nam pani pomogła.

– Uczyniłam to z przyjemnością. Wiem, że wy, młodzi, nie macie



zbyt wiele czasu, ale zapraszam. Opowiem pani o FBI w latach siedemdziesiątych.

Gwen wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

– Byłam agentem federalnym – wyjaśniła kobieta. – Jedną z pierwszych kobiet.

– Bardzo chętnie. Na pewno znajdę czas.

Pokrytą zmarszczkami twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dziękuję!

– Nie, to ja dziękuję. Podziwiam pionierów.

Opowiedziała później Rickowi o starszej pani.

Z uśmiechem skinął głową.

– Tak, Evelyn Dorsey. Jest czymś w rodzaju legendy w naszym terenowym oddziale FBI. Agent specjalny Garon Grier odwiedza ją od czasu do czasu. Stoczyła kiedyś walkę z gangiem niedoszłych porywaczy przy drodze 410. Trafiała dwóch, zanim sama dostała. Niemal ją zabili i zbiegli. Ale zanim straciła przytomność, zdołała jeszcze podać przez radio opis i numer rejestracyjny ich samochodu. Złapali drani dziesięć mil dalej. W tamtych czasach radio było tylko w samochodzie. Praca funkcjonariuszy musiała być wtedy cięższa.

– Tak sędzę. A poza tym pani Dorsey bardzo nam pomogła w sprawie studentki. Dowiedziałam się od niej, że ofiara wezwała patrol interwencyjny. Właśnie ustalam, kto z naszych tam wtedy pojechał.

– Mam nadzieję, że przyskrzynimy faceta – westchnął.

– Ci z jednostki od starych spraw bardzo tego pragną. Okazało się, że jeden z nich był spokrewniony z tą dziewczyną.

– Smutne.

– Tak. – Przysunęła się bliżej do biurka. – Ułożyłeś już sobie w

głowie swoje sprawy rodzinne?

- Nie – odparł z niewyraźnym uśmiechem.
- Może wpadniesz wieczorem pooglądać horrory? Zamówimy

pizzę.

Przechylił głowę, a uśmiech się poszerzył.

- Wiesz, to chyba świetny pomysł.
- Miło, że tak uważasz. Lubię z grzybami, serem i pepperoni.

Uniósł brwi.

- Znowu grzebałaś w moich aktach?
- Skądże, dlaczego?
- To moja ulubiona.

Rozpromieniła się.

- Znów coś wspólnego.
- Chyba znajdziemy tego więcej.
- Też tak myślę.

Rick nie przepadał za filmami adresowanymi głównie do kobiet, wciągnął się jednak w akcję niemal od razu. Nie zauważył nawet, że dostarczono pizzę, a później jadł ją, nie odrywając oczu od ekranu.

Gwen była zachwycona. Ten film należał do jej ulubionych. Kopnięciem zrzuciła pantofle i zwinęła się w kłębek na kanapie przy Ricku, żeby obejrzeć horror jeszcze raz. Zadziwiająco, pomyślała, jak dobrze się ze sobą czuli, mimo że ich związek dopiero raczkował.

Zerknął na nią, kiedy na ekranie wampir demonstrował swoje umiejętności.

- Miałaś rację, świetny film.
- Książki też są doskonałe. Przepadam za wszystkimi.
- Chyba też je sobie kupię. Rzadko w książce czy filmie występuje

naraz tyle sympatycznych postaci.

Pociągnęła łyk kawy.

– Wiesz, nie myślałam o tym w ten sposób, ale masz rację.

Sympatyczne są nawet wampiry.

– Dziwne, prawda? Sympatyczne potwory!

– Ale to nie są potwory, tylko ludzie żyjący inaczej, których nikt nie rozumie.

Wybuchnął śmiechem.

– Chcesz jeszcze kawałek pizzy?

– Może jeden ostatni kawałeczek.

– Ja także.

Kiedy skończyli jeść, oparła się o Ricka i w tej pozycji obejrzeni: mecz baseballowy w deszczu, przybycie niebezpieczniejszych wampirów, otarcie się bohaterki o śmierć i wreszcie jej pojawienie się na balu w gipsie wraz z chłopakiem.

– Ostra jazda – skomentował. – Masz tego więcej?

– Jeszcze dwa. Chcesz obejrzeć?

Odwrócił się do niej. Spojrzenie jego ciemnych oczu zawisło na jej rozpromienionej twarzy. Wydał wargi.

– Tak, chcę. Ale nie teraz. – Posadził ją sobie na kolanach. – Cierpię na deficyt uczuć. Czy uważasz, że mogłabyś mi pomóc?

– Chyba tak – szepnęła, kiedy poczuła jego usta.

Każdy następny pocałunek był mocniejszy, bardziej niecierpliwy. W obojgu rozkosz narastała i coraz trudniej było im się hamować.

Jęknął, kiedy stwierdził, że leży na niej i że pozbyli się już wielu części garderoby, jak przedtem. Wcisnął twarz w jej ciepłą, pulsującą szyję.

– Umieram – wydyszał.

– Ja też – odszepnęła, drżąc.

Uniósł głowę. W jego oczach malowała się męka.

– Co sądzisz o małżeństwie?

Zamrugła.

Zdał sobie sprawę, że on, najmniej impulsywny człowiek na świecie, nagle postępuje wbrew sobie.

Oszalał jednak na punkcie Gwen, a do tego nie umiał zapomnieć o konkurencji w postaci porucznika.

I nawet Machado posyłał jej powłóczyście spojrzenia. Nie chciał, żeby związała się w końcu z jakimś innym mężczyzną tylko dlatego że on czeka na najwłaściwszy moment. Pamiętał przy tym, że oboje są tradycjonalistami, a zatem wprost niewiarygodnie do siebie pasują.

Westchnął.

– Posłuchaj, świetnie się rozumiemy. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Mamy podobną pracę, poglądy na życie, zbliżony status społeczny. Dlaczego nie zrobić następnego kroku i nie wziąć ślubu? A wtedy – dodał, posyłając jej wymowne spojrzenie – będziemy mogli wyczyniać co dusza zapagnie, bez poczucia winy.

Rozchyliła usta. Powinna natychmiast zakwestionować jego uwagę o równości statusu społecznego, jednak jej ciało płonęło i mogła myśleć tylko o spełnieniu. Kochała go. On co najmniej bardzo ją lubił. Oboje pragnęli dzieci. To zadziała. Już o to się postara!

– Tak – wypaliła.

Zmusił się, żeby wstać, odszukał telefon, znalazł numer i nacisnął klawisz.

– Ramirez? Przepraszam, że dzwonię tak późno. Możesz mi podać bezpośredni telefon do generała? Potrzebuję pomocy w... – Zerknął na

Gwen. – W sprawie osobistej.

Ramirez westchnął.

– W porządku. Ale jesteś moim dłużnikiem.

– Zgoda.

Nastąpiła przerwa. Rick poprosił Gwen gestem o papier i długopis. Zapisał numer.

– Dziękuję! – rzucił i rozłączył się.

Wstukał numer.

– Tak, to twój... – Zawahał się. – Twój syn. Co sądzisz o poprowadzeniu panny młodej do ołtarza na meksykańskim ślubie? Kiedy? Och, za jakieś pół godziny.

Z drugiej strony linii popłynął potok hiszpańskich słów. Rick odpowiadał w tym samym języku. Wyjaśniał, że wcale nie postępuje niemoralnie, a wręcz przeciwnie, próbuje załatwić wszystko zgodnie z zasadami, ślub zaś ma być na poważnie. Generał zdawał się stopniowo uspokajać. Kolejne wahanie. Rick się uśmiechnął.

– Dziękuję – rzucił i przerwał połączenie. – Odwrócił się do Gwen.  
– Masz białą suknię?

– Czy ja mam białą suknię? Też coś! – wykrzyknęła i pobiegła do drugiego pokoju, żeby ją założyć.

Włosy zostawiła rozpuszczone. Sukienka była dopasowana, z bufiastymi rękawami i drapowaną chustą wyszywaną koralikami. Wyglądała w niej młodo i niewinnie. I nieprawdopodobnie seksownie.

Ciało Ricka zareagowało na ten widok w sposób widoczny. Przełknął ślinę.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – rzucił z figlarnym uśmiechem.

– Aha, dobrze. – Zachichotała i spojrzała mu w oczy. – Jesteś

pewien? – zapytała z wahaniem.

Ujął jej twarz i czule pocałował.

– Nie wiem dlaczego, ale jeszcze nigdy nie byłem pewniejszy. A ty? Nie masz stracha?

Rozmarzona, pokręciła głową.

– Och, nie, wcale.

Posłał jej uśmiech.

– U mnie to samo. Zresztą jako małżeństwo będziemy mogli wspólnie kupować amunicję i wyjdzie taniej.

Roześmiała się.

– Na pewno powtórzę to ojcu, wyjaśniając, dlaczego nie został zaproszony na ceremonię.

Wykrzywił twarz.

– Ja będę musiał wytłumaczyć matce. Nie mamy jednak czasu, żeby ich ściągnąć.

– Twój ojciec musi wystarczyć za wszystkich.

– Mój ojciec... – Uśmiechnął się. – Wyruszamy.

Generał czekał na nich przy granicy. Pojechali za nim w tumanach kurzu do małej wioski. Zatrzymali się przy kościele misyjnym z nowym błyszczącym dzwonem.

– To ja ufundowałem dzwon – poinformował ich z dumą generał.  
– Tutaj mieszkają sami dobrzy ludzie, a ksiądz to miły młody człowiek ze Stanów. – Zawahał się, powiódł wzrokiem po ich twarzach. – Właściwie nie zapytałem was o wyznanie.

– Katolickie – odpowiedzieli równocześnie, po czym spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Nie omówiliśmy wcześniej tej kwestii – wyjaśnił Rick.

– No cóż, akurat pasuje – skomentował z szerokim uśmiechem generał. – Chodźmy, kapłan czeka. Rozumiem, że jesteście pewni...

Gwen uniosła na Ricka rozświetlone radością oczy.

- Bardzo pewni.
- Bardzo, bardzo – dodał Rick.
- No to zaczynajmy.

Generał z Gwen u boku ruszył nawą. Na ceremonię zdążyła przybyć cała wioska, w tym małe dzieci najwyraźniej zafascynowane jasnymi włosami panny młodej.

Ksiądz życzliwie się uśmiechnął i zaczął odprawiać ceremoniał, który doprowadził do kwestii obrączek.

Rick zbladł.

- Och, nie.

Generał go szturchnął.

– Proszę. Ja pamiętam o wszystkim. – Wręczył mu złotą obrączkę pasującą na oko do palca Gwen. – Jest stara. Należała do mojej *abuella* – dodał. – To znaczy babci. – Uśmiechnął się. – Ucieszyłaby się, że zostaje w rodzinie.

- Jest piękna – szepnęła Gwen. – Dziękuję.

Generał skinął głową. Rick delikatnie wsunął obrączkę na palec Gwen. Rzeczywiście pasowała jak ulał. Ksiądz ogłosił ich mężem i żoną. Rick pocałował Gwen. I tak zostali małżeństwem.

Żadne z nich nie mogło sobie później przypomnieć pozostałej części wieczoru. Kiedy wrócili do mieszkania Gwen, natychmiast pozbyli się wszystkich sztuk garderoby, a potem odbyli niewiarygodnie długą sesję w łóżku. Leżeli spoceni, obezwładnieni rozkoszą i całkowicie wyczerpani.

Nie żeby wyczerpanie ich powstrzymało. Gdy tylko uspokoili

oddechy, znów sięgnęli po siebie i zaczęli wszystko od nowa.

– Wiesz, nie przypuszczałem, że małżeństwo to taka fajna sprawa – rzucił Rick, kiedy skończyli na dobre i ogarnęła ich senność.

Wtulona w niego Gwen, ciepła i zaspokojona, cicho się zaśmiała.

– Ja także. Zawsze myślałam o małżeństwie jako o czymś bardziej dostojnym. To znaczy o dzieciach i... – urwała.

Odwrócił się do niej i ujrzał w jej oczach poczucie winy.

– Przecież pragniesz dzieci i ja też. Na czym polega problem?

Rozluźniła się.

– Przedstawiasz to tak, że wydaje się proste.

– Bo to jest proste. Ludzie się kochają, biorą ślub i zakładają rodzinę. – Z jego oczu wprost promieniało szczęście. – Zestarzejemy się razem. No, nie od razu – zastrzegł. – A może wcale nie – dodał zasepiony. – Matka mnie zabije, kiedy się dowie, że wziąłem ślub, nawet jej nie informując...

– Mój ojciec też się wścieknie – odpowiedziała. – Ale i tak nie mógłby przyjechać. Nawet gdybym miała czas, żeby go zaprosić. Zajmuje się właśnie jakimiś wojskowymi sprawami.

– Jest w czynnej służbie?

– Och, tak – odpowiedziała.

Kolejne zmartwienie. Musi wyjaśnić Rickowi, kim jest jej ojciec. I w ogóle opowiedzieć wszystko o jego nowej rodzinie. Trudne zadanie, nie miała więc siły, żeby od razu je wykonać.

Objęła go.

– Jak na faceta, który stroni od rozpusty, jesteś bardzo... sprawnym kochankiem.

Zaśmiał się.



– I wzajemnie. – Przyciągnął ją bliżej do siebie. – Podobno to przychodzi naturalnie. I chyba rzeczywiście tak jest. Oczywiście, to także zasługa tych wszystkich książek, które przeczytałem. Wyłącznie w celach edukacyjnych.

Skrzywiła się.

– Ja też czytałam to i owo.

Delikatnie ją pocałował.

– Cieszę się, że zczekaliśmy – oświadczył poważnie. – Wiem, że to niedzisiejsze. Ale nic mnie to nie obchodzi. Tak jest dla nas najlepiej.

– Rzeczywiście. Dziękuję, że zdołałeś się wtedy powstrzymać – dodała. – Na mnie nie miałbyś co liczyć. Wprost płonęłam!

– Ja także. Ale myślałem o przyszłości, dalekiej przyszłości, kiedy opowiemy naszym wnukom, potem prawnukom o tym, jak się w sobie zakochaliśmy i jak się pobraliśmy. – Zamknął oczy. – Naprawdę się pobraliśmy, a nie zarejestrowaliśmy coś, co nastąpiło już wcześniej.

Przycisnęła usta do jego ciepłego ramienia.

– Najmilsze jest to, że już zostałeś moim najlepszym przyjacielem.

– A ty moją najlepszą przyjaciółką. – Pocałował jej włosy. – Chodźmy spać. Jutro czekają nas ciekawe przejścia.

– Jakie znowu przejścia?

– Tak sobie pomyślałem, że porucznik wytoczy pianę z ust, kiedy mu powiemy.

– Co takiego? – wykrzyknęła.

– To tylko przeczucie.

Sądził, że porucznik miał chrapkę na Gwen, i spodziewał się prawdziwych fajerwerków.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Fajerwerki” okazały się zbyt słabym określeniem.

– Jesteście małżeństwem? – krzyknął porucznik Hollister.

Gwen przysunęła się trochę bliżej do Ricka.

– Tak, przepraszam, że pana nie zaprosiliśmy, ale chcieliśmy uniknąć hucznego, kosztownego wesela, więc jakby wszystkim uciekliśmy – wyjaśniła, naciągając nieco prawdę.

– Uciekliście. – Hollister z burknięciem odchylił się w fotelu. Posłał Marquezowi gniewne spojrzenie. – No cóż, imponujące tempo.

– Od razu znaleźmy swoje uczucia – odpowiedział Rick, uśmiechając się do żony. – Długie narzeczeństwo nie miałyby sensu.

– Absolutnie – potwierdziła z uśmiechem.

– No cóż, moje gratulacje – powiedział po dłuższej chwili Hollister. Z uśmiechem wstał i uściśnął im ręce. – Jak to przyjęła twoja matka? – zapytał Ricka.

Rick się skrzywił.

– Jeszcze nie wie.

– A może chcecie wziąć dzień wolnego i nazwać to miesiącem miodowym? – zasugerował Hollister. – Gail Rogers może cię zastępować – rzekł do Ricka. – Nie chcę, żeby Barbara polowała na mnie z ręczną wyrzutnią rakiet, bo usłyszy o waszym ślubie od kogoś innego.

– Dobry pomysł – odparł Rick. – Dziękuję.

– Nie ma problemu. Taki ślubny prezent. Bardzo skromny – dodał.

– Jutro musicie wrócić do pracy. A kiedy cię stracimy? – zapytał Gwen.

Przez chwilę nie rozumiała pytania, aż przypomniała sobie, że pracuje

dla federalnych.

– Nie jestem pewna. Muszę porozmawiać z szefem, a on z kolei porozumie się w tej sprawie z tutejszym kapitanem.

Hollister skinął głową.

– Świetnie sobie radziłaś. Szkoda, że to już koniec.

Uśmiechnęła się.

– Ja także z zalem odchodzę. Poza tym zamierzam wprowadzić pewne zmiany w swojej karierze zawodowej – dodała, posyłając zatroskane spojrzenie Rickowi. – Nie chcę już być co tydzień wysyłana do innej części świata. Nie teraz.

Hollister podrapał się w głowę.

– Zawsze możemy cię zatrudnić jako detektywa – wskazał. – Błyskawicznie wszystko opanujesz, a poza tym mamy różne warsztaty i kursy.

Rozpromieniła się.

– Naprawdę?

– Oczywiście – zapewnił.

– Chwileczkę, rzucisz dla mnie pracę u federalnych? – zapytał z niedowierzaniem Rick.

– Tak – odpowiedziała poważnie. – Zmęczyło mnie życie na walizkach. I polubiłam San Antonio.

Nie dodała, że zmęczył ją także Waszyngton, z jego życiem towarzyskim i koniecznością odgrywania roli gospodyni na przyjęciach wydawanych przez ojca. Właściwie nigdy jej to nie bawiło, nie lubiła tłumów i zabawiania gości. Ojciec zresztą także. A wkrótce znajdzie się w samym środku wiru życia towarzyskiego stolicy. Myślała z przerażeniem o wyjaśnieniu tego wszystkiego Rickowi.

– No cóż – skomentował Rick, ale nie zdołał pohamować triumfalnego uśmiechu.

Zaśmiała się.

– Czeka nas najtrudniejsze. Musimy poinformować twoją matkę.

– Zabije mnie – jęknął.

– Nie. Damy jej roślinę – oświadczyła twardo Gwen. – Jest ogrodniczką. Na pewno przyjmie łapówkę, którą będzie mogła zasadzić.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

I, rzeczywiście, Barbara się nie zezłościła. Zalana łzami, wyściskała ich, po czym przez kilka minut tłumaczyła, jak bardzo się bała, że już żadna kobieta nie potraktuje Ricka jako kandydata na męża, tylko jak męskie ramię do wyplakiwania się.

– Jestem taka szczęśliwa!

– To dobrze – skomentowała Gwen. – Ale i tak zamierzamy panią przekupić.

– Przekupić? – powtórzyła Barbara, ocierając łzy.

Gwen wymaszerowała na ganek i wróciła z wielką rośliną w doniczce.

– Cibora zmienna, zwana popularnie papirusem! – krzyknęła Barbara. – Od lat o niej marzyłam, a nie mogłam znaleźć odpowiedniej wielkości. Ta jest akurat!

– Może ją pani przesadzić do ogródka – poradziła Gwen.

– Och, nie! Zostawię ją w doniczce. Zainstaluję oświetlenie asymilacyjne, kupię nawóz i... —Zawahała się. – Wy... nie musieliście wziąć ślubu?

Głośno zaprotestowali.

– Gwen jest tak samo wiktoriańska jak my – oświadczył Rick z ciepłym uśmiechem.

– Cudownie! Witaj w epoce kamienia łupanego, moja droga!

Uściskała mocno Gwen.

– Gdzie zamierzacie mieszkać? – zapytała po chwili. – W San Antonio?

Gwen i Rick zdążyli już przygotować odpowiedź na to pytanie.

– W centrum Jacobsville. Jest na sprzedaż stary dom Andrewsów, koło Griera. Właściwie to rano złożyłem już ofertę kupna.

– Och! – krzyknęła Barbara. – Myślałam, że wolelibyście mieć bliżej do pracy.

Wyjaśnienia na temat pracy Gwen postanowili zostawić na później.

– Chcemy zamieszkać blisko ciebie – odparł Rick.

– Na pewno kiedy urodzą się dzieci – dodała z uśmiechem Gwen – będziesz chciała często je widywać.

Barbara chwyciła się za głowę.

– Chyba mam gorączkę. Zamierzacie mieć dzieci?

– Och, tak – potwierdziła Gwen.

– Dużo dzieci – uzupełnił Rick.

– Mogłabym kupić sklep z zabawkami – mruknęła do siebie Barbara. – Ale najpierw muszę zgromadzić zapas organicznych nasion, żeby móc przygotowywać dla maleństwa zdrowe posiłki.

– Pobraliśmy się zaledwie wczoraj – zaprotestował Rick.

– Tak, teraz mamy... listopad... – Spojrzała na kalendarz. – Za dziewięć miesięcy są zbiory! – krzyknęła triumfalnie.

Rick i Gwen pokręcili głowami.

Zostali na kolację, pyszną, a potem zasiedli przed telewizorem, żeby obejrzyć wiadomości.

Gwen, usadowionej wygodnie obok męża, żadne przecucie nie

ostrzegło przed tym, co miało nastąpić.

Twarz prezentera rozjaśnił uśmiech, a za jego plecami ukazało się zdjęcie powszechnie znanego czterogwiazdkowego generała.

– Najnowsza wiadomość. Mimo pogłosek o ustąpieniu z czynnej służby, dowiedzieliśmy się właśnie, że generał David Cassaway, były dowódca wojsk USA w Iraku, został dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Generał Cassaway, były szef operacji specjalnych, przez ostatnie dwa lata dowodził wojskami amerykańskimi w Iraku. Krążyły pogłoski, że wybiera się na emeryturę, tymczasem okazało się, że rozważał tylko kwestię objęcia nowego stanowiska.

Barbara spojrzała na Gwen.

– Zabawne, nosisz takie samo nazwisko.

Prezenter dodał:

– Syn generała, Larry, zginął w tajnej operacji na Bliskim Wschodzie zaledwie kilka miesięcy temu. Życzymy generałowi owocnej służby na nowym stanowisku. A teraz następne wiadomości...

Rick wpatrywał się w Gwen, jakby wyrosły jej rogi.

– Twój brat miał na imię Larry, prawda? Ten, który zginął w akcji?

Gwen wzięła głęboki oddech.

– To mój ojciec – wyznała.

Do Ricka prawda docierała powoli.

– Twój ojciec jest nowym szefem CIA?

– No... jakby tak – wykrztusiła.

Rick słyszał o ludziach z Waszyngtonu od kolegów, którzy musieli się z nimi kontaktować. Doskonale wiedział, że w armii nie ma ubogich generałów i że dyrektor CIA raczej nie stoi w kolejce po talony na żywność.

– Gdzie mieszkasz, kiedy wracasz do domu? – zapytał bardzo

spokojnie.

Gwen westchnęła.

– Mamy duży dom w Maryland, na kilku akrach gruntu. Tata lubi konie. Hoduje, no cóż, konie czystej krwi. – Coraz bardziej się kulila, mówiła coraz bardziej przerażonym tonem.

– Ma jakiś samochód?

Przełknęła ślinę.

– Jaguara.

Rick wstał i się odwrócił. Ciężko westchnął.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo się bałam, że zareagujesz właśnie tak, jak zareagowałeś. – Jęknęła. – Że osądzisz mnie według mojego otoczenia. A ja nienawidzę przyjęć i bankietów! Jestem szczęśliwa, wykonując jakąkolwiek pracę, w której nie muszę zakładać sukni wieczorowej i wyglądać na bogatą!

– Bogatą – powtórzył, wicherząc sobie włosy.

– Wcale nie jestem bogata – oświadczyła.

– Ale twój ojciec jest.

Skrzywiła się.

– Rzeczywiście. Pochodzi z jednej z najstarszych rodzin amerykańskich. Ukończył Harvard, a potem West Point. Ale to zwyczajny człowiek. Nie jest nadęty.

– Jasne.

– Rick. – Wstała. – Nie jestem moją rodziną. Nie mam pieniędzy. Sama zarabiam na życie. Popatrz na mnie. Ten kostium ma już rok!

Odwrócił się z zaciętym wyrazem twarzy.

– Mój garnitur ma trzy lata – poinformował sztywno. – Jeżdżę pikapem. I ledwie mnie stać na bilety do teatru.

Patrzyła na niego z napięciem.

– Przyzwyczaisz się – obiecała. – Po prostu trochę to potrwa. W ostatnich tygodniach wydarzyło się wiele w twoim życiu.

Cieężko westchnął.

– Należało poczekać ze ślubem – jęknął.

– Nie – zaprotestowała. – Gdybyś się wcześniej dowiedział, nigdy byś się ze mną nie ożenił.

Zanim Rick zdążył otworzyć usta i zniszczyć ich przyszłość, stanęła między nimi Barbara.

– Ona ma rację – oznajmiła z naciskiem synowi. – Nie powiedz czegoś, czego potem pożałujesz. Pozwól Gwen wrócić na noc do domu, a sam się z tym prześpij. Rankiem świat wygląda weselej.

Ruszyła do telefonu i wybrała numer.

– Cash? Gwen Cassaway wraca na noc do San Antonio, a nie ma tu samochodu. Jest u ciebie ktoś, kto mógłby ją odwieźć?

– Nie... – sprzeciwiła się Gwen.

Barbara z uśmiechem uniosła dłoń.

– Tak myślałam. Dziękuję! Masz u mnie wielką szarlotkę. – Rozłączyła się. – Jeden z ludzi Casha mieszka w San Antonio i właśnie wybiera się do domu. Zahaczy po drodze o nas i cię zabierze. Nie ma nic przeciwko temu i jest bardzo miły. Nazywa się Carlton Ames. Na pewno dobrze się tobą zaopiekuje.

Rick kłął w duchu. Żałował, że nie uparł się w porę, żeby odwieźć Gwen. Nie podobało mu się, że będzie wracała z innym mężczyzną. W końcu są małżeństwem. Przynajmniej na razie.

– Wracaj do domu i niczym się nie przejmuj – poradziła Barbara, ściskając Gwen. – Wszystko będzie w porządku.



Gwen z wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech. Uniosła wzrok na Ricka, lecz ten uciekł spojrzeniem. Głęboko odetchnęła, założyła płaszcz i chwyciła torebkę. Wyszły z Barbarą na ganek.

– Wciąż jeszcze nie może dojść do siebie po odkryciu, kto jest jego prawdziwym ojcem. A teraz jeszcze to... – powiedziała łagodnie. – Upora się z tym. Ty się tylko porządnie wyśpij i niczym nie przejmuj. Wszystko skończy się dobrze. Tak się cieszę, że wzięliście ślub! – Ponownie uściskała Gwen. – Zobaczysz, będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi, niech on tylko przezwycięży ten szok.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Chyba rzeczywiście powinnam była wcześniej mu wszystko powiedzieć.

– Poinformowałaś już ojca?

Pokręciła głową.

– Muszę to zrobić jeszcze dziś. On także nie będzie uszczęśliwiony.

Barbara od razu się zmartwiła.

– Czy twój ojciec ma uprzedzenia...

Gwen zareagowała śmiechem.

– Wielkie nieba, nie! Tata w ogóle nie zwraca uwagi na kolor skóry, rasę czy wyznanie. Jest bardzo liberalny. Po prostu poczuje się urażony, że go nie uprzedziłam.

– Zatem w porządku. Jakoś to z nim załatwisz. I z Rickiem. O, jest Carlton!

Pomachała, kiedy samochód policyjny zajechał przed ganek. Miły młody człowiek wysiadł z uśmiechem na twarzy.

– Słyszałem, że będę miał w drodze towarzystwo? – rzucił.

– Tak. Moją nową synową, Gwen – przedstawiła ją Barbara. – A to

jest Carlton – dodała z uśmiechem. – Gwen nie ma tu swojego samochodu, a musi się dostać do San Antonio. Dziękuję, że ją podwieziesz.

– Nie ma problemu. Ruszamy?

Gwen odwróciła głowę w kierunku domu, lecz drzwi pozostawały zamknięte i napotkała tylko spojrzenie Barbary. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Do zobaczenia – rzuciła. – Życzę dobrej nocy.

– I ja tobie, kochanie. Dobranoc.

Odprawiała wzrokiem samochód. Potem wróciła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

– Rick?

Rozmawiał przez telefon. Zastanawiała się, do kogo mógł zadzwonić o tak późnej porze. Być może chodziło o jakieś sprawy zawodowe.

Przerwał połączenie. Sprawiał wrażenie dziwnie nieprzystępnego.

– Wybieram się na przejażdżkę – rzucił. – Niedługo wrócę.

– Bardzo ją zmartwiłeś – upomniała go łagodnie. – Ona nie może nic poradzić na to, kim jest jej ojciec. Tak samo jak ty.

Sprawiał wrażenie rozdartego.

– Wiem. Ale powinna mi była powiedzieć.

– Sądzę, że po prostu się obawiała. Przecież wiesz, że jest bardzo zakochana.

Zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

– To nie potrwa długo.

Patrzyła, jak się oddala. Czuła, że pomiędzy nimi wyrósł jakiś nowy, gorzki dystans. Coś, czego nigdy przedtem nie doświadczyła. Miała nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Zdążyła już bardzo polubić Gwen.

Rick zatrzymał samochód przed wiejskim barem. Zatrzasnął drzwiczki i wkroczył do środka. O tak późnej porze w lokalu zostało tylko jakichś

dwóch kowbojów i człowiek zajmujący miejsce w głębi. Przywitał go skinieniem głowy i Rick ruszył w jego kierunku.

Starszy mężczyzna z rozbawieniem badał wzrokiem jego twarz.

– Powinno mi pochwalić, że zatelefonowałeś do mnie, kiedy potrzebujesz współczucia? Dlaczego nie porozmawiasz z matką?

Rick westchnął i zajął miejsce naprzeciw niego.

– Żadna kobieta tego nie zrozumie – mruknął.

Generał Machado wyjął usta.

– Nie? Może i nie. – Skinął na kelnera, który błyskawicznie się przy nich znalazł. – Poproszę kawę dla mojego młodego przyjaciela.

– Natychmiast!

Rick uniósł brwi, trochę się dziwiąc takiej gorliwości.

– On chce pomóc w wyzwoleniu mojego kraju – wyjaśnił z uśmiechem Machado. – Mam jakiś dar do inspirowania zrywów rewolucyjnych.

– Zauważyłem.

Generał Emilio Machado odchylił się, studiując rysy twarzy młodego człowieka, który zdumiewająco przypominał jego samego.

– Wiesz, nawzajem nieco się faworyzujemy.

– Nieco.

Kelner wrócił z kawą. Postawił przed Rickiem kubek, cukier i śmietankę.

– Czy życzą sobie panowie czegoś jeszcze? – zapytał, zwracając się z szacunkiem do generała.

– To na razie wystarczy, dziękuję.

– Zawsze do usług. Proszę tylko zawołać.

– Nie omieszkam.

Kelner szybko się oddalił. Machado obserwował Ricka, który pociągnął łyk kawy.

– Ledwie po ślubie, a już się pokłóciliście?

– Skłamała. To znaczy, skłamała przez przemilczenie – poprawił się chłodno.

– W jakiej kwestii?

– Okazuje się, że jej ojciec jest nowym szefem CIA.

– A, tak, generał Cassaway. Przyjaźnią się z Grange'em.

Rick przypomniał sobie dziwną rozmowę z Gwen i Grange'em na granicy, kiedy poznał Machada. Wtedy ta krótka wymiana zdań go zastanowiła. Teraz zrozumiał, że Gwen ostrzegła Grange'a, żeby nie zdradzał jej tożsamości. Posmutniał jeszcze bardziej.

– Jest bogaty – rzucił Rick.

– A ty nie. – Machado w lot zrozumiał problem. – Czy to ma takie wielkie znaczenie, skoro kochasz tę kobietę? A co by było, gdyby to twoja matka była bogata, a jej ojciec ubogi?

Rick poruszył się niespokojnie.

– Nie wiem.

– Jasne, że wiesz. W ogóle by cię to nie obeszło.

Rick upił łyk kawy. Stracił argument.

Machado bawił się filiżanką.

– W moim kraju byłem multimilionerem – wyznał. – Miałem wszystko, czego dusza zapagnie, włącznie z rolls-royce'em i prywatnym helikopterem. Być może za dużo i Bogu nie spodobało się, że wydaję na siebie więcej, niż przeznaczam na biednych wieśniaków. Wieśniaków przesiedlanych i mordowanych przez moich podwładnych, bezwstydną służbę sprzyjających zagranicznym koncernom naftowym. Ropa i gaz

mają wielką wartość, a chłopci uważali ich wydobycie za uciążliwość, przeszkodę w łowieniu ryb. – Uśmiechnął się. – Nie są zainteresowani bogactwem. Żyją z dnia na dzień, spokojnie, bez zegarów, bez supermarketów i galerii handlowych. Może to oni mają rację, a reszta świata zwariowała od choroby zwanej cywilizacją.

Rick odwzajemnił jego uśmiech.

– Na pewno ich życie jest spokojniejsze.

– Tak, istotnie. – W ciemnych oczach Machada malowało się zamyślenie. – Byłem lekkomyślny. Teraz już wiem, że zawsze trzeba uważać. A człowiek, który zajął moje miejsce i przyprawił mój naród o cierpienia, zapłaci bardzo wysoką cenę za swoją arogancję i chciwość, zapewniam cię.

Wyraz twarzy generała sprawił, że Ricka przeszedł dreszcz.

– Wiemy, co uczynił – zgodził się.

– To moja wina. Powinienem był słuchać pewnej osoby... z którą się przyjaźniłem... Była archeologiem. Próbowwała mi uzmysłwić, co jego ludzie wyrabiają z tubylcami. Myślałem, że przesadza, że chce mnie skłonić do ukrócenia zapędów zagranicznych firm, by te nie zagrażały archeologicznym skarbowi.

– Pani archeolog?

Zachichotał.

– W dzisiejszych czasach to nic wielkiego, jest ich wiele. Kiedyś było inaczej. Wykładała na małej uczelni w Stanach Zjednoczonych. Odwiedziła mój kraj, kiedy natrafiła na znalezisko tak zadziwiające, że wahała się, czy w ogóle to ogłosić, zanim znajdzie na poparcie swojej tezy jakieś dowody. – Jego twarz stwardniała. – Podobno wtrącili ją do więzienia. Boję się nawet myśleć, co mogli jej zrobić. Jeśli coś strasznego,

pograżę się w rozpacz.

– Może uciekła z kraju. – Rick usiłował znaleźć jakieś pocieszenie.

– Pogłoski często okazują się nieprawdziwe.

– Tak uważasz?

W ciemnych, smutnych oczach Machada zabłysła iskierka nadziei.

– Wszystko jest możliwe.

Machado westchnął.

– Chyba tak.

Do ich stolika podbiegł zatroskany kelner.

– El General, nadjeżdża policyjny samochód – poinformował.

Machado spojrzał na Ricka.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Słowo honoru – oświadczył spokojnie Rick.

– To miejscowa policja? – zapytał Machado.

– Tak, samochód ma rejestrację z Jacobsville.

Machado rozważał możliwości. Kiedy się zastanawiał, czy nie czmychnąć przez tylne drzwi, w drzwiach stanął wysoki mężczyzna w mundurze policyjnym, o dużych ciemnych oczach, z włosami związanymi w kucyk. Powiódł wzrokiem po sali i dostrzegł Ricka z generałem.

Rick się rozluźnił.

– W porządku – rzucił. – To Cash Grier.

– Znasz go?

– Tak, jest szefem policji. Dobry człowiek. Dawniej był zabójcą na usługach rządu, a może to tylko plotka – zażartował.

Machado cicho się zaśmiał.

Cash podszedł do ich stolika. Miał poważny wyraz twarzy.

– Obawiam się, że przynoszę złe wieści.

– Jesteś tu po to, żeby mnie zatrzymać? – zapytał sucho Machado.

Cash przeniósł na niego wzrok.

– A złamałeś prawo? – zapytał ze zdziwieniem.

Było jasne, że nie wiedział, kim jest klient baru.

– Ostatnio nie – skłamał Machado.

Cash powrócił spojrzeniem do Ricka, który zeszywniał.

– Gwen... – powiedział niepewnie.

Cash się skrzywił.

– Obawiam się, że tak. Był wypadek...

Rick zbladł i zerwał się na równe nogi.

– Co jej się stało? – krzyknął.

– Przewieźli ją i Amesę do szpitala Jacobsville General. Z Amesem jest raczej źle. Pani Cassaway ma co najmniej jedno złamane żebro.

Rick już biegł do samochodu.

– Zaczekaj! Jadę z tobą! – krzyknął Machado.

Błyskawicznie zapłacił, a kelner wykonał przepelniony szacunkiem ukłon.

Cash wskoczył do swojego wozu i ruszył za nimi. Zatrzymali się dopiero przed szpitalem, przy samym wejściu do oddziału ratunkowego. Cash ciężko westchnął i tym razem zrezygnował z sięgnięcia po bloczek z mandatami.

– Moja żona, Gwen Cassaway – rzucił Rick. – Właśnie ją przywieźli.

Recepcjonistka uważnie się mu przyjrzała.

– Och, to pan, detektywie Marquez – powiedziała z uśmiechem. – To pańska żona? Gratulacje! Właśnie robią jej rentgen. Pacjentką zajmuje się doktor Coltrain.

– Copper czy Lou? – zapytał Rick, ponieważ oboje Coltrainowie byli lekarzami.

– Lou – padła odpowiedź.

– Dziękuję.

– Proszę tu poczekać – powiedziała łagodnie recepcjonistka. – Ktoś zawiadomi doktor Coltrain, że pan tu jest, dobrze?

Rick zacisnął zęby.

– Dobrze, zaczekam.

– To tylko chwilka.

Recepcjonistka chwyciła słuchawkę.

– Wszystko w porządku – powiedział Machado do syna z ciepłym uśmiechem. – Jak na kogoś tak młodego, jest bardzo odważna.

Rick miał wrażenie, że posadzka się pod nim zakołysała. Nie powinien był w ten sposób zareagować na rewelacje Gwen. Wytrącił ją z równowagi. Ale... przecież to nie ona prowadziła, a Ames był jednym z najlepszych kierowców Casha.

Odwrócił się do szefa policji.

– Ames rozbił samochód? Jak?

– Sam chciałbym wiedzieć – padła odpowiedź. – Znalezione też ślady innego pojazdu, jakby uderzył w nich bokiem. Pracują nad tym.

– Jeśli potrzebujecie pomocy, ściągnę specjalistę od badania śladów, może nawet lepszego niż wasz – zaproponował Machado.

Cash się mu przyjrzał. Zagryzł wargi.

– Jakbym skądś pana znał.

– Nie ma wielu moich fotografii – odparł Machado.

– Tak, ale już się gdzieś spotkaliśmy. Nie pamiętam gdzie, ale może sobie przypomnę.



Machado uniósł brew.

– A może jestem tylko podobny do syna?

– Syna? – Ciemne oczy Casha się zwięziły. – Machado. – Generał z uśmiechem potwierdził skinieniem głowy. – Gwen miała pańską fotografię. Musiałem przekazać matce Ricka informację o tym, że jest pan jego ojcem.

– Aha, tak się dowiedział... Pomysłowe! – Generał spochmurniał. – Mam nadzieję, że Gwen i pański funkcjonariusz z tego wyjdą.

– Ja także – odparł Cash. – Nie daje mi spokoju myśl o tym drugim samochodzie.

Machado przybliżył się do niego o krok.

– Banda Fuentesesa ma ważny powód, żeby dążyć do pokrzyżowania moich planów. Mój następca płaci im za to, że mnie szpiegują. Jest też jeszcze kret w DEA na bardzo wysokim szczeblu. Nie wiem, kto to – dodał – ale nawet do mnie dotarła wieść o jego istnieniu.

– No to niedobrze – mruknął Cash.

– Tak, sprawy bardzo się komplikują. Nie zamierzałem wciągać dzieci do mojej wojny – dodał, spoglądając smutno na Ricka, który niespokojnie przemierzał poczekalnię tam i z powrotem.

– Żaden ojciec by tego nie chciał, niekiedy jednak wtrąca się los. Aha, trzeba zawiadomić jej ojca.

– Tak – odparł Machado – trzeba.

Przeprosił i podszedł do Ricka.

– Jej ojca! – jęknął Rick. – Jak mam go znaleźć?

Machado się uśmiechnął.

– Sądzę, że mogę rozwiązać ten problem. – Wydobył z kieszeni telefon na kartę, jeden z wielu, jakie posiadał, i wybrał numer. – Grange? Posłuchaj, Gwen została ranna w wypadku drogowym. Powinieneś

zadzwoń do jej ojca i go o tym poinformować. Nie znamy jeszcze szczegółów. Ma co najmniej złamane żebro. Nic więcej nie wiemy, ale... on powinien przyjechać.

Nastąpiła pauza.

– Tak. Dziękuję. Jest w szpitalu w Jacobsville. W porządku. – Rozłączył się. – Grange przyjaźni się z jej ojcem. Zatelefonuje do niego.

Rick uciekł spojrzeniem.

– Fajna okazja, żeby poznać teścia – mruknął.

– Rzeczywiście, mało to wesołe – zgodził się Machado. – Objął syna. – Ale sobie poradzisz. Usiądź, przestań chodzić w tę i we w tę, bo wydepczesz rów w podłodze.

Rick pozwolił zaprowadzić się do krzesła. Uznał, że to całkiem niezłe mieć oparcie w ojcu.

Doktor Louise Coltrain w białym lekarskim fartuchu wkroczyła z uśmiechem do poczekalni. Z pewnym zdziwieniem przyjęła wiadomość, że oto ma przed sobą męża i teścia pacjentki.

– Gratulacje – rzuciła do Ricka. – Z nią wszystko będzie w porządku – dodała szybko. – Ma złamane żebro, a poza tym tylko siniaki. – Zwróciła się do Casha. – Pan Ames jest ranny w głowę. W tym wypadku rokowania są trudniejsze. Załatwiam przewiezienie go drogą lotniczą do San Antonio, do Centrum Marshalla. Chociaż na razie czuje się niezłe. Czy może pan poinformować jego rodzinę?

Cash pokręcił głową.

– On nie ma żadnej rodziny, przynajmniej o nikim nie wiem. Poza mną – dodał z ponurym uśmiechem. – Jestem więc jedyną osobą, którą trzeba było zawiadomić.

Skinęła głową.

– Będę pana informowała. Detektywie Marquez, może pan teraz odwiedzić żonę. Zaprowadzę pana.

– Gdzie, u diabła, jest moja córka?

Rick poczuł, że oblewa się potem. Głos, głęboki i autorytatywny, zmroził wszystkich w poczekalni. Rick się odwrócił i od razu zrozumiał, dlaczego ten człowiek został czterogwiazdkowym generałem. Był w mundurze, wszystkie guziki wypolerowane, czapka osadzona pod doskonałym kątem. Z twardej twarzy emanowała wojowniczość. Błyszczała w czarnych oczach.

– I kto jest odpowiedzialny za to, że się tu znalazła? – dodał tonem tylko odrobinę mniej zastraszającym.

Podczas gdy Rick zastanawiał się nad odpowiedzią, w drzwiach stanęła Barbara, zmartwiona i zaniepokojona po jego telefonie.

Ruszyła w kierunku pieklącego się wojskowego.

– Mój Boże, ktoś dziś wstał lewą nogą! – wykrzyknęła gniewnie. – Proszę się uspokoić i przestać krzyczeć na ludzi. To jest szpital, a nie jakieś koszary!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

General Cassaway skierował wzrok na smukłą blondynkę, która mierzyła go gniewnym spojrzeniem.

– Kim, u diabła, pani jest? – ryknął.

– Osobą, która zażąda pańskiego aresztowania, jeśli się pan natychmiast nie opanuje – padła odpowiedź. – Rick, jak się czuje Gwen? – zapytała, wyciągając ramiona do syna.

Zbliżył się i ją objął.

– Złamane żebro. I siniaki. Nie jest najgorzej.

– A pan jest kim? – zapytał gniewnie general Cassaway.

Rick się do niego odwrócił.

– Mężem Gwen. Detektyw sierżant Rick Marquez – przedstawił się chłodno, nie cofając się ani o cal.

– Jej mężem?

– Tak. I moim synem – dodała Barbara.

– Również moim.

General Machado uśmiechnął się do Barbary, ona zaś do niego.

– Jesteście małżeństwem? – zapytał Cassaway. Barbara się zaśmiała.

– Nie. Jest dla mnie o wiele za młody – oświadczyła.

Machado posłał jej rozbawione spojrzenie.

– Lubię starsze kobiety – wyznał.

W odpowiedzi tylko pokręciła głową.

– Chcę zobaczyć córkę – powiedział Cassaway do Lou Coltrain.

– Oczywiście. Proszę tędy. Ty także, Rick.

Cassaway zdziwiło, że zwróciła się do niego po imieniu.

– My się tutaj wszyscy znamy – wyjaśniła Lou. – Ja jestem przyjezdna, ale mój mąż jest miejscowy. Zna Ricka, odkąd Barbara go adoptowała.

– Rozumiem.

Gwen znajdowała się pod wpływem silnych środków uspokajających, otworzyła jednak oczy. Na widok męża i ojca jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Tato! Rick!

Rick ujął ją za rękę z jednej strony łóżka, a ojciec z drugiej.

– Tak mi przykro... – zaczęła.

– Nie wygaduj głupstw. – Rick pocałował ją w czoło. – To mnie jest przykro. Zachowałem się jak idiota. Nie mam pojęcia, dlaczego pozwoliłem ci pojechać z Amesem.

– Ames? Co z nim? – zapytała. – Ten drugi samochód wychynał nagle jakby znikąd! Zobaczyliśmy go dopiero, kiedy w nas uderzył. W środku siedziało trzech mężczyzn...

– Poznałaś któregoś?

– Nie – odpowiedziała. – Ale to mógł być Fuentes.

– Na Boga, zapolujemy na nich jak na szczury – rzucił lodowato Cassaway.

– Nie zdąży pan. Mój ojciec pana wyprzedzi – odpowiedział chłodno Rick.

– A kim jest twój ojciec? – zapytał nagle Cassaway. – Chyba skądś go znam.

– To generał Emilio Machado – odparł Rick, a w jego głosie zabrzmiała nutka dumy.

Cassaway wyduł wargi.

- Szef Grange’a. Tak, wiemy o tej planowanej operacji.

Oczywiście nie możemy się w to mieszać.

- Oczywiście – potwierdził z błyskiem w oku Rick.

- Ale szukamy dobrych ludzi – dodał z humorem.

Rick zachichotał.

- Więc jesteś zamężna – rzekł Cassaway. Pokręcił głową. – Twoja matka byłaby szczęśliwa. – Skrzywił się. – Ja także będę musiał.

- Przepraszam – powiedziała. – Nie zdradziłam Rickowi, kim jesteś. – Przygryzła wargę.

- A co to ma do rzeczy? – zapytał ze zdumieniem jej ojciec.

- Jestem prostym detektywem – wyjaśnił drwiąco Rick. – Noszę trzyletnie ubrania i jeżdżę pikapem.

- Nie rozumiem. Ja też jeżdżę pikapem. – Generał wzruszył ramionami. – Co ma z tego wynikać?

Rick zdążył już faceta polubić. Uśmiechnął się.

- Widzisz? – wtrąciła Gwen. – Mówiłam ci, że nie jest taki, jak myślisz.

- Snob. – Generał piorunował Ricka wzrokiem. – Ja nie dobieram sobie przyjaciół według stanu ich konta.

- Przepraszam – odparł Rick. – Nie znałem pana.

- Jeszcze poznasz, synu.

- Gratulacje z powodu objęcia nowego stanowiska – rzucił Rick.

Generał wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jak długo się na nim utrzymam. Nie całuję nikogo w tyłek, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, i zawsze mówię, co myślę. To się nie zawsze opłaca.

- Uważam, że uczciwość nigdy nie wychodzi z mody – rzucił Rick.

W oczach generała zapłonęły iskierki.

– Dobrze wybrałaś – pochwalił córkę.

Tylko się uśmiechnęła.

W poczekalni Cash Grier rozmawiał przez telefon z kimś z San Antonio, podczas gdy Machado wertował jakieś kolorowe czasopismo ze stolika. Barbara, zmartwiona, krążyła po pomieszczeniu. Ojciec Gwen okazał się trudnym przypadkiem.

Miała nadzieję, że on i Rick nauczą się jakoś ze sobą żyć.

Cash z ponurą miną zatrzasnął telefon.

– Znaleźli samochód, porzucony, kilka mil za Comanche Wells – poinformował. – Nie wiemy na pewno, czy to właśnie ten, ale ma na zderzaku czarny lakier, a samochód Amesa jest czarny. Sprawdzamy to. Na razie wiadomo tylko tyle, że został skradziony.

– Fuentes – skomentował Machado. – Mam go już dosyć. Coś mi się wydaje, że on też będzie miał niebawem wypadek.

– W ogóle tego nie słyszałem – obruszył się Cash.

– A czy ja coś powiedziałem? – zdziwił się Machado. – Tak sobie tylko głośno myślę.

– Grożenie aktem terroru – podsumował Cash, celując palcem w Machada. – No i zapomniałem o pańskim udziale w porwaniu pani Pendleton. Ale za godzinę będę musiał sobie przypomnieć i wtedy – dodał – sprawy tutaj mogą się skomplikować.

Machado się uśmiechnął.

– Wtedy już od dawna mnie tu nie będzie. Syn mnie potrzebuje.

Cash również się uśmiechnął.

– Ja mam córkę, trzyletnią. Rude włosy, zielone oczy i charakterek gorszy nawet niż mój.

– Żałuję, że nie znałem syna, kiedy był mały – westchnął Machado.  
– Nie miałem nawet pojęcia o jego istnieniu. Dolores milczała aż po grób.  
Szkoda.

– Ale dla mnie doskonale się złożyło – wtrąciła łagodnie Barbara. –  
Dzięki Rickowi miałam po co żyć. – Wyprostowała się. – Jak sądzicie, czy  
za tym nie krył się jakiś głębszy zamysł? – zapytała filozoficznie.

– Tak, ja tak uważam – odpowiedział z uśmiechem Machado. –  
Los musiał maczać w tym palce.

– No cóż... – zaczęła.

– Muszę wracać do Waszyngtonu – powiedział Cassaway do  
Ricka, kiedy wyłonili się z korytarza. – Z ogromną przyjemnością cię  
poznałem, synu.

Uścisnęli sobie ręce.

– Ja także – odpowiedział Rick. – Obiecuję, że będę lepiej chronił  
Gwen. I że nie zachowam się tak głupio, kiedy znów mnie czymś zadziwi –  
dodał ze śmiechem.

– Jasne. Przecież wiesz, w jaki sposób zarabiam teraz na życie –  
rzucił z uśmiechem generał. – Mogę cię znaleźć. Wszędzie i zawsze.

– Tak jest – odparł Rick.

Generał zwrócił się do Machada:

– A pan niech lepiej zwiewa z Meksyku – poradził ściszym  
głosem. – W Sonorze robi się gorąco, nadciąga burza. Radzę nie znaleźć się  
na jej drodze.

Machado skinął głową.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, mam swoje powody – zapewnił go Cassaway. –  
Wolałbym pozbyć się tego szczura z Barrery, zanim zamieni cały kraj w



największy na świecie ośrodek dystrybucji kokainy.

– Ja także – odpowiedział cicho Machado. – Obiecuję, że jego dni u władzy są już policzone.

– Żałuję, że nie mogę pomóc – rzekł Cassaway. – Ale macie chyba wystarczająco dużo informacji i ludzi.

– W tym pańskiego przyjaciela – potwierdził z uśmiechem Machado.

– Bardzo dobrego. Z nim na pewno odniesiecie sukces. – Uścisnęli sobie ręce i Cassaway zwrócił się do Barbary: – Pani to ma charakterek!

Spiorunowała go wzrokiem.

– Nerwus. Jakby się najadł pieprzu.

Uśmiechnął się.

– Lubię pieprz.

Drgnęła.

– Ja także.

– Mama jest znakomitą kucharką – poinformował z dumą Rick, obejmując jej ramiona. – Prowadzi tu restaurację. Naprawdę dobrą.

– Tak? Ja też jestem kimś w rodzaju kucharza – odpowiedział Cassaway. – Hoduję nawet własne warzywa. Co roku pewna starsza sąsiadka pomaga mi robić przetwory.

Barbara postąpiła o dwa kroki do przodu.

– Ja także robię przetwory. I lubię suszyć zioła.

– Mam cały ziołowy ogródek, ale za dobrze to mi się nie udają – przyznał.

– Stosuje pan kompost? – zapytała.

Uniósł brwi.

– Stosuję co?

- Kompost, z organicznymi odpadami z kuchni.

Wyjaśniła, jak to działa i co trzeba robić.

- Bratnia dusza! – Cassaway się rozpromienił. – Cóż za niespodzianka! W dzisiejszych czasach niewiele kobiet zajmuje się ogrodem.

- Och, wokół Jacobsville cała gromadka – zaprotestowała Barbara.
- Proszę nas odwiedzić w lecie. Pokażę, jak wyhodować kukurydzę wysoką na dziesięć stóp, nawet kiedy jest susza – dodała.

Cassaway przybliżył się do niej o krok. Dopiero teraz Barbara spostrzegła, że jest ogromny. Wysoki, przystojny i zbudowany jak czołg. Że ma grube czarne włosy i ciemne oczy.

Cassaway myślał w tym samym czasie o Barbarze. Wysokiej i szczupłej, bardzo atrakcyjnej kobiecie.

- Nie będę czekał do lata – oświadczył niskim, głębokim tonem. – Jest tu jakiś hotel?

- Tak, ale mam duży wiktoriański dom. Rick i Gwen też się zmieszczą. Urządzimy sobie taki mały zjazd rodzinny. – Lekko się zaczerwieniła, zaśmiała i poszukała wzrokiem Machada. – Ty także jesteś zaproszony – dodała. – Jeśli zdążysz do tego czasu z tą swoją rewolucją.

- Z radością przyjmuję zaproszenie – odparł Machado. Pocałował Barbarę w rękę i wykonał ukłon. – Dziękuję za tak wspaniałą opiekę nad moim synem.

Uśmiechnęła się.

- Jest radością mojego życia. Przedtem nie miałam nikogo.
- Moja żona zmarła kilka lat temu, a w tym roku straciłem syna – oświadczył smutno generał Cassaway.
- Tak mi przykro. – W oczach Barbary malowało się współczucie.

– Przeżyłam poronienie. Utrata kogoś dorosłego, ukształtowanego, musi stanowić jeszcze straszniejszy cios.

– To gorsze niż własna śmierć – zgodził się Cassaway. Odchrząknął i rozejrzał się wokół. – No cóż, mój adiutant przestępuje z nogi na nogę, jakby oblażyły go mrówki, musimy się zbierać.

Wskazał głową młodego oficera przy drzwiach.

– Mrówki? – zapytała Barbara.

– Zawsze jest tak, kiedy się spieszymy. Nie może ustać w miejscu. Porządny człowiek, ale trochę niecierpliwy. – Wzruszył ramionami. – Podobnie zresztą jak ja. Pasujemy do siebie. – Podał Rickowi rękę. — Słyszałem o tobie dobre rzeczy od Grange’a. I wasz szef policji... – wskazał Casha, który znów rozmawiał przez telefon – bardzo cię ceni.

Rick się uśmiechnął.

– Miło to usłyszeć. Lubię swoją pracę. I chcę być w niej dobry.

– Zajmuj się moją dziewczynką.

– Przecież wiesz, że o nią zadbam.

Cassaway zatrzymał się przy Barbarze i spojrzał na nią z góry. Z zachwytem w oczach.

– Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się.

– Do zobaczenia.

Skinął głową pozostałym i oddalił się wraz z młodym człowiekiem, który musiał się pilnować, żeby nie pobiec.

Cash dołączył do nich po minucie.

– Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny, ale muszę trzymać rękę na pulsie. Przy przejściu granicznym niedaleko Del Rio trzech mężczyzn napadło na funkcjonariusza straży. Ogluszyli go, zabrali

samochód i przekroczyli granicę z Meksykiem. Uważamy, że to prawie na pewno ci, którzy staranowali Amesa.

– Wspaniale – mruknął Rick. – Po prostu cudownie. Teraz trzeba załatwić ich ekstradycję do Stanów. To potrwa z rok, nawet gdybyśmy zdołali ich ostatecznie zidentyfikować.

Machado wydał usta.

– Ja bym się tym zbytnio nie przejmowałam. Takich ludzi łatwo znaleźć i nietrudno należycie potraktować.

– Ja tego nie słyszałam – oświadczył ponownie Cash.

Machado zachichotał.

– Oczywiście. Wygłosiłem tylko ogólną uwagę.

– Dziękuję, że ze mną przyjechałeś – powiedział do niego Rick. – I za wsparcie.

Machado go uściskał.

– Zawsze znajdę się w pobliżu, gdybyś mnie potrzebował. – Przyjrzał się Rickowi jeszcze raz. – Jestem z ciebie dumny, synu!

Rick z trudem przełknął ślinę.

– A ja z ciebie, ojczy.

Oczy Machada w dziwny sposób pojaśniały. Nagle się zaśmiał.

– Zaraz się tu rozplączemy. Muszę lecieć. Grange czeka na mnie na parkingu.

– Nie mogę się wypowiadać oficjalnie – rzekł Cash – ale prywatnie życzę powodzenia.

Machado ucisnął mu rękę.

– Dziękuję, przyjacielu. Mam nadzieję, że pański człowiek wydobrzeje.

– Ja także – odparł Cash.

Rick odprowadził Machada do drzwi. Na zewnątrz Winslow Grange czekał za kierownicą pikapa generała.

Machado odwrócił się do syna.

– Kiedy nadejdzie czas, z przyjemnością zatrudnię cię jako łącznika z władzami amerykańskimi. A ten czas nadejdzie już wkrótce – dodał uroczystym tonem. – Mój kraj ma wiele zasobów przyciągających zagraniczne interesy. Wolałbym handlować z republikanami albo demokratami, nie z państwami totalitarnymi.

– Mądra decyzja – pochwalił Rick. – Ja tu będę czekał.

Machado się uśmiechnął.

– *Que vayas con Dios, mi hijo*<sup>5</sup> – rzucił ciepłym głosem zarezerwowanym dla rodziny i bliskich przyjaciół.

Rick poczuł jakieś dziwne ciepło. Ojciec go zaakceptował. Kiedy dwaj mężczyźni wyruszyli w drogę, pomachał im ręką na pożegnanie. Miał nadzieję, że ojciec nie zginie w inwazji na Barrerę. Cóż, Machado był generałem i zasłużył sobie na ten tytuł uczciwie, w wielu bitwach. Wyjdzie z tego cało. Rick wiedział to na pewno.

Gwen opuściła szpital po dwóch dniach. Klatkę piersiową krępował jej elastyczny pas i syczała z bólu przy każdym ruchu. Oczywiście dostała zwolnienie, chciała jednak jak najprędzej wrócić do pracy. W domu Barbary Rick musiał uciekać się do gróźb, żeby zatrzymać ją w łóżku.

– Do tego jestem ciężarem dla twojej biednej matki – protestowała.

– Ma restaurację do prowadzenia, a tutaj podaje mi jedzenie na tacy.

– Jej to nie przeszkadza – zapewnił ją Rick.

– Oczywiście, że nie przeszkadza. – Barbara wniosła zupę i krakersy. – Ponadto planuję fantastyczny obiad na Święto Dziękczynienia,

---

<sup>5</sup> Que vayas con Dios, mi hijo! (j. hiszp. ) – Niech Bóg będzie z tobą, mój synu (przyp. red. ).

to już za parę tygodni. Zamierzam zaprosić twojego ojca – poinformowała Gwen, nieco się rumieniąc. – Mam nadzieję, że mi się uda, chociaż nie wiem... – Zawahała się. – Jest szefem CIA. Na pewno przywykł do kryształów i porcelany.

– Nie używa czegoś takiego w domu – zapewniła ją Gwen. – Lubi proste białe talerze ceramiczne i grube kubki do kawy, takie jak w kawiarniach. I proste potrawy. Z przyjemnością tu odetchnie po tej karuzeli w Waszyngtonie. Której ja na szczęście uniknęłam na dobre – dodała. – Nienawidziłam odgrywania roli gospodyni na przyjęciach. Lubię za to pracować w policji.

– Ja także. – Rick posłał żonie ciepły uśmiech. – Tylko mi przykro z powodu tego, co się przydarzyło tobie i Amesowi.

– Wiadomo o nim coś nowego?

– Wiem od Casha Griera, że dziś rano odzyskał świadomość – obwieściła z uśmiechem Barbara. – I wraca mu pamięć. Przypomnił sobie na przykład, jak tamci wyglądali. Widział ich lepiej niż ty. Rozpoznał Fuentesę.

– Fuentes? Osobiście? – Gwen się zdumiała. – Dlaczego nie powierzył brudnej roboty innym?

– Fuentes wie, że jesteś moją żoną, a ja synem Machada – wyjaśniał ponuro Rick. – Sądzę, że próbował w ten okrężny sposób uderzyć w generała. Może myślał, że to ja prowadzę. Nie mógł przecież wiedzieć, że jedziesz z Amesem.

– Tak – potwierdziła z troską Barbara. – I może spróbować jeszcze raz. Staraj się nie łązić nigdzie samotnie, przynajmniej do czasu zatrzymania Fuentesę.

– Nie zatrzymają go – rzucił chłodno Rick. – Już wielu policjantów

próbowało go przyskrzynić i żaden nie zdołał. Ma kryjówkę w górach i porozstawiane wokół strażę. Parę tygodni temu pewien tajny agent próbował przeniknąć do jego obozu i został zabity. Marzę, żeby ten typ wreszcie trafił za kraty, tylko jak to osiągnąć?

– No cóż, znalazł też za skórę twojemu ojcu – zauważyła Barbara.

– A generał ma środki i sposoby, których nam nie wolno stosować – dodała Gwen.

– To prawda – zgodził się Rick.

– Sądzę, że wkrótce usłyszymy jakieś wieści o

Fuentesie i jego bandzie – podsumowała Barbara. – Na razie jednak musimy się skupić na postawieniu twojej żony na nogi. Dobre jedzenie i nieco rozpieszczania zawsze odnoszą skutek.

– Jesteś najukochańszą matką! – pochwalił Rick.

– I jestem taka szczęśliwa, że starasz się zostać również moją – powiedziała Gwen z ciepłym uśmiechem, po czym jęknęła.

– Czas na lekarstwa – zorientowała się Barbara i wyszła do kuchni.

Rick się nachylił i delikatnie pocałował Gwen w czoło.

– Poprawia ci się – szepnęła. – Mam wobec ciebie pewne plany...

Na nieodległą przyszłość.

Zaśmiała się, skrzywiła z bólu i uniosła usta, żeby dosięgnąć jego warg.

– Nie tylko ty masz plany. Przeklęte żebro!

– Kiepski moment – mruknął Rick. – Ale mamy przed sobą całe życie.

– Tak – szepnęła, rozpromieniając się. – Całe życie.

Święto Dziękczynienia nadeszło nagle i do tego, o dziwo, ze śniegiem!

Rick i Gwen wyszli na podwórze domu Barbary. Obserwowali z zachwytem, jak biały puch pokrywa nagie gałęzie drzew za ogrodzeniem.

– Śnieg! – krzyknęła Gwen. – Nie wiedziałam, że w Teksasie też może padać!

– Przecież padał nawet w Afryce Południowej, dwukrotnie w sierpniu – przypomniał Rick. – Pogoda zbzikowała.

Z uśmiechem go uścisnęła, nadal lekko się krzywiąc, ponieważ zebro jeszcze poboлеwało. Prędko jednak wracała do zdrowia. Już wkrótce całkiem odzyska sprawność i poszuka miłosnych doznań ze swoim nowym mężem, uśmiechnęła się na tę myśl.

– Czy twój ojciec przyjedzie? – zadał pytanie Rick.

– Oczywiście. Powiedział, że za nic nie przepuści obiadu w Święto Dziękczynienia. Potrafi gotować, ale nie lubi tego robić w święta. Zresztą najczęściej jada poza domem. Był bardzo podekscytowany. Nie tylko posiłkiem – dodała z szelmowskim uśmiechem. – Chyba spodobała się mu twoja matka.

– Stworzą parę? – zadumał się.

– Na to wygląda. Oboje są samotni i mniej więcej w tym samym wieku. W końcu tata jest tylko facetem.

– Szefem agencji federalnej i mieszka w Waszyngtonie, a ona prowadzi prowincjonalną restaurację – wysunął zastrzeżenie Rick.

– Jeśli naprawdę zechcą, to znajdą jakiś sposób.

– Raczej tak. – Wśród wirujących płatków śniegu delikatnie przyciągnął ją do siebie. – Małżeństwo z tobą to najlepsze, co mnie spotkało w życiu – oświadczył czule. – Nie powtarzam ci tego często, ale bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham – odszepnęła.



Zniżył głowę i poszukał ustami jej ust. Rozchylił jej wargi i chciwie je pocałował. W nagłym przebłysku pożądania stracił głowę. Otoczył ją rękoma, przyciągnął tak mocno, że jęknęła.

Usłyszał to i natychmiast puścił.

– Przepraszam – krzyknął. – Zapomniałem.

Zaśmiała się chrapliwie.

– W porządku, ja także zapomniałam. Jeszcze tydzień czy dwa i wrócę do pełnej formy.

Obrzucił wymownym spojrzeniem jej szczupłe, zgrabne ciało w dżinsach i obcisłym swetrze.

– Twoja forma już mi się podoba – mruknął.

– Och, ty!

Uderzyła go lekko w pierś.

– Seksowna i słodka. Jestem szczęśliwym człowiekiem.

Pocałowała go.

– Oboje jesteśmy.

Westchnął.

– Chyba musimy wracać i zaoferować pomoc przy obieraniu ziemniaków.

– Raczej tak.

Ponownie ją pocałował.

– Za minutę.

Westchnęła.

– Tak, za minutę. Albo dwie... albo trzy...

Po dziesięciu minutach wrócili. Barbara omiotła ich rozbawionym spojrzeniem, po czym wręczyła Rickowi duży kosz ziemniaków i nóż. Westchnął i zabrał się do pracy.

Generał przyjechał ze swoją świtą, która zamieszkała w hotelu w Jacobsville. Wtasczył jednak ze sobą walizkę ze sprzętem elektronicznym, dla którego trzeba było znaleźć miejsce.

– Muszę pozostawać w kontakcie ze swoim wydziałem, sprawdzać dane w sieci, odpowiadać na pytania i informować ludzi z ochrony o swoich działaniach – wyliczył. – Wspaniała praca, ale zajmuje masę czasu. Nie zawsze nadążam – dodał, uśmiechając się do Gwen.

– Na pewno świetnie sobie radzisz – zapewniła go.

– Dziękuję. – Przymknął oczy, próbując nadzienia z sosem z podrobów. – Wspaniale, Barbaro.

– Uwielbiam gotowanie – odparła z szerokim uśmiechem.

– Ja także – dodała Gwen. – I przy Barbarze ciągle się uczę czegoś nowego.

– Jest bardzo pojętna – pochwaliła gospodyni, posyłając uśmiech synowej. – Zresztą na przykład jej chleb z mąki kukurydzianej jest znakomity, a sama opracowała przepis. Jest bardzo utalentowana.

– Dziękuję.

– Co z tym typem od Fuentesesa, który was staranował? I z nim samym? – zapytał nagle generał.

– Dziwna sprawa – odpowiedziała Gwen. – Fuentes jakby zapadł się pod ziemię. Od czasu tego zdarzenia nikt go nie widział.

– Rzeczywiście dziwna sprawa – potwierdził generał.

– Prawda?

– A jak się czuje ten młody człowiek, który cię podwoził? – zapytał, wbijając widelec w sałatkę z ziemniaków.

– Wrócił już do pracy – poinformowała radośnie Gwen. – Na szczęście z tego wyszedł.

– Miło to usłyszeć. – Przeniósł spojrzenie na Ricka. – Rozumiem, że twój ojciec opuścił Meksyk?

Rick się uśmiechnął.

– Tak.

– To oznacza, że w Barrerze wkrótce zrobi się gorąco.

– Tak, już niebawem.

– Wystarczy o tych wojnach i rewolucjach – upomniała ich twardo Barbara. Z uśmiechem zerwała się na nogi. – Mam niespodziankę.

Wymaszerowała do kuchni i wróciła z ogromnym plackiem z kremem kokosowym. Postawiła paterę na stole.

– To jest...?

– Krem kokosowy. Słyszałam, że ktoś za nim przepada.

– Ja! – krzyknął generał Cassaway. – Dziękuję!

– Bardzo proszę. – Pokroiła placek i nałożyła na talerzyki. – Jeśli macie jeszcze miejsce po indyku i nadzieniu...

– Ja mam! – oświadczył generał z takim entuzjazmem, że wszyscy się zaśmiali.

Generał został na dwa dni. Rick, Gwen i Barbara pokazali mu Jacobsville i przedstawili znajomym. Czuł się wśród nich świetnie, jakby się tutaj urodził. Zapowiedział, że przyjedzie na Boże Narodzenie. Stwierdził z satysfakcją, że uniknie przy okazji świątecznych przyjęć w Waszyngtonie.

Do Ricka odezwał się później jego ojciec. Najemnicy wylądowali w kraju przyjaznym Machado, blisko granicy z Barrerą. Przygotowywali się do ataku. Machado powiedział Rickowi, żeby się nie martwił, gdyż jest pewny zwycięstwa. Na wszelki jednak wypadek chciał, żeby Rick wiedział, że poznanie syna stanowiło ważny przełom w jego życiu. Rick głęboko to przeżył. Wyznał później Gwen, że odzyskanie ojca wiele dla niego znaczy.

No, oczywiście nie tyle, co ich małżeństwo.

Przeprowadzili się do jej mieszkania, ponieważ mieli stamtąd bliżej do pracy. Mieszkanie Ricka pozostało na razie puste.

Pewnego piątku Gwen zdołała się wyrwać z pracy wcześniej i kiedy Rick otworzył drzwi, stała przy kanapie w negliżu, który przyprawił go o gwałtowne bicie serca.

– Wróciłeś akurat w chwili, kiedy przymierzam nową bieliznę – rzuciła. – Cóż za wspaniały przypadek!

Ruszyła w jego kierunku.

Zdołał jeszcze zamknąć drzwi na zamek, a potem splątani w miłosnym uścisku osunęli się na dywan...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Twoje żebra – wydyszał Rick.

– Nic im nie dolega – szepnęła Gwen, poddając się rytmowi ciała męża. Pod wpływem tych ruchów zalała ją wszechogarniająca fala rozkoszy.

– Och! – jęknęła, drżąc.

– To znaczy, że dochodzisz już do zdro...

– Tak!

Z jej ściśniętego gardła wyrwał się zduszony krzyk. Kiedy po chwili Rick zadrżał, otworzyła szeroko oczy, obserwowała go. Jego ciało stężało w ekstazie. Z jękiem poddał się wyzwalającemu spazmowi.

Sprawiło to, że ona znów zapłonęła. Mimowolnie zaczęła się poruszać, aż poczuła, że rozkosz znów narasta, by wreszcie eksplodować. Była jak wulkan, płonęła, spalała się w niekończących wybuchach namiętności.

Nie mogła zaprzestać tych ruchów nawet wtedy, gdy osiągnęła szczyt.

– Nie – wykrztusiła. – Jeszcze nie.

– Cii – szepnął jej do ucha. – Nie przestanę, dopóki nie poprosisz.

Potań wargami jej usta i powrócił do wolnego rytmu, który bardzo szybko przeniósł ją z jednego szczytu na drugi, jeszcze wyższy.

Uniósł głowę i zatrzymał spojrzenie na jej zgrabnych piersiach z różowymi stwardniałymi sutkami. Jej płaski brzuch napierał, kiedy rytm nagle przyspieszył, stał się gwałtowny, nagłący.

– Teraz, teraz – jęknęła bezradnie, dygocząc, gdyż rozkosz przewyższyła cokolwiek, czego dotąd doznała. – Och, proszę, teraz!

Natarł mocno i poczuł, jak oboje wylatują gdzieś wysoko, w kosmos. Krzyknął, ich złączone ciała dygotały, aż wreszcie błogie fale opadły do

poziomu możliwego już do zniesienia.

Opadł na nią ciężkim, gorącym ciałem. Przyciągnęła go mocno do siebie i leżeli tak, aż odzyskali oddech.

– To było niewiarygodne – szepnęła.

– Myślałem, że już dawno osiągnęliśmy kres – odszepnął. – Ale najwidoczniej... nie. – Słabo się zaśmiał i uniósł głowę. – Twoje żebro – zaniepokoił się nagle.

– Wszystko w porządku – zapewniła go. – Zresztą, nawet gdyby nie, i tak nie czułabym bólu – dodała, lekko się rumieniąc. Spojrzała w jego ciemne oczy. – Jesteś fantastyczny.

Uśmiechnął się.

– Ty także. – Uniósł brew. – Mam nadzieję, że zawsze będziesz witać mnie w takim stroju, kiedy będę wracał z pracy... Naprawdę mi się podoba.

Gwen cicho się zaśmiała.

– Improwizowałam. Naprawdę chciałam tylko przymierzyć, a potem usłyszałam, że wracasz. Ot, cała historia.

Pocałował ją delikatnie.

– Bardzo piękna historia...

Zaczął się unosić i wtedy Gwen syknęła.

– Przepraszam. – Podparł się mocniej ręką. – Trochę przesadziliśmy.

– Nie, wcale nie – zaprzeczyła, uśmiechając się pomimo bólu.

Zaprowadził ją do sypialni i ułożyli się w łóżku, nie zwracając sobie głowy pozbieraniem ubrań.

– Nie jedliśmy kolacji – zaprotestowała.

– Ale mieliśmy deser. Główne danie może zaczekać.

Objął ją i zgasił światło. Spali aż do rana.

W dzień Bożego Narodzenia zjedli ogromny posiłek, cała rodzina oprócz generała Machado. Zgromadzeni wokół choinki w salonie domu Barbary, słuchali kolęd. Rick i Gwen złożyli wcześniej ofertę kupna domu w pobliżu i została już przyjęta. W styczniu mieli podpisać umowę, co sprawiło, że w święta byli jeszcze bardziej podekscytowani.

Barbara i generał Cassaway doskonale się czuli w swoim towarzystwie, z tym jednak, że co jakiś czas wybuchały między nimi gwałtowne sprzeczki. Generał z trudem znosił zdanie odmienne od swojego, a miał bardzo zdecydowane poglądy na niektóre metody gotowania. Ponieważ kuchnią interesował się zaledwie od pięciu lat, a Barbara gotowała od dziecka, starcia były nieuniknione. Im dłużej dyskutowali o przepisach, tym bardziej podnosili głos.

Gwen, z błogosławieństwem ojca, zrezygnowała z dotychczasowej pracy i została pełnoetatowym detektywem w wydziale Ricka w San Antonio.

Jej starania doprowadziły do oskarżenia Mickeya Dunagana – tego, którego nie skazano wcześniej za napaść na koleżankę zamordowanej studentki – o zabójstwo. Jednocześnie toczyło się przeciwko niemu postępowanie w starej, podobnej sprawie.

Wobec przygniatających dowodów – fragmentarycznego odcisku palca i DNA pobranym z ciała ofiary – Dunagan przyznał się do winy. Obrońca z urzędu próbował dowodzić, że nie odczytano mu jego praw, sam oskarżony stwierdził jednak, że został o nich poinformowany i podtrzymał przyznanie do winy. Zaczął płakać. Nie chciał bowiem żadnej z nich skrzywdzić, były jednak takie ładne, że nie potrafił się pohamować. Nie cieszył się powodzeniem u kobiet. Tę pierwszą zabił, bo się z niego wyśmiewała.

Ostatnia ofiara była jednak dla niego miła. Powiedział Gwen, że nie dba o to, że trafi do więzienia. Nie chce już więcej nikogo skrzywdzić.

Przekazywała go prokuraturze z pewnego rodzaju smutkiem. Morderca z sumieniem. To naprawdę niezwykle, ale to niestety nie przywróci ofiarom życia. Z drugiej strony jednak, wydział od zawieszonych spraw dowiódł, że jest potrzebny. Docenili wysiłki Gwen i powiedzieli, że są jej winni dobrą kolacją. Czekają tylko, aż Gwen wyznaczy termin. Rozmawiała też z rodzicami ofiary. Mogła ich poinformować, że zabójca zostanie osądzony, i to najprawdopodobniej bez długiego procesu, który przypomniałby im boleśnie o ich tragedii.

Policjant z San Antonio, Sims, który uczestniczył z Rickiem i Gwen w obserwacji, zrezygnował ze służby, nie podając powodu. Żaden jego kolega nie wiedział dlaczego.

Funkcjonariusz Ames z Jacobsville wrócił na dobre do pracy. Wypadek nie pozostawił żadnych trwałych skutków zdrowotnych.

Co do Barrery, krążyły pogłoski o inwazji. Generał Cassaway, zapytany o ich zasadność, tylko się uśmiechnął.

Gwen wręczyła Rickowi zapakowany prezent i cierpliwie czekała, aż go otworzy.

Zajrzał do środka i uniósł zdumiony wzrok.

– Skąd wiedziałaś?

Uśmiechnęła się i wskazała głową Barbarę, która zrobiła niewinną minę.

– Dziękuję! – krzyknął, wydobywając płytę DVD z ważnym meczem USA – Meksyk. Transmisję opuścił z powodu pracy. – Wspaniały prezent!

– Wiem, że znasz wynik, ale świetnie grali i warto to zobaczyć –



odparła Gwen.

– Proszę, to dla ciebie – rzekł, wręczając jej małą paczuszkę.

Zdarła papier i odsłoniła wytworne pudełeczko. Uniosła pokrywkę i ujrzała piękny pierścionek z niewielkim brylantem.

Wyjął go i wsunął jej na palec.

– Pomyślałem sobie, że powinnaś go dostać. Brylant nie jest największy, ale daję ci ten pierścionek całym swoim sercem.

Rozplakała się i zarzuciła mężowi ręce na szyję.

– Wystarczyłaby mi opaska od cygara – oświadczyła.

– Wiem. Właśnie dlatego chciałem ci go podarować.

– Jesteś kochany – mruknęła.

Westchnął.

– Jestem szczęśliwy – uzupełnił, całując ją w głowę.

Uniosła na niego przepojony uczuciem wzrok.

– Wiesz – powiedziała, spoglądając na Barbarę i generała Cassawaya wertujących właśnie książki kucharskie, które nawzajem sobie podarowali – to chyba najpiękniejsze Boże Narodzenie w moim życiu.

– W moim na pewno – odpowiedział. – A jest dopiero pierwszym z wielu.

– Tak – potwierdziła z szerokim uśmiechem, dotykając opuszkami palców jego policzka. – Pierwsze z wielu. Wesółych świąt.

Pocałował ją.

– Wesółych świąt.

Przerwało im nagle brzęczenie jego telefonu. Skrzywił się i sięgnął do kieszeni. Na pewno z pracy. Mimo świąt będzie musiał pojechać do San Antonio...

Spojrzał na wyświetlacz. Nieznany numer...

– Halo? – rzucił.

– *Feliz Navidad* – śpiewał głęboki głos. – *Feliz Navidad, Feliz Navidad*, coś tam, coś tam, *felicidad!*

– Zapomniałeś słów? – Uszczęśliwiony Rick zachichotał. – Wstyd! *Feliz Navidad, prospero ano y felicidad* – podpowiedział gładko.

– Rzeczywiście wstyd, ale jestem bardzo zajęty i skupiam się na czymś innym. Wesółych świąt, synu!

– Wesółych świąt, tato – odpowiedział.

Odczuwał radość. Ojciec mimo trwającego przewrotu zadzwonił, żeby mu złożyć życzenia.

– Sytuacja tutaj jest dobra. Być może już wkrótce ty i twoja śliczna żona mnie odwiedzicie. Przyślę po was samolot.

– Fajnie – odpowiedział.

Ruchem warg dał znać Gwen, z kim rozmawia. Zareagowała uśmiechem.

– Na razie bądź grzeczny, a Święty Mikołaj niebawem przyśle ci coś bardzo miłego.

– Ja dla ciebie nic nie mam – sumitował się Rick.

Usłyszał chichot.

– Masz. Nadzieję na wnuki. Lepszy podarunek nie istnieje.

– Uczynię, co w mojej mocy – zapewnił. Nastąpiła przerwa.

– Tak, zaraz tam będę. Przepraszam, muszę kończyć. Życz mi powodzenia.

– Wiesz, że życzę.

– Wesółych świąt, synu.

– Wesółych świąt.

Rozłączyli się.

- Miła niespodzianka – westchnął Rick. Uśmiechnęła się.
- Tak.
- To nie jest prosty przepis – warknął generał. – Nikt nie jest w stanie prawidłowo tego wykonać! Głupi przepis. Zawsze się warzy!
- Nie jest głupi i owszem, dasz radę – odwarknęła Barbara.
- Powtarzam, to niemożliwe! Wiem, próbowałem!
- Och, daj spokój. Chodź, pokażę ci. To nie takie trudne!
- To tylko twoje zdanie!
- Przestań się pieklić, jest Boże Narodzenie. Twarz generała zniekształcił grymas.
- Niech będzie. Cholera.
- David!

Westchnął.

- Choroba jasna.
- Znacznie lepiej – pochwaliła z uśmiechem.
- Kucharka nie będzie mnie musztrowała – rzucił. – A gdybyś się jeszcze nie zorientowała, jestem dyrektorem CIA.
- W tym domu jesteś kuchcikiem, co najwyżej pomocnikiem kucharza. Przestań narzekać i chodźmy do kuchni. To jeden z najłatwiejszych sosów na świecie. Nie zwarzy się, trzeba tylko pilnować.

Generał, wydając nadal gniewne pomruki, ruszył za Barbarą do kuchni. Zaczął stamtąd dobiegać stukot garnków, odgłos otwieranej lodówki i ożywione głosy.

Rick porwał Gwen w ramiona i zaczął łapczywie całować.

- Kocham cię.
- Ja ciebie także.
- Widzisz? Powiedziałem ci! Warzy się!

- Nie warzy, tylko odparowuje!
- Za wcześnie dołożyłaś masło! – ryczał generał.
- Nie!

Rick przewrócił oczami.

- Nie mogłabyś jakoś wpłynąć na ojca?
- Jeśli ty najpierw wpłyniesz na matkę – skontrowała z uśmiechem.
- Nie podwyższam temperatury. Przepis jest zły! – burknął generał.

Rick spojrział na Gwen. Gwen na Ricka. Z kuchni dochodziły ich coraz bardziej podniesione głosy.

Bez słowa opuścili dom i pobiegli do samochodu.

Rick się śmiał.

– Nie zauważą nawet, że nas nie ma – rzucił, włączając silnik. –  
Może zresztą pozostawieni samym sobie zawrą rozejm.

- Tak sądzisz? – zaśmiała się.

Podjechał pod dom, który postanowili kupić, i zatrzymał pojazd.

– Będziemy tu szczęśliwi – westchnęła Gwen. – Założę ogród, twoja matka na pewno udzieli mi wskazówek.

– Owszem, nic cię od tego nie uchroni. – Objął ją i przyciągnął do siebie. – Jeśli ona i twój ojciec teraz się nie pozabijają – dodał.

- Muszą się nauczyć jakoś współżyć.

– Ha!

Zabrzącał telefon i Rick odebrał.

- Moglibyście wpaść na minutę do domu? – zapytała Barbara.

– Jasne. Jeśli to niczym nie grozi – zażartował. – Czego potrzebujesz?

- No cóż, przydałaby się mała pomoc w kuchni.

- W robieniu sosu?

– W zmywaniu sosu holenderskiego z włosów. I firanek. I szafek. I ze ścian...

– Mamo! – krzyknął. – Co się stało?

– Myślał, że robię to źle, a ja uważałam, że on to robi źle i, no cóż... patelnia podskoczyła.

– Nic ci się nie stało?

– Właściwie on chyba miał rację. Smakuje dobrze, jeśli jest mniej soli.

– Rozumiem.

– Wielki generał szuka następnej patelni, czy moglibyście się więc pospieszyć? – szepnęła i przerwała połączenie.

– Co się dzieje? – zapytała Gwen.

Z uśmiechem włączył silnik.

– „Wojna światów”, część pierwsza. Musimy posprzątać po masakrze w kuchni.

– Co takiego?

– Zalali całą kuchnię sosem holenderskim.

– Dobrze, że przynajmniej się do siebie odzywają – wskazała.

Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową. Generał i matka ogłoszą może w końcu rozejm, Rick jednak czuł, że zima będzie ciężka.

Pocałował Gwen w czubek głowy. Zniosę wszystko, myślał, póki ją mam.

Westchnęła i zamknęła oczy.

– Gdzie kucharek sześć? – rzuciła.

– To samo sobie pomyślałem – potwierdził. – Pojedźmy posędziować.

– Zgoda!

Wracali do domu kolorowo udekorowanymi ulicami. Zdobily je girlandy z zarówek – czerwonych, niebieskich i zoltych, a takze z ostrokrzewu i jodly. Posrodku placu skrzyła sie kolorami ogromna, bogato ustrojona choinka, pod która ułożono prezenty z malowanego drewna.

– Pewnego dnia – powiedział Rick – przyprowadzimy tu dzieci.

Rozpromieniła się.

– Tak – powiedziała i to była obietnica. – Pewnego dnia.

Drzewko we wstecznym lusterku coraz bardziej malało, a wreszcie wyłonił się przed nimi dom Barbary. Rick pomyslał, że to naprawde najpiękniejsze święta w jego zyciu. Spojrzał na Gwen i wyczytał w jej oczach, że myśli tak samo.

Dwoje samotnych ludzi, którzy w sobie nawzajem odnaleźli spełnienie marzeń.